

Agnieszka Niezgoda

**DOBRA
NOCKA**

Rozdział pierwszy, w którym Maję i Gucia ratuje z opresji nieustraszony Rumcajs

- Uwierzysz, że swoją szpilkę kupiłam za stówę w Brazylii? Ale to szpilka stołowa. Wiesz, wkładasz i siadasz. Piękna, z chodzeniem jest kłopot - Majka trąkotała z szybkością karabinu maszynowego, ale bez wojskowej precyzji. Promil dziesięć alkoholu we krwi mącił klarowność wyvodu. Na wpół leżąc na ławce, wpatrywała się w zamszowe czółenka koloru pudrowy róż, które zadziornie oparła o zamek celi. Czarne kabaretki na nogach, rzucone na tło krat, kojarzyły jej się z trójwymiarową pajęczyną. Tylko czy coś takiego, jak trójwymiarowa pajęczyna aby istnieje? Nie zauważyła, że Ola, oparta o ścianę przymknęła oczy i nie słuchała jej paplaniny.

- Wyciskany sok z pomarańczy, omlet z mozzarellą i rukolą, kanapka z pastą truflową i polędwicą wołową, zimny browar, zmrożona seta. Śniadanie mistrzów

- Gutek z łokciami rozpostartymi na kratkach w klasycznym filmowym ujęciu marzył o Placu Trzech Krzyży, gdzie w cotygodniowym męskim gronie zwykł żegnać piątkową prywatkę i witać sobotnią.

Siedzieli w piątkę. Na Mokotowie. Od godziny? Dwóch może?

- Pani Maja? - policjantka zgromiła różowe szpilki beznamiętnym wzrokiem, w zamku szczęknął klucz.

- Pani ze mną pójdzie.

O trzeciej w nocy korytarz komisariatu wydał się Majce boleśnie brzydki. Bijące po oczach jarzeniówki, obłaząca ze ścian majtkowa lila farba, powyginane od wilgoci linoleum. Chryste! Wystarczyłyby niewielki remont. Szła ostrożnie, chwiejnie, omiatana mglistym, lecz nagle rozbudzonym wzrokiem dresiarzy spod ścian. W piątkową noc w warszawskich aresztach panował tłok.

- Wszystkie ostre, z drutami, łańcuszkami, paski, rzeczy osobiste - bezpłciowa twarz policjantki pasowała do byle jakiego otoczenia. Stały w łazience. Na filmach rewizje osobiste odbywają się zwykle w sterylnych, minimalistycznych wnętrzach. Na Mokotowie, rewizja odbywała się w wyiębionym i bardzo niesterylnym wucecie.

- A stanik pani ma? - zagaiła naraz policjantka, podnosząc wzrok znad świstka, na którym pieczołowicie notowała kolejno oddawane rzeczy. - To też poproszę.

- Wie pani, żebym się ja miała na staniku w celi wiesząć, to się raczej nie spodziewam - Majka nie powstrzymała się od uśmiechu. Proszę, jaka celna riposta!

- Kolczyki srebrne sztuk dwie, bransoletka sztuk jedna, spinki trzy, frotka, legitymacja prasowa plastikowa, stanik koronkowy czarny, pasek skórzany czarny - policjantka recytowała listę na jednym wydechu. - Depozycik.

- Nam zabrali nawet sznurówki. Pojebane chuje - dwie godziny później Gutek w bezsznurówkowo rozbebeszonych kamperach próbował nerwowo chodzić w tę i z powrotem, ale cela miała wszystkiego trzy metry długości. - Demonstracja siły. Posiedzimy jeszcze z godzinę i na śniadanko. Przecież ta nasza ekipa pojebów zaraz zejdzie z nocnej zmiany, a ci następni rano to nas będą mieli w dupie.

- Siadaj, bo stresa wprowadzasz - Szary pociągnął Gutka za rękaw koszuli na ławkę.

- Siadaj, siadaj, bo my tu relaks i kontemplację, spa kurwa mamy - w końcu Adam pracował w reklamie i zarabiał pięć średnich krajowych na swoim wyczuleniu na absurd.

- Czy my w ogóle wiemy, o co jesteśmy oskarżeni? Podejrzani? - Majka powoli odzyskiwała logikę myślenia, niewskazaną w tej sytuacji. - Bo ja nie mam pojęcia.

- Teoretycznie każdy, bez żadnej podstawy może zostać zatrzymany na czterdzieści osiem godzin - Szary był wszak prawnikiem.

- Pytacie, dlaczego siedzimy? - Adam wziął milczącą Olę za rękę. Za dwa miesiące będą brali ślub w Amsterdamie, aby uniknąć urzędowej sztampy. Na kościelną magię nie mieli już szans, trzydziestoletni rozwodnicy. - Moi kochani, otóż siedzimy, bo jesteśmy ludźmi dialogu oraz polemiki. Po lekcjach w prywatnych szkołach z retoryki. Bo zamiast: „Panowie, to nie my, proszę oto dokumencik, przepraszamy, miłej nocy, tam czekają nasze taksówki”, to my nie, oj nie! Nas będą spisywać?! Nie nas będzie poniżać pieprzona policja! Panowie, my z wami jedziemy na komisariat, aby zjście wyjaśnić! Szkoda tylko, że nikt nie miał poniżej promila. Majka, fajnie, żeś w suce na głos układała początek tekstu o chamstwie policji. Gucio, to kiedy kupujesz tę ich budę, ten kurwisariat?

Adama rozsadały perły dowcipu, albo tylko wściekłość.

Czas w celi rozłaził się nieludzko. Maja oparła głowę o ramię Gucia. Przez ostatnie pół roku nieczęsto pozwalała sobie na taką czułość. Nawet teraz gest ten wydał jej się sztuczny. Poczula się wymęczona, śpiąca. Ile jeszcze ten absurd potrwa? Dziwne doznanie. Być całkowicie pozbawionym informacji. O wszystkim. O pogodzie na zewnątrz. O tym, która godzina. Ile ich już

minęło. I co się stanie w ciągu następnych. Areszt to próżnia.

Pomyślała o Bazylim. Został sam na noc, po raz pierwszy. Pewnie się boi, bidulek. Ciekawe, czy wgramolił się na łóżko. Łóżko. Pachnące, miękkie.

- Piąta czterdzieści! - dziarski głos wybudził Majkę z drzemki. Rumiany policjant pełen był radosnej werwy. - Złe wieści. Czterdzieści osiem godzin. Każdy z państwa w innym areszcie.

Po czym gwizdnął. I odszedł.

Milczeli. Minutę? Pięć może?

- To was kurwa dupnęli - zagaił naraz ktoś zza krat. Sąsiad! I drugi! Przysnęli, więc przegapili wejście no wych gości. - Zgwałciliście czy co dom starców?

Sąsiedzi mieli tyse głowy, dresy i góra lat dziewiętnaście.

- Nie. Sami nie wiemy. A wy chłopaki za co? - Adam nawiązał stosunki dobrosąsiedzkie.

- Podpalenie grata. My tu czasem co tydzień. Wy który raz?

- Pierwszy.

- To kurwa przejebane - sąsiedzi skonkludowali, zarechotali i usiedli na swojej ławce.

Tym razem to Szary wstał i zaczął chodzić po celi. Trzy kroki w przód, trzy w tył. Milczał. Ola ścierała łyżę z policzków. Adam po głowie ją głąskał. Gutek objął Majkę.

- Bazyli. Kuba - Majka, ochryplym głosem, odezwała się jako pierwsza. Potwornie suszyło ją w gardle.

Bazyli był jeszcze dzieckiem. Miał rok, tłuste fałdy oraz najukochańszą mordę na świecie. Rasa: sharpei.

- Wyjdziemy wcześniej, zobaczysz. Zdażysz na samolot. A Bazyli po prostu zrobi kupę w domu. Nie panikuj - Gutek mówił bardziej do siebie, niż do Majki.

- A jak ty kotku z tym samolotem liczysz? - Majka nabierała zaczepności. - Mamy wyjść nad ranem w poniedziałek, a ja jestem umówiona z dziewczynami na lotnisku o szóstej rano z soboty na niedzielę. Za dwadzieścia cztery godziny. Kotku, twoim zdaniem zdażę?

- Kurwa, bym nie sądził stary - kraty zapewniały transparentność, sąsiad włączył się do rozmowy płynnie.

- A czy nam nie przysługuje jakiś telefon? - Majka zaczynała myśleć konstruktywnie. Masz jeden telefon, mówią zawsze w filmach.

- Chcecie dzwonić? Psy nie zająbały nam jeszcze komórki - sąsiad wyjął z dresów nokię. Tak po prostu.

Adam zerwał się, jak poparzony.

- Pierdołę. Cud mokotowski.

Kolejno podawali numery. Sąsiad wybierał i przystawiał aparat do krat. Oni przykładali głowy. Adam z Olą zadzwonili do swoich adwokatów. Gutek do przyjaciela od serca. Ten wchodził właśnie do klubu Luzztro, więc powiedział tylko, że historia jest naprawdę zajebista.

Kolej Majki. Czyj numer pamięta? Do kogo, kto może w tej sytuacji?

Rumcajs! Oczywiście! Co drugi weekend Rumcajs nagrywa swój show w Telewizji Życzeń i Marzeń, popularnym Teżemie i wstaje o szóstej. Niech to tylko będzie ten weekend!

- Halo? - głos w słuchawce był tubalny, zaspany i otwarty na niespodziankę.

- Rumcajs, to ja. Słuchaj uważnie. To ci się nie śni. Jestem w areszcie - Majka z twarzą wciśniętą w kraty mówiła wolniej, niż zwykle. - Chcą mnie przetrzymać do poniedziałku, a ja jutro lecę na wakacje. Błagam. Zrób wszystko.

- Gdzie jesteś?! Gdzie siedzisz?! - wykrzyczał głos pobudzony, rzeński i gotowy do akcji. Bo oto Rumcajs, człowiek dawnych barykad, był już z powrotem w latach osiemdziesiątych i walczył. Wsadzili naszych! Trzeba ich odbić!

- Jesteśmy uratowani - Gutek założył nogę na nogę i strzepnął niewidoczny paproch ze swoich kalwinów-klajnow. Tak często mówili bohaterowie w Lostach, ulubionym serialu Gucia o rozbitkach na wyspie. Zarówno tam, jak i w celi sytuacja jawiła się Guciovi jako podbramkowa oraz dramatyczna.

Majka odetchnęła z ulgą. Jednak Kuba, nie żaden dołek. Rumcajs załatwi.

Tymczasem w wejściu do celi stanęło trzech policjantów.

- Pani Maja? Pani wyjdzie.

Rumcajs? Tak szybko?

- Proszę wyciągnąć ręce.

Trzask. Kajdanki.

- Te kajdanki to w jakiej sprawie?

Proszę, znów celnie oraz dowcipnie.

- Podczas przesłuchania mówiła pani, że się źle czuje, że pani słabo. No to jedziemy na badania. Żeby stwierdzić, czy nie ma przeciwwskazań zdrowotnych do zatrzymania.

I pojechali. Na Wołoską. Poranek był jesiennie chłodny, ale słoneczny. Po drodze mijali pierwszych sobotnich przechodniów. Na billboardach dobrotliwie uśmiechnięty przyszyły prezydent obiecywał prawo i sprawiedliwość. Tymczasem jeszcze, radiowozem jechali niewinni.

- Pani wyjdzie - zaproponował przed wejściem do szpitala młody sierżant.

- Nie w kajdankach.

- Edek, rozkuj panią - sierżant westchnął wielkopańsko.

W szpitalnym holu - znów tłoczno. Ten tłum miał jednak bardziej prorodziną strukturę społeczną, niż nocne zgrupowanie w areszcie.

Policja ma w szpitalu przywilej: swoich ludzi prowadzi do gabinetu bez kolejki.

- Czy coś szczególnego pani dolega, jakieś przewlekłe choroby? - lekarka, łypiąc zza grubych denek oku-

larów, wydała się Majce potwornie merytoryczna. Nieczuła na ludzką boleść psychiczną, urzędas jęzda, a nie prawdziwy medyk humanista!

- Wydaje mi się, że jestem w ciąży.

Proszę. Oto spryt! Oto przebiegłość!

- Który miesiąc?

- Sam początek. Niedawno odstawiłam pigułki. Ha!

Jeden zero! Kuba! Plaża, surferzy oraz mojito!

Adieu, panowie policjanci! Ciężarnej na dołku nie za-
trzymacie!

- Oto wypis z badania - Majka była już z powrotem
na korytarzu, lekarka oddawała arkusz policjantom.

Pan sierżant stanął w pąsach.

- Chłopcy, to, tego, jedziemy na oddział ginekolo-
giczno-położniczy - wychrypiał niewyraźnie. - Które
to będzie piętro? Czwarte? Bo my tu mamy skierowanie.

O żesz Chryste. O żesz kurwa.

Na czwartym piętrze, w kolejce niczym na grzędzie,
siedziało kilkanaście przyszłych mam oraz kilkunastu
przyszłych ojców. Wyspanych, rumianych, w ciepłych
dzianinach. Krzepiący był to widok. Z wejściem Majki
odmalował się na ich twarzach niepokój dyskretny.

A czyż Maja nie wyglądała, jak nowoczesna przyszła
mama? Co z tego, że w różowych szpilkach? Co z tego,
że w kabaretkach? A co tak ich dziwi mini spódniczka?
A co tak się patrzą na czarną skórzaną kurtkę? Rozmyte

oko? Fryzura w nieładzie? Wszak w modzie panuje dzisiaj eklektyzm, panuje zabawa konwencją! I co tak się z siedli na widok trzech policjantów?

Przyszłe komórki rodzinne uznały, że przegapiły w mediach wiadomość o nowej akcji prezydenta miasta: „Bezpiecznie w agencjach towarzyskich - tysiąc książeczek zdrowia dla tysiąca dziewcząt”.

- Odmawiam. Ja się żadnym badaniom nie pod dam.

Majkę naszła myśl prosta. Że są pewne granice. Nawet w areszcie. Oto sytuacja próby. Oto szansa, by stać się opór. Przecież tego właśnie jej pokolenie zazdrościło ludziom już dziesięć lat starszym. Opór na oddziale ginekologicznym, ale zawsze.

Policjanci nie byli radzi. Odmowa była im nie w smak. Poprowadzili Majkę do windy. W windzie - zadziwionych, a jakże, osób kilkanaście.

- Czy pani może nam w końcu powiedzieć, czy jest pani w ciąży, czy nie? - tym razem ton sierżanta zdradzał mało wielkopańską irytację. Na tak postawioną sprawę, winda cała się zsiadła. prostytutka, ale ciężarna!

- Wie pan, nie mogę tego wykluczyć, ale nie będę się dowiadywała o tak radosnej nowinie w tak nieprzyjemnych, a wręcz traumatycznych dla mnie, oraz dla dziecka, okolicznościach.

Remis! Riposta mistrzostwo. W milczeniu upłynęła droga powrotna na komisariat. Policjanci zaparkowali

przed tylnim wejściem do aresztu, wysiedli, znów wy-
ciągnęli kajdanki.

Wtem, w promieniach polskiej złotej jesieni, z bu-
dynku wypadł mały człowieczek Baltazar i wprost w
stronę Majki żwawo się turlał. Doskoczył zziębnięty, za
rękę ją chwycił i w oczy popatrzył z troską.

- Pani Maju - miękko zaczął. - Rozkuj! - do młodego
sierżanta szorstko rzucił. - Pani Maju! - Baltazar
spozierał okiem wyrozumiałego ojca. - I po co pani te
wyglupy były? - pytał, prowadząc Maję pod ramię, jak
gdyby śmiechom i żartom nie było ostatnio końca.

- Pójdziemy do mnie. Wiola, masz drugie śniadanie?

- zwrócił się do sekretarki. - No, to kanapki dla pani
Mai. A jaka herbata? Zielona, owocowa czy czarna? Jak
to, nie mamy czystych kubków? Kto pani takich bzdur
naopowiadał?! Nie dostała pani nawet wody wcześniej?!
Zielona! Wiola, szybciej!

Tej jesiennej soboty komendant Baltazar miał bo-
wiem farta. Kto by pomyślał, taka niespodzianka! Au-
tograf dla żony! Fiu-fiu! Baltazar był kontent. Tym
bardziej że w zaistniałej sytuacji pięknie wykazał się
przecież obyciem i pomimo (tak, musi to przyznać)
sporego zdumienia w kilku kwestiach, jednak stanął na
przysłowiowej wysokości, jednak zachował europejskie

standardy. Żyjemy w XXI wieku, myślał Baltazar tej soboty po wielokroć.

Kiedy bowiem dwie godziny wcześniej w drzwiach gabinetu Baltazara stanął pan Rumcajs, Baltazar był więcej niż pewien, że Teżem kręci nowy program. I że Baltazar w nim wystąpi. Program o pracy warszawskiej policji? Reality show: Komisariat?

Baltazar przyjął więc pana Rumcajsa wylewnie.

- Witamy w naszych skromnych policyjnych programach telewizyjną gwiazdę! Dzień dobry! Co pana do nas sprowadza, panie Rumcajsie?

- Ja po żonę - powiedział pan Rumcajs, a Baltazar niemal pękł w szwach ze śmiechu.

- Dowcipny, jak zawsze! A tak na poważnie?

- Po żonę, tak na poważnie - pan Rumcajs się nie śmiał.

Zafrasował się wtenczas Baltazar, posadził gościa przy kawie i pomknął sprawę wyjaśnić. Istotnie. Istotnie! Jest takie nazwisko. Wrócił, rumieniąc się jak pensjonarka.

- Tak, tak, panie Rumcajsie. Jest u nas żona. Obecnie na badaniach - ledwo to przeszło Baltazarowi przez gardło. Nieszczęsny pan Rumcajs!

- W imieniu żony zadzwoni adwokat, który będzie rozmawiał o sprawie. Ja nie znam szczegółów, ale to pewnie drobnostka. Wszystkim będzie na rękę, jak żona wyjdzie jak najszybciej.

- Drobnostka, oczywiście! Ale, ale, panie Rumcajsie. Jest jeszcze pewna sprawa delikatna - w Baltazarze (tak, musi to przyznać) drzemała pewna ludzka ciekawość. - Bo czy pan wie? Żona jest osadzona z przyjacielem. Czy pana adwokat wystąpi tylko w imieniu żony, czy również w imieniu żony konkubenta? Gustawa? - rzucił przymilnie Baltazar, a w oku błysnęła mu psota, błysnął diabelski chochlik.

- Jeśli konkubent żony się zgodzi, to adwokat oczywiście jego także może reprezentować - rzekł na to spokojnie pan Rumcajs.

A Baltazar stężał. Lecz naraz odtajał. Mrugnawszy okiem dla niepoznaki, a gest ten łobuzerski miał znaczyć „Kobiety, kobiety!”, w skrytości ducha Baltazar toczył walkę. Oto nasze czasy. Oto Europa, myślał. I nie wiedział, czy jest za, czy przeciw.

- Mogę pójść do znajomych do celi? - pytanie nawodnionej trzema zielonymi herbatami Majki wytrąciło Baltazara z zadumy.

- Ale po co? - Baltazar był zły sam na siebie, że tak się rozmarzył i wybił z kontekstu. - Pani Maju, czy tu nie przyjemniej? Nie wygodniej? Dzwonił już adwokat. Zaraz spiszemy zeznania, pani, jako świadka zajścia. I pani pojedzie do domu. Radzę solidną kolację! - Baltazar dobrotliwie pogroził tłusciutkim palcem.

Niebo było stalowe, a chłodny przenikliwy wiatr zwiastował już rychłą zimą, kiedy Majka wyszła przed komisariat. Usiadła na murku za bramą. Wyjęła z koperty spinki, frotkę i związała kasztanowe włosy w kucyk. Zapaliła cienkiego mentolowego papierosa.

- A reszta? - Gucio dopinał pasek w spodniach.
- Chwilę temu pojechali. Jakie masz plany?
- Wspólne. Kolacja. Stek? Sushi? Makaron gryczany?
- Makaron. Za dwie godziny w Jazz Bistro.

Po kolacji z Gutkiem (skosztowali: carpaccio, zupy dyniowej, makaronu gryczanego, zielonego curry, sałaty z kaczką oraz smażonego banana), rada Maja leżała na obitej bordowym pluszem kanapie. Okutana wełnianym kocem, słuchała chrypliwego głosu Niny Simone i spoglądała na cień topoli za oknem. Lubiła jesień. Lubiła Mokotów. I lubiła swoje mieszkanie.

Sześćdziesiąt metrów w przedwojennej kamienicy dzieliła tylko z Bazylem. Na ścianach, pomalowanych na przemian zgniłą zielenią i brudnym różem, wisiały ciężkie drewniane maski, które przywiozła z Sudanu. Obrazy rojującego młodego Holendra o abstrakcyjnej wymowie. Z plakatu spoglądała Audrey Hepburn. Na półkach piętrzyły się durnostójki, książki i płyty. Zwi-

nięta w kłębek, z głową wciśniętą w pofałdowany kark Bazylego, Maja myślała. Ale o niczym konkretnym.

- Kochana, spakowana? - Tola piszczła do komórki. - Wakacje! Wakacje!

Majka spojrzała na zmiętoszony, zakurzony plecak, leżący pośrodku pokoju na wysłużonym dębowym parcie.

- Prawie.

- Jestem po ciebie o piątej trzydzieści. Majuś, pytanie czekisty. Tam będą kondomy czy lepiej wziąć z Polski?

- Tolek!!! - Maja ryknęła i zanosła się śmiechem. Bazyl otworzył oko.

- To pa! I się pakuj skarbie, a ja dzwonię w sprawie kondomów do Gośki. To jest potem problem poważny.

Tuż po północy w drzwiach stanął Gucio, na lekkiej bani, po małym starterku, jak wytłumaczył, ale nie, żeby od razu pijany.

- Bazula, Bazula moja kula, moja bulą... - Z marszu ją ścisnąć psa, bo ten nie zdążył umknąć pod łóżko zaspany.

- Tylko ty mnie rozumiesz. Tylko. - Wgramolił się do bazylowego kojca i zachrapał po chwili. Na czas babskiego wyjazdu, Gucio przejmował opiekę nad psem i domem.

Punkt piąta trzydzieści zadzwonił domofon.

- Kuba libię! - Tola darła się do mikrofonu.

Na dole czekała Wawa Taxi. Aleja Żwirki i Wigury, jeszcze w poświacie nocnej, neonami zegnała szpaler taksówek.

Nad Atlantykiem Tola wyjęła ze schowka butelkę.

- Za nasze wakacje. Chivas Whisky. Z gwinta, drogie panie. Zaczniemy mówić po angielsku! - Tola miała humor filuterny. - Dżurnalist, lojer, dentist. Sex tu-rism: cel wycieczki. Czirs, bejbis! Majuś, jor tern.

Samolot wypełniał gwar, pozostałym letnikom również udzielał się już nastrój wakacji. Pozyskane po przymusowym wypiciu kawy kubeczki chyłkiem napełniali płynami, częstowali rodzinę, sąsiadów oraz nieznanomych, z rosnącym entuzjazmem wznosili toasty za lądowanie oraz za słońce, a na twarzach ich malowała się radość, błogość kreśliła im uśmiech. Rozpoczynali urlop.

Maja oparła głowę o okienko samolotu i spojrzała na chmury udrapowane w dole, niczym paczki waty. Pomysłała, że w Centrum Sztuki Współczesnej śmiało nazwano by je jakąś instalacją albo projektem i uśmiechnęła się do samej siebie. Zmordowana, pociągnęła łyk prosto z butelki. Gorąco! Whisky paliło w przełyku.

Maja przymknęła powieki.

Rozdział drugi, w którym Tytus, Romek i Atomek uczą Majkę, Tolę i Gosię plastusiowej zręczności

- Tytus kupił ciasto. Zapraszamy.

- Super. To po kolacji.

Czyje to głosy?

- Maja, wstawaj. Już długo śpisz - zza sennej mgły wyłaniała się Tola, siedząca na skraju łóżka. Delikatnie potrząsała ramieniem Majki i sylabizowała: Ma ja, Ku ba, wa ka cje.

Co ona? Kaszpirowski? Majka zaczynała się rozbudzać i kojarzyć sytuację.

Pokój był przestronny, jasny. Z trzema ogromnymi łózkami, kolorową komodą, dwoma szafami, stolikiem pod telewizor, kwiatami na każdej z szafek nocnych. Skrzydłowe drzwi prowadziły do saloniku. W rozwartych na oścież drzwiach balkonowych wydymała się tiulowa kremowa firanka. Taras wychodził na nied-

uży ogród palmowy, dwadzieścia metrów dalej rozpościerało się skaliste nabrzeże. A za nim turkusowe, jak z Photoshopa, Morze Karaibskie.

Hotel nazywał się Księżniczka Oceanu i miał pięć gwiazdek.

- Mamy zajebistych sąsiadów - Gosia układała w kostkę wyprasowane bluzeczki. Na dziesięć dni wzięła ich trzydzieści.

- Widać, że chłopcy z jajem - Tola wypakowywała właśnie lekturę na wakacje: *Kobiety, które kochają za bardzo*. Zgodnie z zaleceniem psychoterapeutki. - Po kolacji randka, bejbiaki. Wieczorek zapoznawczo-poruchawczy.

Majka wygramoliła się spod bawełnianej narzuty, podkuła nogi, objęła złączone kolana i zastygła na łóżku w bezruchu. Głęboko wciągnęła powietrze. Ciepłe. Wilgotne. Plusk fal, rozbryzgujących się o skały. Szum morski. Maja się zadumała. Przypomniała jej się, jak w dzieciństwie, w mieszkaniu M-2, na ósmym piętrze z dziesięciu, w klatce czwartej z siedmiu, na warszawskim blokowisku, chowała się pod stół i słuchała morza w wielkiej muszli, przywiezionej z Bułgarii. Jakie czasy, taka Bułgaria. Maja wstała z łóżka.

- Aperitif na tarasie? - pytanie było retoryczne. Tola wparowała do pokoju z tacą kieliszków. - W lobby jest już fuli ludzi, przed kolacją. Proszę, mojito, po dwa dla każdej. Za Kubę.

Dziewczęta usadowiły się w wiklinowych fotelach na tarasie, po czym oddały picie i nadmorskiej refleksji. Palmy z wolna nikły w ciemności.

- Patrzcie, zdecydowałyśmy się tydzień temu. A dziś tu jesteśmy - Tola była w nastroju sentymentalnym. -A dla każdej ten wyjazd co innego znaczy. To taka nasza cezura, wiecie? Maja, tak na poważnie, to jak się trzymasz? I wiesz, że nie pytam o twój fantastyczny pobyt w pierdlu.

- Nieźle, tak na poważnie.

- Kurza dupa, mów.

- Co mam powiedzieć? **Średnio, ale przecież się nie tnę.**

- Dzielna. Będzie dobrze - Tola nie rokowała towarzysko na ten wieczór. - Jezu, ja to wszystko tak dobrze pamiętam. A jaki był ubaw!

Najlepsza była historia końcowa, stwierdziła Tola w skrytości ducha, a wspomnienie to skłoniło ją do analizy szerszej.

Osiem lat. Była wówczas na trzecim roku medycyny. Telefon od Majki, ale heca. Rozdzwonili się wtedy wszyscy z klasy, czy to naprawdę, i czy ktoś zna tego Rumcajsa, tego nowego kolesia. Ha, wesele. Zabawa szybko nabrała rumieńców. Jeszcze przed północą ktoś tam, a raczej nie ktoś tam, ale Znany Młody Adwokat, dopadł swoją małżonkę, powalił na ziemię i jął się z nią tarzać w miłosnej walce. Spostrzegłszy, że młoda dama

w potrzebie, Ważny Redaktor Naczelny doskoczył, ofiarując swą dłoń i pomoc.

- Pani pozwoli? Można? - pytał zatroskany i pochylony.

- Spierdalaj, mówię ci, spierdalaj - poradził na to na klęczkach raptus Adwokat, a Redaktor się wycofał.

Końcówka też nie gorsza, Tola jeszcze dziś uśmiechała się na tę scenę. Wychodziła nad ranem, drinknięta z umiarem. Odbierał ją brat. Po dwóch miesiącach na czworaka w garażu, wprawił akurat w ruch przedpotopową warszawę, toteż chętnie najmował się do roli kierowcy. Z okien dobiegał zaśpiew, brat czekał w aucie, była już Tola przy furtce.

Wtem drzwi otwarły się z brawurowym wykopem. I stanął w nich Moralny Autorytet w chybocie. Na jego barku kołysała się dama, oparta czule, acz mocno. Obejmując przyjaciółkę w kibici, Moralny Autorytet popadał w chaos wzrokowy. Nerwowo popatrzył w lewo, nerwowo popatrzył w prawo, pilnie szukając, pytanie - czego? Naraz wzrok jego zatrzymał się w jednym punkcie, a twarz pojaśniała, uspokojona.

- Krystynko - rzekł czymś uradowany. - Popatrz tylko! Jaka limuzyna po nas przyjechała! - wykrzyknął rozpromieniony, po czym pochwycił Krystynkę w ramiona i dał susa.

Tola stała przy furtce. Zdziwiona.

- Przepraszam, ale państwo do kogo? - dociekał zdumiony brat Toli, gdy oto znieńacka na tylnym siedzeniu para sadowiła mu się wygodnie.

- W Aleję Róż! - Moralny Autorytet pospieszył wyjaśnić.

- Antek, pozwól, że was sobie przedstawię - Tola doskoczyła do samochodu z refleksem odpowiednim do spożytej ilości. - To mój brat Antek, to jest pan Moralny Autorytet, to Pani Aktorka. A ja jestem Tola, Majki najlepsza przyjaciółka.

- No proszę - zadziwił się na to Moralny Autorytet.

- Bardzo mi miło, niemniej jednak jest problem. Po drodze zgarniamy jeszcze moich znajomych z imprezy. Wszyscy się nie zmieścimy - nieustępliwy był Antek.

- My się nie zmieścimy?! - Moralny Autorytet huknął. - Na kolana, Krystynko!

I pojechali w Aleję.

Zabawne wspomnienia, Tola stukała czerwonymi paznokciami o pusty kieliszek. Kto by pomyślał. Taki był lawstor.

- Oko zrobione? Zaraz kolacja - Gosia była biała. Bielutki t-shirt z Benettona, bielutkie spodnie z Mango, białe pepegi czeszki.

Majka z Tolą wstały z foteli i podreptały do łazienki.

- Dobry? - Maja sięgnęła po tusz do rzęs Toli.

- Nowy guerlain. Ujdzie. Ale czasem robią się grudki. Ten puder fajny?

- Sisley. Przyjemny. Dwie i pół stówki.

- Ładna perfuma, wieczorowa - Tola przytknęła nos do rzeźbionej nakrętki flakonu.

- W Sephorze siedemset.

Pół godziny później, zrobione dziewczęta udały się na posiłek.

- Panie piją?

- Nieustannie.

Sąsiedzi w pokoju mieli butelki w hurtowej ilości oraz włączony telewizor, w którym podskakiwali rockmeni hiszpańscy.

Tytus, bardzo mi miło, Romek jestem, Tola, witam, Atomek.

- Gdzie chodzicie?

- Klubo.

- My do Hotla i do Luster.

Tyle pryncypia. Teraz kwestie drugorzędne.

- Panie w branży? - Tytus wypełniał tonikiem sześć szklanek z dżinem.

- Tylko w weekendy - Tola oparła stopę z nienaganym pedikiurem o łóżko, na którym leżał wpatrzony w rockmenów Atomek, i bujała się na krześle. Chłopcy parsknęli.

- Jaki dżob, taki lajf - Majka, przepasana w biuście różową chustą, spłotła nad głową nagie ręce.

- Jaki kesz, taki stajl - Tytus odstawił opróżnioną butelkę. Porozumienie intelektualne zostało osiągnięte.

- Dżurnalist, lojer, dentist.

- No proszę, co ty powiesz? - Tytus sięgnął po słomki. - Która jest lojerem? Boja też jestem prawnikiem.

- Prywatna kancelaria? - Gosia uśmiechnęła się ciepło.

- Amerykańska.

-Ja w polskiej.

- A może któryś jest dziennikarzem? - skinieniem wyciągniętej ręki Majka ponaglała Tytusa barmana.

- Byłem przez chwilę. Skończyłem dziennikarstwo. - Romek siedział na kolorowej komodzie, w każdym pokoju identycznej. - Ale to niedochodowa sprawa, płacili grosze. Teraz mam swój biznes. Robię tapety i dzwonki do komórek. W dobrym miesiącu masz na samochód. A ty, telewizja? Czy piszesz?

- W słowie robię.

- Natomiast Atomek jest dentystą - Tytus podał koledze drinka i szelmowsko się uśmiechnął.

- Stomatologia zawsze była mi bliska - Atomek uniósł się na łokciu. - Ale jestem synem prezesa.

- Czyli wychodzi na to, że to ty borujesz? - Tytus zwrócił się do Toli.

- Owszem. Ale jeśli marzysz o tym, żebyś ci zawierciła, to czas nagli - Tola porzuciła ton poważny i ga-

lopem wracała do swojej formy. - Niedługo wybywam z Polski. Jadę plombować zęba w Anglii.

- Chwila, to ile wy macie lat, dziewczyny?

- Dwadzieścia dziewięć. Stare dupy jesteśmy - Tola brylowała, Gosia gromiła ją wzrokiem. Prawnik jest dla niej!

- Eee tam, stare. Do szkoły trzeba by was posłać - Tytus w mig wychwycił cytat.

- I znów nas wszyscy będą pierdolić? - Majka włączyła się do sceny.

- I to jest argument przeciwko szkole. A tak serio, dawaliśmy wam maks dwadzieścia cztery!

I jak tu nie wierzyć w inteligencję kremu *za* trzysta? Maja poczuła lekki szmer w głowie.

- Bardzo jesteście mili.

Faza zapoznawcza wieczorku dobiegała końca. Wyłączono rockmenów, nastawiono melodie klubów londyńskich oraz warszawskich. Zgrupowanie podzieliło się w pary taneczne.

Trans karaibski? Owiewana nocną bryzą Maja kołysała się na tarasie zjedną słuchawką w uchu. Obok, podłączony do niej kablem, kołysał się Romek. Sytuacja nie sprzyjała konwersacji. Sprzyjała natomiast bliskości. Proszę, jaki romantik. Szum morza, drink w ręku, w uchu muzyka. Grunt pod namiętność. Romek odgarnął jej włosy za ucho. Poglaskał po szyi. Przybliżył usta.

Proszę, konkret bez zbędnych frazesów.

Całowali się już od kilku minut, kiedy dobiegł ich głos z pokoju.

- Skarbie, nie wyjebuj mi bita z ucha - Tytus szepnął nazbyt głośno do Toli.

Majka z Romkiem się roześmiali.

- Scena balkonowa! Może jakiś toaścik? - Tytus nie dał się zbić z pantałyku.

Wiele, wiele jeszcze wzniesli *tej* nocy toastów. Nad ranem dziewczęta poczuły się senne. Chłopcy zapragnęli je odprowadzić. Wzuli więc płetwy, przywdziali maski nurkowe, w usta włożyli po rurce. W dłoniach dzierżyli napelnione szklanki.

- Pobiegałbym - zwierzył się na korytarzu Tytus, wyjmując rurkę z buzi. Więc chłopcy pobiegli. Pobiegli do hotelowego lobby, pobiegli pokazać się paniom z recepcji, pobiegli pod drzwi restauracji, gdzie pierwsi letnicy schodzili się z wolna już na śniadanie.

Maja, Tola i Gosia szykowały się do snu.

- Bokserki są jednak w dechę. Tylek zgrabniejszy - po kilkunastu dżinach z tonikiem, Maja nie miała do swojej figury zastrzeżeń. Przeglądały się w lustrze.

- Jestem jednak cholernie gruba - Gosia posmutniała.

- Popatrzcie tylko - chwyciła za skórę na brzuchu i zaczęła ją ciągnąć.

- Nie pierdol. Jaki masz rozmiar? Trzydzieści sześć?

- Tola ziewnęła.

- Trzydzieści sześć góra, a dół trzydzieści osiem. Ale kiedyś wchodziłam w trzydziestkę czwórkę.

- O Boże, to naprawdę dramat - twarda była Tola, szydercza i kpiąca. - Idziemy spać, już świta. Zasłonię okna.

Wypchnęły szafki nocne na środek pokoju, zsunęły trzy łóżka i wskoczyły pod narzutę.

- Nieźle, ćwiczymy pozycję na łyżeczkę - parsknęła Maja, kiedy we trzy ułożyły się do siebie plecami i przytuliły.

- Trening, Majuś, trening! - Tola leżała pośrodku.

- Toluś, a wiesz, to w sumie dobrze, żeś ty te gumki wzięła - zdążyła jeszcze powiedzieć Maja. Po czym natychmiast zasnęła.

- Stożek. Najlepszy. Mówi wam to ekspert - Majka odłożyła *Małe zbrodnie małżeńskie*, zsunęła z nosa szale i strzeliła zawadiackim okiem.

Opalały się już trzecią godzinę. Każda miała cztery różne kremy z nitrem. Sześćdziesiątka na twarz. Pięćdziesiątka na szyję i dekolt. Trzydziestka na resztę ciała. Dwudziestka - przewidziana na drugi tydzień kąpieli słonecznych.

Plaża była szeroka, piaszczysta, zastawiona palmami, łagodnie wżynała się w turkusowoszmaragdową wodę. Spokój zakłócali tylko ciemnoskórzy kelnerzy,

którzy donosili **pinacoladę oraz rum z colą. Przyjemna rzecz, wczasy.**

- I co z tym storczykiem? - Gosia wyjęła zatyczki z uszu: nawet na plaży dbała o higienę.

- Stożek! Storczyka to ja ci nie polecam - Majka zsunęła ramiączka stanika i wystawiła twarz wprost do słońca. - Kształt. Budowa. W tym sensie.

- Jak to, stożek?

- Mów drukowanymi literami do naszej dziewicy orleańskiej - Tola przewróciła się na brzuch i zdjęła górę bikini. - A o stożku to i ja chętnie posłucham.

- Co wam, słońce wypaliło szare komórki? - Majka pociągnęła łyk malibu z mlekiem ze swojego termokubka, dwie doby trzymającego lód lub ciepło, wedle życzeń. - Narząd męski intymny, zwany fiutem, siusiakiem, kutasem, ptaszkiem...

- ... albo księżniczką Zofią!!! - Tola i Gosia wpadły jej w słowo z dzikim rykiem. *Jak stracić chłopaka w dziesięć dni* to był jednak film kultowy.

- Tak, więc jeśli księżniczka Zofia jest w kształcie stożka, to należy się cieszyć. A jeśli nie jest, to należy się smucić. To tylko chciałam powiedzieć.

- A jak w sumie wygląda stożek? - Gosi nie służyło słońce.

- Przywołaj najpierw w myślach księżniczkę Zofię swojego narzeczonego, a potem wyobraź sobie coś do kładnie przeciwnego - Tola sięgnęła po kapelusz.

- Małpa.

- Kończąc ten palący problem, który sama zaczęłam. Stożek rozszerza się w dół. Koniec, kropka.

- To jak się na nim trzyma guma?

- Gosia, ty idź już może pod parasol.

- Majuś, a co ty takie cenne tajemnice skrywasz? Który z twoich eksów jest ten stożek? Wiesz, w przyrodzie nic nie ginie, zawsze można zająć się obrotem wtórnym - Tola strzeliła okiem łobuza.

- Kochana, musiałabyś skoczyć do Kolumbii. To ten, z którym prowadziłam się w szkole w Stanach. Kolumbijczyk. Piękna sprawa.

- To w takim razie zazdroszczę. Ja natomiast odradzam półkulę wschodnią. Pamiętajcie, jak kilka lat temu wyjechałam na dwa miesiące do Azji? Byłam wtedy z facetem z Hong Kongu przez chwilę. Żenujące.

- Ale przecież tacy nadrabiają zwykle fantazją?

Gosia demonstracyjnie wróciła do swojego Coetze'a, natomiast Tola poradnik dla zbyt mocno kochających kobiet odłożyła.

- Wiesz, trzeba mieć czym nadrabiać, choćby w skali mikro - Tola się wykrzywiła.

- Taki mały?

- Pchełka. Aż się chciałam bliżej przyjrzeć, ale było mi głupio. Ciągłe wypadał. Beznadzieja. Ale facet zawodowo i materialnie stał świetnie. Pewnie chciał sobie coś udowodnić.

- Chwałę też sobie nothał arabski. Miałaś przyjemność?

- A i owszem, w Tunezji. Rewelacyjny bzyk. Z panem ogrodnikiem.

- Ja z tym Syryjczykiem, w ubiegłym roku w Brazylii. Ogień, nie facet.

- Pan ogrodnik też był namiętny. I to podczas okresu, a dla nich to jednak tabu.

- Wiesz, chyba nie tylko dla nich. Ale to mu się chwali, faktycznie. Mój Syryjczyk był ge nial ny! Napalony. Silny. Jak mną raz rzucił o ścianę, to byłam cała w siniakach. Ale co najważniejsze, to nie był pan mechanik: wpad-wypad i gudbaj. Ogromna finezja, ogromna! I jak on dotykał. Jak znał ciało. No i mógł bez przerwy. Choć tu muszę też oddać honor Kolumbii. Osiem razy. Z jednym postojem czy raczej spoczynkiem.

- Tunezyjczyk też kilka.

- Słuchaj, a jak ty pod względem językowym go odbierałaś?

- Normalnie. Sprawny.

- Ojej! Chodziło mi o komunikację. Bo to był dla mnie jedyny szkopuł. Wiesz, „fuck me, baby” jakoś mnie nie brało.

- A to nie wiem. Ogrodnik nie był rozmowny.

- Widzisz, a ja jednak jestem językowa purystka. Tak czy siak, Europa centralna jest w tyle. Basen Morza Śródziemnego oraz Ameryka Południowa!

- Majka, ilu ty miałaś facetów? - no proszę, ton katechetki! Gosia była pochłonięta światem XIX-wiecznego Petersburga tylko w połowie.

- A ja ich tam liczę! Ty, Tolek, prowadzisz statystykę? Notujesz w różowym kajeciku?

- O rany, nie wiem. Trzydziestu?

- Obstawiam podobnie.

- Mamy dwadzieścia dziewięć lat. No, to średnio jeden rocznie. Klasztor.

Majka z Tolą parsknęły.

- Obiad? Już pora - Majka wstała z leżaka i owinęła się w pareo. - Myślicie, że będą krewetki? Patrzcie, idą nasi!

W stronę leżaków nadciągał słoneczny patrol.

Chłopcy byli postawni, zgrabni, z włosami na lekki żel, każdy w skórzanych japonkach i dopasowanych bokserkach. Ładni, oj ładni. Tylko twarze napuchnięte. Oczu nie było widać zza okularów i całe szczęście.

- Jak drogie panie sąsiadki znajdują wakacje? Myśmy właśnie wstali. Panie życzą lanczyk? Bo z restauracji już pachnie. A potem mamy szereg wspaniałych propozycji - Tytus, z koszulą khaki przerzuconą przez ramię, oparł smukłą nogę o leżak nie wiedząc czemu Majki, a chwilę potem obok niej usiadł. Czyżby co wiecór zmienna konstelacja? Ho ho, to ci będą wczasy! To ci będzie turnus, zuchów i psotników!

Rzeško. Piękny poranek.

Majka wyszła na balkon, dłońmi oparła się o barierkę. Przez sklepienia palm przezieriała poświata pomarańczoworóżowego brzasku, zza ogrodu dobiegał szum wzburzonego jeszcze po nocy morza i świergot budzących się ptaków. Z pokoju dochodził zapach parzonej kawy oraz radosne „ja jestem king Bruce Lee, karate mistrz”, zagłuszane pluskiem wody: Tola brała prysznic. Kubańskie radio nadawało poranne wiadomości.

Majka podeszła do ekspresu i nalała kawę do kubka. Gosia prasowała w kant spodnie, stojąc przy desce w stringach i koronkowym staniku.

- Wiesz, że rozumiem, co mówią - ucieszyła się naraż Majka, bo i faktycznie pojęła sens jednej z depesz, czytanych po hiszpańsku. A hiszpańskiego nie znała.

- A co? - Gosia przełożyła spodnie.

- A o socjalistycznej partii w Katalonii - Majka podeszła do szafy. - Strasznie w sumie podobny do francuskiego ten hiszpański. Muszę się nauczyć - Sięgnęła po białe lniane spodnie oraz czarny obcisły t-shirt, na którym muchomor kocha się z biedronką.

- „...mała, nie rycz! Ja znam te wasze numery” -Tola wychodziła z łazienki zawijanym płasem, kręcąc pupą w czerwonych bokserkach i machając nagim biustem. Głowę wysadzaną miała niebieskimi wałkami -

powstawała fryzura. - Kaca nie mam, ale szmerek czuję-

Dnia poprzedniego pite bowiem było z umiarem, a to z uwagi właśnie na plan pobudki, chcąc nie chcąc, wyszło jednak po butelce wina na głowę. Do obiadu oraz do kolacji, po drugiej. Dzień upłynął leniwie. Skutery, basen, gra w bilard. No sex. Ale i bez rozmowy. O chłopakach dziewczyny nadal niewiele wiedziały.

- Te wina tutaj przyjemne nawet - Gosia, już ubrana, wpatrzona w lustro stroszyła włosy woskiem.

- A i owszem. Gotowe? Kasa, paszporty, prawo jazdy? - Majka energicznie skrzyła pędzel do makijażu i wstała z krzesła. - Wymarsz! - drzemał w Majce kawiec.

Samochód wypełniała rzewna melodia *Dos gardenias*, za szybą migały fragmenty porannej rzeczywistości. Kolorowe, odrapane szyldy knajpek w miasteczku, bazary z Che Gevarą na pstrokatych koszulkach i na lodówkowych magnesach. Rozklekotane pastelowe hacjendy, na których gankach beczynnienie wysiadywały kobiety z niemowlętami i mężczyźni z cygarami. Tłum zmęczonych twarzy, zbitych w autobusach gruchotach nie-dla-turystów. Powoli wyjeżdżali z kurortu, pobocza pustoszały. Rozciągająca się po horyzont soczysta zie-

leń iskrzyła w słońcu. Z rzadka mijali muzealne mydelniczki, których kierowcy pozdrawiali ich uśmiechem i skinieniem ręki. Prawie jak w *Bonnie i Clyde*, pomyślała Majka, kiedy wyprzedzali kolejnego chewole-ta sprzed pół wieku. Siedziała przy drzwiach, oparta o okno. Była śpiąca.

- Majek, sejf w pokoju oczywiście zamknęłaś? - Tola wyrwała ją z zamyślenia.

- Sejf, pytasz... - Majka intensywnie próbowała przywołać fakt zamykania. - Tolek, nie bądź małostkowy. Jedziesz se, słuchasz muzyki se, Kubę za oknem oglądasz se, a ty myślisz o pierdołach. - Żartem należało potraktować tę niezręczną sytuację. Żartem.

- Wiesz, byłoby miło nie stracić biletów na samolot i całej kasy. Tak tylko myślę se.

- Zachowaj pogodę ducha. Optymistom żyje się przyjemniej. - Maja kiepsko pamiętała fakt zamykania, dość dobrze natomiast pamiętała fakt otwierania.

- Dobra, dziewczyny, już nie wrócimy. To dobry hotel, nic nie zginie. Dla odmiany proponuję pogadać. - Tytus był kierowcą. Przyciszył muzykę. - Dlaczego jesteście tu akurat we trzy?

- Pokrótcie opowiadamy życie? - Majka posłała ironiczny uśmiech. - Zapoznajemy się?

- Wiesz, to tak tylko dla jaj. Gosia, ty pierwsza. Masz kogoś?

- Prócz ciebie nikogo.

Na mgnienie sekundy Tytusa ściał strach.

- Skarbie, to jest jasne. Ale tak, wiesz, oprócz **mnie**.
- Narzeczonego. Za pół roku biorę ślub.
- Kochana, kochana, gratulacje! To my tu mamy wieczór panieński! To my tu paniom przyszykujemy moc atrakcji! - Tytus odetchnął.

Gosia spuściła wzrok.

- A my rozwódki - Toli nie trzeba było prosić dwa razy.

- W sensie, że niedawno rozstanę?
- W sensie encyklopedycznym. Ja się rozwiodłam trzy lata temu, byłam mężatką przez dwa. A Majka, no Maja sama powiedz.

- A ja po powrocie z Kuby mam rozprawę. Byłam mężatką przez sześć lat, od dwóch jestem w separacji. Państwo życzą jeszcze jakieś dane?

- Ale to były takie normalne śluby, w kościele i w ogóle? - Tytus nie dowierzał.

- Najnormalniejsze.

- Kurwa, nieźle.

W aucie atmosfera się zsiadła.

- To teraz wy - Majka przerwała ciszę.
- Miałem przyjechać tu z dziewczyną, ale wzięło i rąbnęło - Tytus zwięźle sformułował myśl.

- Miałem narzeczoną przez kilka lat, rozstaliśmy się rok temu. Od tego czasu miałem wiele dziewczyn, ale żadnej nie traktowałem poważnie - Romek wystawił sobie autoreferencje.

- A ja jestem rozdarty - Atomek odpakowywał snickersa. - W sumie to mam chyba dziewczyny dwie.

Więcej tego dnia na osobiste tematy już nie rozmawiano.

- Wino blanco, per fawor - Majka zdjęła z głowy czarny beret z czerwoną pięcioramienną gwiazdą i składała zamówienie przy barze.

- Majek, jaki ty hiszpańskojęzyczny - rzuciła Tola, siadając przy stoliku.

- Tolek, podróżujesz z poliglotą.

Kawiarnia na hawańskiej starówce wychodziła wprost na gwaną uliczkę. Zza misternie rzeźbionych mosiężnych koronek, które zastępowały okna, raz po raz wychylały się wychudzone twarze handlarzy archiwalnych gazet i rewolucyjnych dewocjonaliów. Historia była w Hawanie jedynym chodliwym towarem.

Majka, Tola i Gosia sączyły z kieliszków schłodzone białe wino i spoglądały na płynący uliczką tłum. Nad głowami przechodniów majtały się bezładnie poprzeciągane kable i sznury, trzepotała pościel i ręczniki, zabite tekturą zabytkowe okna wionęły smutkiem. Dawne piękno obracało się w pył ruiny, wykwit architektonicznego kunsztu przekształcał w gruzowisko. Proszę, nawet kamień można unicestwić.

- Jest! - Chłopcy wpadli do knajpy, wystrzeleni z anielskiej procy. Rozsadzało ich szczęście.

- Może w jakimś podwórku? - Romek rozejrzał się niecierpliwie, czas palił mu się w rękach.

- Człowieku, ja mam kota! Mam dla kogo żyć!

- Że tak spytam: ale o co chodzi? - Majka wychyliła kieliszek do dna. - Hawańskie misteria?

- Mamy kulkę - Romek był dumny. - I chcemy zająć. Pytanie, gdzie.

- Chłopcy, jakieś ukryte marzenia o kubańskim więzieniu? - zakpiła Majka. - Namiętny seks analny? Wy, kraty i kolejka lokalesów?

Mają kulkę, brawo! Czyli poleźli do jakiejś speluny i kupili haszysz. Może od jakiegoś kubańskiego ubeka. A teraz chcą palić w miejscu publicznym. Zuchy.

- Nie przesadzaj, tutaj to norma.

- Może i norma, ale ja się nie wyrywam do kubańskiego pierdła - Majka nie potrafiła się zaśmiać. - Moim zdaniem, jedyne bezpieczne miejsce to samochód. I to nie na żadnym parkingu, tylko jadąc.

- Witamy w naszym gronie Einsteina! Genialna

- Tytus wstał od stolika.

Zapalili na wyjeździe z miasta. W aucie zapachniało błogością.

- Nic nie czuję - twarz Toli zdradzała wewnętrzną pogodę ducha. Umiarkowanie inteligentną. - Wcale mnie nie wzięło. A ty, Majek?

- Mnie też nie. Lewe ziolo jakieś.

Zaparkowali na Placu Rewolucji. Z **mur**u spoglądał na nich butnie Che Guevara w berecie.

- Patrzcie, żwirek i muchomorek! - Atomek aż się zakrztusił.

Po czym wszyscy pękli ze śmiechu.

- Pójdziemy do was? - Romek całym sobą dociskał Majkę do balustrady balkonu. Był gotów i mocno się tym chwalił.

W pokoju Tytus podkładał dubbing pod kubański serial w telewizji. Towarzystwo leżało na podłodze. Na powrót do hotelu przewidziana była bowiem kulka druga.

- Może - Majka nie planowała stawiać oporu, ale należało jeszcze chwilę się podroczyć. Ręce Romka wędrowały pod jej t-shirtem. Jaki to zapach? „Black Code” Armaniego? Któryś już tak pachniał.

- Może?

- Hm. No właśnie.

Rozmowa półgłówek. Ale kto powiedział, że seks ma być atrakcyjny dla publiczności? -To?

- To ja pójde pierwsza. Wyjdź za chwilę.

Pięknie. Gdzie Tola schowała te gumki? Majka przeszukiwała szafkę nocną i kosmetyczkę Toli. Nie ma. Ale Romek będzie miał.

Nie zapaliła światła. Zapukał cicho. Bez słowa przemieścili się w kierunku łóżka.

- Masz? - Majka, choć w rozanieleniu, zwarła szyki.

- Nie, tylko na sekundkę - Romek wtulał twarz w jej szyję.

- No coś ty.

- Na moment. Tylko wejść. Tylko poczuć.

Zaczął się poruszać. Ani mały, ani duży. W normie Unii Europejskiej.

- Starczy - po krótkiej chwili Majka oprzytomniała.

- Zaufaj mi, wyskoczę. Zdażę.

- Nie, idź po gumkę. Chłopaki pewnie mają.

- Zaufaj mi, proszę. Już tyle razy miałem takie stre sy, że teraz wiem, kiedy przestać.

Zaraz, chwila moment. Tyle razy??? Miałem stre sy??? Bez gumy??? Chryste!!! Kurwa!!! Facet bzyka się na prawo i lewo bez prezerwatywy! Facet, który w tej chwili jest w środku! Kretynka!!! Majka wyskoczyła, jak oparzona.

Wściekły, Romek ubrał się i poszedł. Wrócił po kilku minutach.

-I?

- Tytus powiedział, że ma jedną i nie da.

- No to klops - Majka sięgnęła po koszulkę.

Pobite gary.

- Pojechaliśmy po bandzie - Tola wystawiła spod narzuty potarganą głowę, rozbitym wzrokiem patrzyła Majce w oczy. Leżały tuż obok siebie.

- Dałyśmy do pieca. Pofiglowaliśmy. Poharcowały.
- Majka ledwo mówiła, ochrypła. Haszysz i dzin zrobiły swoje. Odczuwała lęk. Niesprecyzowany.

- Wszystko pamiętasz?

- Częściowo.

- Kurwa.

Z drugiej strony Majki przekreślił się na bok Romek. Obok spał Tytus.

Ze stołu straszły puste butelki po dżinie, toniku i wódce. Z popielniczki wysypywały się niedopałki. Przez uchylony balkon usiłowała dostać się do pokoju morska bryza, ale bez skutku. Pokój śmierdzał stęchłym kacem i świeżości do siebie nie wpuszczał. Na krzesłach, na podłodze wały się skotłowane dżinsy, podkoszulki, bokserki. Przy łóżku poniewierało się kilka zawiązanych na supeł prezerwatyw.

- A może my jesteśmy biseksy? - Tola była blado zielona, pod oczami miała sińce.

- A może odkryliśmy naszą prawdziwą naturę? Wiesz, wrócimy i zrobimy wielki kamingał?

- Majka, czasem to ci zazdroścę tego twojego pan cerza z drwiny - Tola była poirytowana. - Cieszę się, że

tak cię to bawi. Bo dla mnie na przykład to jest zajebiste hardkorowe doświadczenie.

- Dla mnie nie, dla mnie wcale, Tolek. Seks grupowy to ja tak codziennie rano, na rozgrzewkę przed robotą. Co twoim zdaniem powinnam zrobić? Pociąć się? Wskoczyć przez balkon? Utopić?

- Wystarczyłoby normalnie pogadać. Czasem to się przydaje.

- Dobrze. Zaszalałyśmy. Przeholowałyśmy. Tak, mam moralniaka. Moja pierwsza orgia w życiu. Jest mi teraz chujowo. Ale przepraszam, że ci przypomnę detal. Nikt nas nie zgwałcił. Nikt do niczego nie zmuszał. Ba, to myśmy, a raczej ty miałaś prezerwatywy, bez których pewnie by do niczego nie doszło.

- Dzięki za słowa otuchy. Właśnie takiego wsparcia potrzebowałam - Tola demonstracyjnie odwróciła się na bok w stronę Tytusa i naciągnęła narzutę na głowę.

Chłopcy spali. Majka została sama ze swoją kacowatą niepewnością świata i mętными wspomnieniami z nocy. Kto w zasadzie zaczął? Jakoś samo wyszło. Wrócili z Romkiem do pokoju po niedoszłym bzyku. Towarzystwo ujarane, uchachane, opróżniło już litra. Dołączyli. Poszła kolejna butelka. Narastała głupawa. Zaczęły się tańce topless na łóżku z pastą do zębów w roli mikrofonu. Takie tam, gry i zabawy towarzyskie. Podlane procentem i odymione kulką libido buzowało już od dawna, ciąg dalszy sam się wywiązał. Spój-

rzeli na siebie nawzajem - i poszło. I się zadziało, jak u Houellebecq'a. Na przemian i po kolei. Prywatka, kurna, Plastusiów.

- No, chyba przespaliśmy śniadanko - Tytus raptem podniósł się na łóżku. Rześki i uśmiechnięty, niczym po dżogingu. Chłopcy najwidoczniej mieli praktykę. Śmignął tyłkiem, schylił się po majtki.

- Nastawiam kawę. Napijesz się? - Podszedł do ekspresu.

- Dla mnie też, plis - Tola wyjrzała spod narzuty.

- Jezu... - Romek otworzył przekrwione oko. - Jest jakaś woda? Schodzę.

- Tonik wypity, wody brak. Ale ostał się browarek w naszej magicznej lodówce - Tytus wyjmował już butelkę.

- Złota myśl, człowieku. Dawaj. Nie wpuszczaj nikogo!

Do drzwi pukano energicznie.

- Nasze zguby, witamy - Tytus **uśmiechał się do** Gosi i Atomka. - Dużo straciliście!

Gosia spojrzała bazyliszkiem.

- Dzień dobry, dziewczęta.

Powietrze przeciął jad ostry, jak żyłetka.

Godzinę potem, wykąpani i ubrani, całą szóstką jedli obiad. Rozmawiano o nowej prozie polskiej i starym czeskim filmie.

„Kul?”

„Spox”.

- Kto? - Tola siedziała na balkonowym krześle i malowała paznokcie u stóp krwistą czerwień. Dźwięk esemesa wybił je z ciszy, w której błogo trwały od jakieś goś czasu. - Mamusia?

- Nie, Gutek pyta, czy wszystko w porządku - Majka sięgnęła po tubkę „Sexy Bottom - brazylijski lifting pośladków”.

-1 co napisałaś?

- Że fajnie.

„Łenkambek?”

„Jutro, bajbaj”.

- Popatrz, jaki **lawer. A ty tak w ogóle to z nim** jesteś?

- Trochę. Jesteśmy fucking friends. Swoją drogą, jak to przetłumaczyć? Pieprzący się przyjaciele? To raczej jakiś pan Staś z panem Zdzisiem.

- Może przyjaciele od pieprzenia? To brzmi ładnie, polsko, rodzinnie - Tola zakreślała lakier Diora. -Albo: przyjaciele swoich genitaliów. W wolnym tłumaczeniu.

- Albo po prostu pieprzeni przyjaciele. To najlepsza definicja.

- A nie masz w ogóle moralniaka? No wiesz, że w sumie to go jakoś tam zdradziłaś.

- Jakoś tam, pięknie powiedziane. Grupenseks raz, bzyki dwuosobowe razy nie wiem ile, owszem - jakoś tam go zdradziłam.

- I co, wrócisz jutro i z nim pójdiesz do łóżka? A dziś się jeszcze bzykniesz na do widzenia z Romkiem? A pomiędzy skrupulatny prysznic? I peeling gruboziarnisty?

- Pytanie jest tendencyjne. A tak na poważnie, to nie. Nie mam żadnych wyrzutów sumienia. A nawet bym chciała.

- Pięknie, Majek. Kobieta wyzwolona. Mimowolna feministka.

- A co jest feministycznego w tym, że ja się kurewsko zachowuję?

- To, że faceci ruchają wszystko co się rusza, a nie dają tego prawa kobietom...

- ...jasne, i ruchają kury.

- To też! Dla faceta seks to jest sport. I dla ciebie też. I dlatego jestem z ciebie dumna. Serio. Z siebie zresztą też. Gramy wedle swoich reguł na tym boisku.

- Tolek, robisz z chuja filozofię. Lubię seks i nie ma w tym nic więcej. Jest okazja, mam ochotę, jaki problem? A rano nie mówię „kochanie”. Gdybym była zakochana, to bym nie zdradzała.

- Jesteś chorobliwie wyzwolona i uzależniona od mocnych wrażeń.

- Bzdura. Mogę żyć bez seksu. Niezbyt długo, ale mogę. Nie mam obsesji. Nawet mnie brzydzi ta historia

jakiejś Angielki, która opisuje swoje orgazmy z setkami facetów. Co za nedorzecznosc, fotel ginekologiczny na kartach powieści!

- A po czym rozpoznasz, że czujesz do faceta coś więcej, niż pociąg fizyczny?

- Proste. Mam ochotę się do niego przytulić, a nie tylko bzyknąć.

- To po bzyku się nie przytulasz?

- No czasami. Ale są przecież różne przytulania.

- Ja tam się zawsze przytulałam.

- Ulubiony temat, jak słyszę - Gosia wyszła na balkon w szlafroku, ręcznikiem wycierała mokrą głowę.

- Takie tam. Fajfy dziewczęce.

- Spakowane?

- Jes, ła ar.

Kolonie dobiegały końca. Mai stężało serce.

Rozdział trzeci, w którym Mefisto psoci i płoną łódki

- Czy łączy pana związek emocjonalny z żoną?

Skład sędziowski: pięć babochłopów. Sala sądowa:
zatechła, rażąca oczy, bezduszna.

- Co pani rozumie przez związek emocjonalny?

- Wysoki Sądzie!

- Co Wysoki Sąd rozumie przez związek emocjonalny?

- Czy pan kocha żonę?! - sędzina się wydarła.
A Rumcajs przecież tylko dbał o klarowność.

-Nie.

- Czy pani chciała mieć dzieci?

- W dalszej przyszłości - Majka ledwo mówiła przez
ściśnięte gardło, stojąc w tej dziwnej ambonce pośrodku.
Tak jak w reklamie: odpowiedź poza prawdą i fałszem.
Ambonka to nie jest miejsce dobre do wspomnień. Do
opowieści o bromergonie, o kilkugodzinnych testach na
sprawność przysadki mózgowej, o cyklicznych

badaniach prolaktyny, zawsze z tym samym wynikiem. O wielu przegadanych godzinach z przyjaciółkami, z których żadna nie zachodziła w ciążę, wszystkie łykały te same piguły i wszystkie słyszały od lekarek tę samą poradę: Mniej stresu. Mniej nerwów. Wolniej.

Przerwa. Piętnaście minut. Góra dwadzieścia. Każdy poszedł w swoją stronę. Rumcajs pod jakieś okno, Maja na jakąś ławkę, adwokat stał pośrodku i patrzył na czubki swoich butów. Na korytarzu sądu nie ma wspólnego kierunku. Pomimo ładnych, koleżeńskich stosunków.

Dobrze wyglądam, pomyślała Maja, przeglądając się w brudnej szybie. Opalona, wypoczęta. Żaden tam wrak o postrzępionych nerwach. Żadna tam chlapiąca histeryczka. Dzielna dziewczynka, skrojona na nowocześniejszą miarę szybkich spotkań i pożegnań.

Sąd orzeka o rozwodzie. Proszę, szast-prast. Godzinka i po wszystkim. Mc'Rozwód. Brak dzieci i brak biedy czynią sprawę prostą. Sojusz egoistów niniejszym uznajemy za zakończony.

- Podrzucić cię? - zagaił Rumcajs na schodach gmaszyska.

- Dzięki, jestem samochodem.

Maja stanęła plecami do budynku sądu, popatrzyła na ścinane spalinami i przymrozkiem miasto. Aleje Solidarności skrzeczały gwarem, piskiem tramwajów, tumultem nerwowych klaksonów. Na ulicznych straganach siedziały Mikołaje i bombki.

Maja ruszyła przed siebie. Było jej cicho.

- Musimy pogadać.

- Chcesz się rozstać? - Gucio sięgnął po papierosa i oparł się o blat kuchni. Ile było awantur o te kafelki, ile frustracji i złości, kiedy pół roku wcześniej umęczona remontem Majka prosiła go o pomoc. Nad kafelki, w weekendy Gucio przekładał sprawy męskie.

- Tak. To nie ma sensu. - Majka kuciała przy kojcu i głąskała śpiącego Bazylego. W tle radio PIN nadawało swój czilał. Mieszkanie piętro wyżej od dobrej godziny rozbrzmiewało imprezą. Miesiąc temu opuszczone przez schorowaną staruszkę, która całymi godzinami przesiadywała oparta na poduchach w oknie, błyskiem zostało przejęte przez młodych lokatorów. Pewnie urządzali parapetówkę.

- Nie dasz sobie rady sama. Jesteś za słaba psychicznie.

- Nie sądzę. - Bazyli puścił bąka, Majka odsunęła się od kojca.

- Masz kogoś?

Faceci. Zranione ego samca. Musi być rywal. Musi być walka.

- Tak trudno ci pojąć, że ja może po prostu wolę być sama niż z tobą? Że przy tobie nie jestem na swoim miejscu? - Majka też sięgnęła po papierosa, choć przecież nie paliła. Prawie.

- Zaliczyłaś jakieś miłe bzykanko na wakacjach?
- Nigdy nie kapowałam, skąd jest w tobie tyle agresji. Takiej wściekłości na wszystko.
- A, czyli jednak dymanko. I co, fajnie było?
- Po co utrudniasz? Co to ci da? Będzie ci lżej, jak się nawyzywamy na koniec? Wtedy będzie lepiej?
- Dobra, proszę bardzo. Idź się dymaj, z kim chcesz! Za rok będziesz rozwalona psychicznie!
- Nie popuści. Jeleń zdycha na rykowisku i wierzga.
- Gucio, rozejdźmy się. Mnie w tym już nie ma od dawna. Nie czuję się związana. Przecież się nie zmuszę!
- Wiesz co, masz zajebisty cellulit na tyłku! - Gucio ochamiał i wybił się z kontekstu.
- Wyjdz - Maja podeszła do drzwi i przekreśliła zamk.
- Dobra, dobra, proszę bardzo! To była najbardziej chujowa relacja w moim życiu!
- Wyszedł. Z góry dobiegł zbiorowy ryk: TAK SIĘ BAWI, TAK SIĘ BAWI, IPEEN!!!
- Pięknie. Babcię poduszkowca zastąpiły prawicowe oszołomy.
- No i jak, kochana? - Tola zadzwoniła, kiedy Maja leżała na kanapie i zgłaszała na cały regulator telewizyjne wiadomości.
- Zależy, o co pytasz.
- Myślałam, że dziś się tylko rozwiodłaś. Ale widać nie jestem na bieżąco.

- Rano się rozwiodłam. Potem byłam w robocie. A po południu rozstałam się z Guciem.

- Brawo. I co teraz robisz?

- Leżę na kanapie i mam w dupie wojnę w Somalii.

Ten palant mi jeszcze nawymyślał na koniec.

- Który?

- No Gucio.

W słuchawce zaległa cisza.

- Idziemy w miasto?

- Nie mam nastroju. Dzięki, kochana, ale dziś chyba wolę być sama.

- Dziś czwartek.

- Umiesz przekonać - Maja się uśmiechnęła, wycierając mokry policzek.

I poszła.

- W czym ja jestem gorsza?! - Gosia tarła dłonią tusz rozmazany pod okiem i wyła. - W czym?!

To się nazywa atmosfera przedświąteczna. Ostatni raz Gośka dała tak w palnik przed studniówką w społecznym liceum, kiedy to pito pod Bacha i Viscontiego, a nie roztrzaskane serce.

Maja sięgnęła po swój kieliszek, Tola wstała od stołu i podeszła do stojaka na wina.

- Chianti, czy bardolino?

- Oba. Niech się drugie wietrzy - Majka spojrzała na szarą, jedwabną zasłonę w oknie. Piękna. - Gosik, to jest dla ciebie szansa - kto by pomyślał, że w tydzień po rozwodzie Majka będzie terapeutką. - Wynajmij mieszkanie. Cierp. Ale się odetniij od tego syfu. Musisz postawić granice.

- Nie umiem być sama - Gosia położyła ciepły, zaryzowany policzek na mleczno szklanym stole ze stalowym obramowaniem. Majka potoczyła wzrokiem. W mieszkaniu Mefista czuła się zawsze jak w katalogu. Żadnego zbędnego detalu. Przemyślany każdy kontakt w ścianie. Świeczka dobrana kolorem do podstawki. Kafelek, który przyjechał do łazienki z Sycylii wypucowany na połysk. Takich mieszkań nie trzyma się ani kurz, ani dusza.

- Przywykłam do tego miejsca - Gośka polegiwała już rozwalona na krześle, na którym siedziało się może i trudno, ale krzesło nie od tego tu było. Luksus bywa silnym spoiwem uczucia.

- Kreseczka i ucztą wideo? - Majka była zabezpieczona na ten wieczór.

- Syp - Tola zasłoniła jedwabną zasłonę, za którą znikła uliczka wysadzana czapami śniegu i migoczące na sąsiednim podwórku świąteczne lampiony, hurtowo strojące Saską Kępę.

Majka sięgnęła do przewieszanej przez poręcz krzesła torebki. Prada jest jednak wieczna. Wyjęła plasti-

kowy woreczek i kartę kredytową. Odsunęła kieliszek

- kryształ rżnięty, ale w wariancie Villeroy & Boch modern. Usypała na blacie apetyczną górkę, po czym zaczęła postukiwać plastikiem i nadawać jej kształt smugi-

- Gotowe - smuga leżała na stole.

- *Między słowami czy Gusta i guściki?* - Tola stanęła przy półce na dvd.

- *Gusta*. Która zaczyna? Tolek? Jedziemy. Trzymaj, banknot.

I pojechały. Rulonem po blacie. I smuga znikła.

- A może sobie coś upichcimy? - Majka energicznie pociągała nosem, próbując zassać ostatnie białe drobiny.

- Super! Pod film! - smuga wskrzesiła już w Toli entuzjizm. - Gotujemy!

- Kluchy! - Majka energicznie kokosiła się w kuchni z Tolą, Gosia leżała na kanapie z zapuchniętymi oczami. Chwilowo była nieobecna.

- Czosnek! Cebula! Gosik, masz może chili? - Tola siekała gwałtownie.

- Zobacz w kremowej misce na parapecie - Gosia dolewała sobie resztkę z butelki wina. Czwartej tego wieczoru, który się dopiero zaczynał.

- Makaron biorę gryczany! Makaron już tu jest! - Tola kuciała przy szafce i wypinała pupę z metką Guess.

- Jaki robimy sos? Halo, halo! Pytam jaki robimy sos!

- Odbiór, odbiór! Zaraz zobaczysz! Poczekaj! Halo, halo! Robię sos! - Majka wrzucała warzywa na skwiercząca oliwę. - Wiesz, nie kapuję jak ludzie mogą jeść jakieś gotowe spaghetti ze słoika, przecież to sama chemia, konserwanty, nie kapuję! Trują się jakimś shitem niesamowite, normalnie niesamowite, że im się chce to gówno jeść! Poproszę jogurt i pomidory widziałam, że są! Pomidory, o już pokrojone one są!

- Parmezanie! Jaśnie panie parmezanie! Jaśnie panie parmezanie wyjdź! Z lodówki wyjdź a ty!

Tola i Maja nadawały jak obłąkane katarynki. Kokaina działała. Gosia piła i ścierała łyzy. Po mieszkaniu rozchodził się czosnkowy aromat. Patelnia przyjemnie bulgotała, dymiała.

- Czyj? - Gosia aż podskoczyła wśród kanapowych poduch na dźwięk esemesa. Nie, to nie Mefisto.

„Nie wiem, co to jest cellulit. Gucio”

- Nie odpiszesz? Majek nie odpiszesz? - Tola rozstawiała talerze.

- Ani mi się śni, a co! Nie odpiszę! Nie, nie, nie! Mowy nie ma, nie chcę już z nim być!

- Chuje. Wszyscy - Gosia prawie bełkotała.

- Wołałabyś nie usłyszeć?! - wydarła się nagle oprzytomniona czymś Majka.

- Wiesz, Majuś, wołałabym nie mieć czego usłyszeć!!! - zawyła Gosia.

- Trzeba było się wyłączyć!

- A ty byś potrafiła?!

Oto uroki myśli technicznej. Komórka. Mikroskopijny zabójca. Że też nie wynaleziono jeszcze trwałych zabezpieczeń. Takich niemożliwych do odblokowania dla wprawnych palców. A mówią, że kobiety nie mają podzielnej uwagi. Nonsens. To kwestia tylko odpowiednio silnej motywacji. Czterdzieści tysięcy miesięcznie na rękę Mefista wystarczy, aby rozwinąć sprawność manualną.

- Myślisz, że zrobiła to specjalnie? - Tola także zaczęła opadać w werbalnym entuzjazmie.

- Wiesz, powiem wam, że nie to mnie najbardziej boli, więc może znajdziecie w sobie jakieś ludzkie uczucia?! Empatię?!

- Masz pewność?

- Ależ nie, ależ skąd. Telefon, pytam „Co u ciebie misiu?”, ale nie ma odpowiedzi. Bo zamiast: „Kochanie, zaraz jestem w domu” słyszę, jak mój miś się dyma. Ale, ojoj! Nie ze mną. Chyba skądś znam głos tej kurwy....

- To ona coś mówiła? - Majka pożałowała, że pyta, już w połowie zdania.

- Wyobraź sobie, że oszczędzę ci detali. Przecież on mógł mnie rolować na prawo i lewo od dawna, jak tak teraz o tym myślę. Jaka ja jestem idiotką...

- A może to jednorazowa skucha?

- Jakoś tak... zbyt czule ze sobą gadali, o ile te sapania można nazwać rozmową. Jakoś tak, jakby się znali...

- Kochana! - Tola zamasyście mieszała kluski na patelni i wybuchała coraz już rzadszymi eksplozjami podrasowanego śmiechu. - Nie masz dziecka, nie masz ślubu i mówisz, że masz problem? Bułka z masłem. Wykombinujemy tylko, jak go skosić z kasy. Życie staje otworem. Siadamy! - Tola pochwyciła parującą patelnię i z rozmachem mistrza kuchennego fristajlu wygarniała na talerze porcje makaronu, zostawiając niesforne witki gdzie popadnie na blacie.

Do dupy jednak ta zima, pomyślała Maja, wychylając kolejne wino.

- Co teraz zrobisz ze swoim życiem? - Papon wpro wadzał nastrój świątecznej refleksji. Wujowie i ciotki milcząco przytaknęli powagą spojrzeń. Wigilijna do niosłość chwili. Majka głaskała Filemona, który puszyście usadowił jej się na kolanach. Palcami przeczesy wała jego popielate futerko. Wykrochmalony na sztorc śnieżny obrus puszczał oko krwistą plamą z barszczu, której pomimo zbiorowych histerycznych starań nie udało się wywabić.

- Nie wiem. Może jutro stanę w Jerozolimskich z kartką: „Biologicznego dawcę nasienia chętnie po znam”? Co ty na to? - Majka siedziała już o dobrą go dzinę za długo w atmosferze rodzinnego wsparcia, aby utrzymać grzeczność z pierwszego kwadransa. Wu-

jostwo potoczyło gałkami ocznymi pod niewidzialną gwiazdę, jak gdyby ćwiczyli ujęcie do filmu *Idioci*.

- Lepiej pójść po rekina, bo skwierczy - Mamon energicznie zerwała się i pobiegła do kuchni.

- Jest chłopak. Makler. - Wyciągnięty na ludwиковskim krześle Papon pikał pilotem, przerzucając na plazmie zdjęcia z Indonezji. Zdążył jeszcze pouczyć półkulę wschodnią o wadze biologii molekularnej, nim tsunami sprzątnęło z ziemi audytorium.

- Podejrzewam, że wielu chłopaków jest maklerami - Majka sięgnęła po kawior, który teraz formowała na blinie w obłą kulkę.

- Pokazałem mu twoje zdjęcie i jest...

- Co zrobiłeś?!!! - Majka puściła widelec i wpiła się paznokciami w Filemona, który z piskiem dał susa.

- ...i jest zainteresowany. Nie jesteś już najmłodsza. Zegar tyka. O, a tutaj wygłaszam odczyt - Papon się uśmiechnął, wujostwo wydało z siebie gwizd uznania.

-Aleja nie jestem.

- Chłopak pracuje od rana do nocy, zarabia, ma mieszkanie, nie ma czasu na przyjaciół, chętnie pozna dziewczynę. Czego ty więcej w życiu szukasz?

- NIE TEGO - Majce oczy iskrzyły wściekłością.

- Tata chce dobrze, chce pomóc. - Mamon krzątała się już z półmiskiem przy stole. - Dla dużych mężczyzn, duży kawałek. Pozwól, Wiesiu. Rekin. Świeżo złowiony! - Wuj Wiesio serdecznie uśmieł się na ten dowcip.

- Będziemy za tydzień oglądać mieszkanie na wynajem - Papon pałaszował tradycyjnego wigilijnego rekina i z niezmaconą pewnością siebie roztaczał plan. - Poprosiłem go, żeby wpadł. Doradzić.

- Makler giełdowy będzie ci radził, czy fuga pasuje do kafelków? To faktycznie jakiś wszechstronny talent. Diament - Majka z zaciśniętymi zębami wpatrywała się w Papona migającego na plazmie, teraz już w wersji: słoneczne Hawaje.

- Majka! Tata się stara!

- Życia nie znasz, dziewczyno - Papon nie dawał się sprowokować. - Trzydziestoletnia rozwódka. Myślisz, że wszystko przed tobą? Lata lecą.

- Tak, tak właśnie myślę. I przypomnę detal nieśmiało: nie skończyłam jeszcze trzydziestu lat.

- Tak się mówi - Papon był wyraźnie strapiony tą beznadziejną sytuacją. - Byłoby dobrze, gdybyś i ty wpadła. Poznacie się. On ma jakieś siedemdziesiąt metrów, jak sprzedacie, starczy wam na sto pięćdziesiąt w nowym budownictwie.

- Czy któryś z moich eksnarzeczonych choć trochę przypominał maklera giełdowego? Czy ja przypominam maklera giełdowego?! - Majka traciła panowanie nad sobą.

- Nie. I właśnie dlatego tak marnie kończysz - spuentował z żelazną logiką Papon, wycierając brodę chusteczką.

- Koniec, koniec, mamy święta! - Mamon nadsięgnął z odsieczą. - Sushi! Mojej własnej roboty. A po sushi przyjdzie Mikołaj.

- A co z Gustawem? - Papon nie zamierzał łatwo się poddać. - Porządny chłopak. Obrotny. Wysoki. Przy stojny.

- No, to może dam ci telefon? Skoro wpadliście sobie w oko.

- Maja! - Mamon spłonęła rumieńcem gniewu. Po czym dołączyła do frontu „zatroskani rodzice pilnie szukają mężczyzny dla swojej przegranej córki”.

- Ten Guccio był przecież miły. I jak pięknie rozpałił grilla na działce...

- Nie cierpię grilla. I co to w ogóle za kryterium?! Rozpałił grilla!

- Dziewczyno! - Papon oparł obie dłonie na stole i przemówił głosem tubalnym i groźnym. - Życie nie jest lekkie. Grill, nie grill. Tak się mówi. Teraz. A potem zobaczysz, jak ci przyjdzie samej grilla palić, będzie ci przyjemnie?

- Czy wyście oszaleli z tym grillem?! Nienawidzę grilla! - Majka już nie mówiła, lecz krzyczała.

- Dziecko, a dlaczego w zasadzie nie lubisz grilla? - Ciotkę Zosię konkretny dylemat wybił z kontemplacji plazmowego Papona, który tonął oto w kwiecistej koszu, purpurowych wieńcach i uściskach dwóch czekoladowych gazeli w bikini. Mamon zapewne robiła to zdjęcie. - Grill jest smaczny. O co te kłótnie?

Wigilia grillowych obłąkańców. Ratunku!

- Kończąc temat. Nie lubię grilla, kropka. Jeśli ktoś przy tym stole tęskni za Guciem to służę numerem telefonu. Na resztę pytań nie odpowiadam - Majka nadwątlonymi siłami odnalazła w sobie przetrzebiony skład asertywności.

- No, czyli makler ... - takt nie mieścił się w tęgiej głowie Papon. Niewiadoma mogła być tylko w równaniu, ale nie w życiu.

Majka zerwała się z krzesła, rzuciła „przepraszam” do skonfundowanego wujostwa i wybiegła z salonu. W kominku strzelały polana, ogień lizał płomieniami wypucowaną na glanc szybkę.

- Maju... - Mamon odstawiła pusty półmisek do wszystkochłonnej, połyskliwiekosmicznej zmywarki, którą Papon ufundował na trzydziestolecie szczęśliwego pożycia. Majka siedziała skulona pod lodówką typu „pijany sen amerykański”: dwie pary drzwi, trzy zamrażarki.

- Czy myślisz, że ojciec jest ideałem? Pięć razy już bym się rozwiodła, gdybym reagowała tak emocjonalnie. Nieroztropnie działasz. Nieżyciowe Raptownie -Mamon zamiatała dłonią niewidzialne okruchy z kamiennego blatu prosto z Toskanii.

- Jesteście szczęśliwi? Po cholere wam to wszystko?
- z głupia frant wypaliła Majka.

- Szaleju się najadłaś? Czy ty żyjesz pod mostem?

- Tak, wiem, razem do wszystkiego doszliście. Ale może musieliście? W PRL-u trzeba było być rodziną, bo singiel był ekonomicznie niewydolny. Nie dostawał kredytu, no i w ogóle.

Mamon spojrzała groźnie sponad desowskiego nazyjnika art deco i zatrzęsła krótką fryzurą, pokrytą farbą barwy czerni smolistej.

- Maju... pozwól, że coś ci wyjaśnię. W twoim wieku byłam szczęśliwą mężatką. Miałam ciebie. Mieszkaliśmy z tatą we własnych dwóch pokojach, których nikt nam nie dał w prezencie. Byliśmy rodziną. A co ty masz? Nasze mieszkanie, w którym mieszkasz? Papier rozwodowy? Dziesięć lat imprez na koncercie? Narzeczone, których odprawiasz po kilku miesiącach? Maju, mówisz o PRL-u?

Mamon miała rację. W wigilijnej nawigacji Majka nastawiła opcję: Konstancin - ewakuacja.

- Zmień w końcu opony na zimowe - godzinę później Papon czujnym okiem i pilotem zarządzał wyjazdem Majki z garażu. Poobcierana czerwona honda miewała bowiem luźne podejście do ograniczeń przestrzennych.

„Zmień opony” - czytaj w języku Papona: przepraszam, martwię się o ciebie. Ceramiczny gar z kopolą za-

jął całe miejsce dla pasażera. Mikołaj dał Majce tadżin. Nic, tylko wrócić do domu i wrzucić osiem kilo jagnięciny dla wygłodzonej czternastoosobowej rodziny marokańskiej.

Majka jechała krętymi uliczkami, mijała rozświetlone okna ukryte za śnieżnymi koronami i niezobowiązująco warownymi ogrodzeniami. Skręciła z opustoszałej jeszcze przed wigilijnymi powrotami Wisłostrady, dotarła na podwórkę, zaparkowała samochód. Spojrzała w swoje okna. Ups! Zapomniała zostawić Bazylemu lampkę! Wzięła pod pachę arabski kocioł i ostrożnie stąpając w szpilkach wśród szarozółtej śnieżnej chlapy, powlokła się do ciemnego mieszkania.

Oszronioną tafłę jeziora ścinał mróz. Pełgające na horyzoncie jasne punkty migotliwie rozświetlały przestrzeń po drugiej stronie brzegu. Majka pochyliła się z krzesła i szczerzej opatulila nogi śpiworem puchowym. Poprawiła koc wokół Bazylego, który przycupnięty u jej stóp raz po raz fukał z zimna lub z zachwytu nad tą niespodziewaną altdorową aktywnością. Mazurska noc tonęła w mroku i ciszy.

- Wyłączyłaś telefon?
- I tak się będzie przeciążona - Gosia w czapce Max Mary i pod kraciatym pledem z chałupy wygląda-

ła jak senne **marzenie chłopki spod Augustowa, raptem** przebudzonej.

- Jeśli nie wyłączysz w ciągu minuty, wywalę ci go na środek bajora. Będziesz musiała wybierać. Olać chuja czy iść i ginąć za nadzieję, że chuj zadzwoni - Tola mocniej naciągnęła na uszy futrzaną pilotkę.

- Mówisz o moim narzeczonym.

- Byłym narzeczonym? Halo?

- Gosia, wyłącz. Ile czasu zostało? - Maja zaczęła dokopywać się przez rękawiczki do zegarka. - Dwa-dzieścia minut. Pora na łódki.

Sięgnęła po foliową torebkę, rzuconą na kępkę zamrożonej trawy i wyciągnęła z niej trzy kawałki ostruganego drewna. Tola wyjęła z kieszeni zapalniczkę i świeczki.

- Życzenia. Gosia, ty pierwsza.

- Żeby się ułożyło. Między nami.

- Za nowy, zajebisty rok! Za Polkę na obczyźnie! Drzyj, Wielka Brytania! - Tola co sił w płucach wydarła się w pustą przestrzeń. - Maja?

- Żeby było mi dobrze.

Trzy rachityczne drewniane łajbki, chybotliwie smagane podmuchem, ślizgiem oddalały się po lodowej powierzchni. Unoszone na ich grzbietach płomienie dzielnie walczyły z wiatrem, nim znikły.

Kończył się rok burz. Jaki będzie następny? Maja pociągnęła wino prosto z butelki. „I will survive!” w oddali chałupa ryknęła disco hitem.

- Dziewczyny!!! - znajomi **Toli wołali na imprezę** w domku.

- Idziemy? - Maja energicznie wygramoliła się z puchowego kokonu na krześle.

- Już pięć po północy - Tola składała leżak. - Od pięciu minut obowiązuje plan: Aler gejm - to - noł pein. Tyłek mi już przymarz} od tych naszych smutów augustowskich. Świtezianki, wymarsz na Sylwestra!

Rozdział czwarty, w którym Bzyk Pierwszy wprowadza dwie cytrynki

„...za darmo w centrum miasta będą natomiast mogli parkować uczestnicy Powstania Warszawskiego” - rezolutny głos lektora radiowego przerwał podskoczenie komórki, którą Maja zostawiła wcześniej na pralce. Kołtuniąc pianę na głowie, wystawiała twarz wprost pod ciepłe strugi prysznic i obliczała w myślach, ile lat mają dziś sędziwi kombatanci. Piękny ukłon władz w stronę całej armii stuletnich kierowców! Zaraz, kto pisze tak rano??? Maja otworzyła drzwi kabiny, postawiła opiononą piętę na kafelkach i sięgnęła po telefon.

„W imieniu redaktor naczelnej: cały zespół proszony jest o stawienie się w redakcji punktualnie o godzinie dziesiątej, pozdrawiam, Basia”. Hm... Czyżby Jaskółeczkę wywiewało do telewizji?

Majka zrzuciła stertę-wiecznie-do-prasowania z deski na łóżko, wysuwała z niej czekoladową koszulę, po-

chwyciła z wieszaka puchówkę i pospiesznie wybiegła z mieszkania. Bez kawy nawet. Sytuacja, miała przecucie, była poważna. Z resztki breji, zalegającej za wycieraczkami hondy, wyciągnęła zamoczony świstek papieru. „Jak parkujesz, baranie?!” brzmiała jego treść. Letnie opony z rozmachem rozkopywały hałdy skalowanego, mokrego śniegu. Maja wrzuciła płytę Bre-ła, solidnie nacisnęła na gaz i ruszyła ze ślizgiem. Po kwadransie pospiesznej jazdy wyśpiewywała właśnie udratyzowaną strofę o marynarzach w amsterdamskim porcie, kiedy zatrzymała się za TIR-em. Przez kolejnych pięć minut TIR ani drgnął. Korek. Dziewięta czterdzieści pięć... Nie dzisiaj!!! Miasto wdrażało centralny system oświetleń i usprawnień.

„Zaraz będę”, wystukała esemes do koleżanki z za biurka, tocząc się milimetr po milimetrze. „Już nie masz po co”, wyświetliło się na ekranie komórki. Żesz kurwa!

Pół godziny potem wbiegła po schodach szklanego gmazyska. Wprost na koleżanki, które nerwowo paliły papierosy na półpiętrze.

- Idź, sama zobacz - rzuciła Ela, graficzka.

W redakcji na biurkach stały butelki czerwonego wina. Po jednej na każdym. Komputer nie reagował na klawisz „enter”. Taki tam, Dzień Dziecka. I kto powiedział, że niemiecki pracodawca w człowieku widzi tylko procenty i słupki sprzedaży?

- Zamknęły nas? - Majka sięgnęła po papierosa.

- Tak jakby. Wprowadzają nasz tytuł w Rumunii, więc zwijają go w Polsce. Za godzinę mamy podpisać likwidację stanowisk pracy.

- No, to idziemy zakosić beret jakiegoś Rumuna w Jerozolimskich? - Majka nie dowierzała. Rok temu przeniosła się do tej redakcji. Nigdy nie była bezrobotna.

- Pijemy wino? - Elka spojrzała na zegarek. - Dziesiąta trzydzieści. Piękna godzina. W sam raz na drinka.

- Pewnie. Zarząd przecież wyznaczył kierunek, w którym należy dziś podążyć.

Na półpiętrze zaległa cisza. Kredyty do spłaty, ma-lutkie dzieci, bezrobotni mężowie lub mężowie artyści - hobbyści... Każda liczyła w głowie, na ile wystarczy odprawa. Majka układała listę znajomych w wydawnictwach. Plus Rumcajs i Gucio. Niech się do czegoś nada ta wspólna przeszłość.

Kilka godzin później, ściskając w dłoni zmietoszo-ny dokument polegiwała w taksówce, która przebiegała się przez miasto w popołudniowym wirze. I co, wstanie rano i dokąd pójdzie? Dziwne uczucie. Dziwne. Choć Bazyli będzie wniebowzięty.

- Tolek? Zamknęli mi robotę. Jestem w niezłej dupie - Majka mówiła ciut bełkotliwie i ciut wolniej, niż zwykle.

- Klubo? - Tola rzeczowo i konkretnie podeszła do kwestii wsparcia.

- Idę. Dzisiaj idę bardzo.

W środową północ przed wejściem do śródmiejskiej bramy kłębił się tłum w gwałtownej potrzebie tańca. Środa to przecież mały weekend.

- Wchodźcie - selekcjoner zbyt dobrze znał Majkę i Tolę, aby być przeciw wejściu.

Przeclisnęły się do szatni. Alternatywny szatniarz cały w tatuażach uwijał się pod kartką: „Kurtki nieodebrane czekają na właścicieli przez dwa tygodnie. Potem oddajemy je opiece społecznej”.

Ciemno, tłoczno, duszno. Lasery i czerwone lampiony w kątach raz po raz wydobywały z niewielkiej przestrzeni ciała zbite w płasach i wygięciach. DJ podskakiwał nad konsolą.

Podparte o ścianę piły wódkę z red bullem, kiedy nagle czyjeś ramię objęło Majkę za szyję.

- Maja!!! - wydarła się jego właścicielka.

- Pelagia! - Majka cmoknęła w policzek dawno niewidzianą koleżankę z poprzedniej redakcji.

- W drugiej sali jesteśmy całą bandą! Chodźcie!

Brnąc przez zwartą strukturę tanecznego organizmu, Majka z Tolą i Pelagią wyminęły w przejściu parę, zapamiętaną na podłodze w uścisku o krok od kopulacji. Obok całowało się dwóch kolegów. Grzecznie, staroświecko, bo bez rozpinania koszul i spodni, w przeciwieństwie do sąsiadów z dołu.

W sali obok nadawano rytmy retro oraz disco. Tanczny organizm falował od ściany do lady baru. Gdzieś tam gdzie okazywano sobie czułość i namiętność. Ich obiekty zmieniały się wraz z puszczanym przebojem. W dzisiejszych czasach należy być jednak elastycznym.

- Bzyk Cytrynka. Miło mi cię poznać - znajomy Pe lagii przytrzymał dłoń Majki o chwilę dłużej, niż by na leżało.

Majka poczuła falę ciepła. Ale towar! Bystre oczy. Wyrazista twarz. Idealna sylwetka. Świetne ciuchy. No i wysławia się po polsku, o co coraz trudniej na rynku. Zawód: rehabilitant.

- Jaka szkołę się kończy na fizjoterapeutę? - Majce zapaliła się czerwona lampka: pracownik fizyczny???

- Akademię Wychowania Fizycznego. Wiesz, całkiem regularne studia - Bzyk Cytrynka tylko się uśmiechnął.

Pięknie. Można zatem rozważyć wymianę ciał i myśli.

- Napijemy się jeszcze? - zagaił po sekundzie.

- Pewnie.

Poranek budził Warszawę mroźnym podmuchem i krystalicznie błękitnym niebem. Majka i Bzyk Cytrynka dojadali kebaby, wystane dzielnie w piętnastominu-

towej kolejce tancerzy na głodowym kacu. Szli Marszałkowską. Milczeli, trzymali się za ręce. Usiedli na murku pod arkadami budynku. Tramwaj skrzypliwie przeciął Plac Zbawiciela. Bzyk Cytrynka odgarnął kosmyk z czoła Majki.

- Cieszę się, że cię spotkałem. Myślałem, że przed latem nikogo już nie poznam.

Godzinę później stanęli przed kamienicą Majki, wpoł objęci.

- Mogę wejść? - przybliżył usta.

- Nie. Trochę za szybko. Nie znamy się przecież - chrypliwie wyszeptała Majka. Cytrynka zbyt był rokujący, aby wystawić się do jednorazowego użytku.

- Myślałem o herbacie... Jest chyba minus dziesięć, idziemy od dwóch godzin, zamarzam... Wypiję herbatę i wyjdę. Przysięgam.

- Słowo? No dobra.

Bazyli nieufnie obwąchał gościa, po czym zwinął się w kłębek na swoim posłaniu. Majka nastawiała czajnik.

- Ładnie mieszkasz. Choć przydałby się drobny lifting. O, tu tynk trochę ci odchodzi...

- Dzięki, nie szukam dekoratora wewnątrz. Z cukrem? - Majka zapalała gaz. Co on, włazi i się szarogęsi! Mędrzec ścienny.

- Chodź - wziął Majkę za rękę i przyciągnął do siebie.

Całuje nieźle... Czajnik świszczwał, sapał i skakał, aż niemal pękł na kuchence, nim Majka, wyswobadzając dłoń, mogła przekręcić pokrętło.

- Mocną?

- Później - objął ją w tali, docisnął sobą do blatu w kuchni. Ręce powędrowały pod bluzkę, niżej, niżej, niżej...

- Nie - Majka odepchnęła go gwałtownie.

- No coś ty... tylko się poprzytulamy trochę.

- Albo pijesz herbatę, albo do widzenia.

- No chodź - znowu podszedł.

Majka przeszła przez pokój i zamasyście otworzyła drzwi wejściowe.

- W takim razie wyjdź.

- Daj spokój... przecież jest tak przyjemnie - znów zaczął całować ją po szyi, dłoń przesunął na guzik spodni. Pociągnął za suwak.

- Wyjdź. Teraz. Poproszę - Majka gwałtownie odskoczyła do tyłu. Mówiła spokojnie, ale stanowczo.

- Idę, już idę. Ale bardzo mi jest niemiło! - Bzyk Cytrynka posłał cięty piorun swoim błękitnym, lecz zachmurzonym od złości okiem. Złapał kurtkę i wyszedł. Nawet się nie pożegnał.

„Bardzo mi jest niemiło”? Bo byłem grzeczny i nie dostałem loda?! A co to, Ochotnicze Pogotowie Dawania Dupy, filia Mokotów?!

Majka, wściekła, rzuciła z siebie ubranie na podłogę i naga zanurkowała pod puchową kołdrę. Obudziła się z bólem głowy i suchym gardłem. Leżąc, sięgnęła po komórkę na szafce nocnej. Czternasta... O rany, ale zasnęła! Jaki dzisiaj plan dnia?! Wywiad? Z kim?

O której? Nie... Dziś nie idzie już do pracy. Tępo wpa-
trywała się w ekran telefonu. O, trzy nieodebrane wia-
domości.

„Uknowaliśmy z sobą przesłodka umowy/ Co bar-
dziej są kryjome niżli dal w zamroczy/ Noc ciemna wy-
pytuje daremnie me oczy/ O nowiny zamknięte w zata-
jeń okowy”.

Majka zdębiała i wykokosiła się z pościeli, aby w pio-
nie stawić czoła tajemnicy. Nieznany numer. Może po-
myłka? Kliknęła na kolejny esemes.

„Czuwaniem dnia w bezsenną północ zapóźniony/
Jestem więzień twój.../ Słodkie jest moje więzienie.../
Noc całą twą urodą trudnię swe spojrzenie/ Bo przed
snem mym nie kryją jej twych szat zasłony”.

O co chodzi??? Esesemes trzeci, ten sam numer...

„Jak mija dzień, moja słodka pani? Pozdrawiam i
całuję, Bzyk Cytrynka”.

No proszę. Wywalić faceta na pysk z chałupy, a nim
wytrzeźwieje - zakochany poezję już pisze. Ciśnienie w
jądrach dźwignią sztuki.

Ładnie napisał, ładnie. Zbyt ładnie. Majka poczłapała
do łazienki, zdjęła z wieszaka biały szlafrok frotte.
Kawa? Koniecznie. Nastawiła ekspres. Bazyli tkwił w
niezmiennej pozycji „kulka”. Można by go wynieść z
kojcem, a pewnie i tak by nie zauważył. Muzyka, gdzie
jest muzyka? Z kubkiem kawy w ręku Majka stanęła
przed ścianą z półkami na CD, prześlizgiwała palcem po
kolejnych okładkach. Garbarek! Tak, potrze-

buje usłyszeć przestrzeń i spokój. Skandynawski jazz wypełnił mieszkanie. Wróciła do sypialni, odpaliła laptop. Wyszukiwarka Google, „uknowalismy AND przesłodkie AND zamroczy”. Wyniki wyszukiwania: pięćset stron. Talent Cytrynki rozpoznawalny jest w sieci. Stro-
na pierwsza: „Antologia poezji miłosnej, Leopold Staff, Sojusz miłości i wina”.

Jakiego wina, to była wódka z red bullem, chłopie. Co za cienias. Nie mógł sam choćby limeryku sklecić? Majka wyłączyła komputer. Dong! Komórka wystrzeliła w górę z szafki nocnej. Esemes. Od Cytrynki.

„Będę u Ciebie za chwilę. Mam zabieg u pacjentki na Mokotowie. Podrzucę Ci swoją sunie na godzinę. Całuję”.

W czwartej godzinie bytności Hortensji, która od wejścia umościła się na jego kocyku, Bazyli nadal siedział obok i zdębiały patrzył, nie wiedząc, na co. Hortensja: ruda ratlerko-chihuahua z irokezem i różową kokardą. Sięgała Bazylemu do połowy łapy.

Majka kolejny raz wystukała numer Cytrynki. Czterech poprzednich telefonów nie odebrał. Sygnał oczekiwania. Pierwszy, piąty, ósmy.

- Halo? - Jest, nareszcie!

- No hej, tak jakoś późno się zrobiło - Majka starała się zabrzmieć neutralnie.

- Tak, straszny dzień - Cytrynka zgodził się skwa
pliwie.

Z tła dobiegały odgłosy sztang i sprzętów na siłowni.

- Wpadłem jeszcze na fitness, właśnie wchodzę do
sauny. Na dwudziestą pierwszą zarezerwowałem stolik
„U Kucharzy”. Załóż coś ładnego, całuję! - Cytrynka się
wyłączył.

Jakieś żarty? Majka spojrzała na Hortensję. Miała
ochotę spuścić ją w sedesie. Nie zatkałaby się rura na-
wet.

- Wczoraj też miałaś tę spódnicę - Cytrynka, ru-
miany i wypoczęty, siedział już na kanapie i całował w
ryjowaty pyszczek Hortensję.

- No i co z tego?

- Chętnie zobaczyłbym cię w czymś innym.

OK, bez nerwów. Faceci to wzrokowcy. Choć przyda-
łyby się odrobina subtelności. Kwadrans potem, Majka
w dżinsach rurkach, futerku tygrysku i czarnych szpil-
kach wymaszerowała z mieszkania u boku wniebowzię-
tego Cytrynki. Oraz Hortensji w kieszeni jego kurtki.

- Czy już można? - śnieżnobiały, pulchny kelner w
sterczącej, piętrowej czapie pochylał się nad stolikiem i
zapalał świeczkę. - Dla pani?

- Ja poproszę tatara.

- Pieczywo, masło?

- Tak. I zmrożona setka. Jest pieprzówka?

- Oczywiście. Świetny wybór - kelner uśmiechnął się słonecznie.

- Nie weźmiesz jakiejś sałaty? - skupiony Cytrynka nadal zgłębiał tajniki karty.

- Dlaczego sałaty? Jesteśmy „U Kucharzy”, a nie w „Zielniku”.

- Tak, ale o zdrowie trzeba dbać zawsze.

- A moim zdaniem zawsze należy dbać o dopasowanie miejsca do smaku.

- Dla mnie warzywa z pary. Brokuł, kalafior, pietruszka. I kieliszek chianti.

Kelner spojrział z pogardą. Chwilę potem podjechał ze swoim blatem nieopodal stolika i z zapamiętaniem zaczął siekać surowiznę.

- Jeszcze nigdy nie spotykałem się z rozwódką - stwierdził zafascynowany Cytrynka i upił łyk wody. Błękitna, z kontrolą rozchełstana na dekolcie koszula odcinała się od jego czekoladowej skóry, osmaganej promieniami solarium.

- Przecież masz trzydzieści sześć lat. To z kim się do tej pory spotykałeś? - Majka smarowała razową kromkę smalcem.

- Różnie. Przez wiele lat miałem narzeczoną, rozstaliśmy się trzy lata temu. Wtedy trochę balowałem.

- I co, nie pamiętasz dziewczyn z tego okresu? - Majka spytała raczej żartobliwie. Naiwnie.

- Nie aż tak, ale to były jakieś przelotowe historie.
- Nie brzmi to zachęcająco - spojrzała nieufnie.
- Daj spokój, to już przeszłość. Balety minęły.
- Nie, nie, pociągnij temat, ciekawy wątek. Narkotyki? Orgie?

- Narkotyki raz, orgia też raz.
- Jakie?
- Heroina.
- Słucham? Przecież heroina to najgorsze bagno. Nie bierze się jej raz! Wąchałeś browna?

- Nie wąchałem, wstrzyknąłem.

- Wstrzyknąłeś?! A HIV?!

Kucharz zaczął nucić pod nosem, aby zapewnić zakochanym intymność wyznań.

- Masz mnie za idiotę? Kupiłem wcześniej jednorazową igłę. Zrobiliśmy to we dwóch z kumplem. Pewny towar, całkowita sterylność. Raz jeden, dla spróbowania. Nigdy więcej.

- Skąd wiesz, że nie było w tym jakiegoś syfu? Robiłeś potem test na HIV?

- Oszalałaś? Mówię ci przecież, że igła była tylko moja! A towar sprawdzony, ten kumpel był dilerem, znał się na rzeczy.

- A orgie?

- O rany, jaka orgia! Trójkąt! Też chciałem zobaczyć, jak jest.

-I...?

- No, wymaga to sporej odwagi. Ośmielenia się. Ale nie bój się, ja zdecydowanie bardziej wolę seks tradycyjny. - Cytrynka położył swoją wypielegnowaną dłoń na dłoni Majki. - A teraz mam pytanie do ciebie.

- Słucham - uśmiechnęła się do niego.

- Zawsze byłaś taka w sobie?

- Co?! - Majka zamarła. „Taka w sobie”?! Rozmiar trzydzieści osiem to jest „taka w sobie”, palancie?!

- No w sensie, że masz trochę ciała. Ale nie martw się, popracujemy nad tym. Rozpiszę ci trening u mnie w klubie.

- Tak, mam ciało. Ludzie zwykle mają ciała! - Majka jednym haustem wychyliła pioprzówkę.

- Nie denerwuj się, nie chciałem ci zrobić przykrości. Moja eks była modelką i ważyła czterdzieści siedem kilo. No a poza tym, mam zboczenie zawodowe.

- Najwyraźniej - Majka nałożyła na kolejną kromkę gigantyczną paczkę smalcu. Posyłając Cytrynce filuterny uśmiech, ją zżarła.

- Rachunek. Które będę moje? - wymanikiurowanym palcem Cytrynka zaczął odhaczać na kwicie swoje brokuły z pary. A może i samą parę także.

On zamierza podzielić rachunek?! Na pierwszej kolacji?! Za pięć godzin siedzenia z tym szcurem, Hortensją?! Wolne żarty.

- Ale jak to... Myślałam, że mnie zapraszasz? Przepraszam, wzięłabym portfel... - cieleco wpatrzona w Cytrynkę Majka bawiła się setnie.

- Tak, tak, masz rację - Cytrynka wykrzywił się w uśmiechu szczerym i hojnym.

- Zobacz jakie mają super tyłki. - Po tygodniu co dziennego randkowania - kawy, obiady, kina - Majka dała się w końcu zaprosić do Cytrynki. Mieszkał na strychu przy Poznańskiej. Urządzonym w czerni, bieli i drewnie. W kącie złożył się puf, na którym nieruchomo tkwiła w podkurczu Hortensja. Krzątając się w kuchni, Cytrynka podał Majce album *Akty męskie*.

- Doprawię jeszcze kaszę, a ty sobie pooglądaj.

Tyłki przed kolacją, jako aperitif czy też wstęp do oglądania innego tyłka po kolacji? Majka przerzucała strony z fotosami modeli prężących się wokół pup i genitaliów.

- Gotowe! - Cytrynka nakładał swoje popisowe danie: kaszę jaglaną z kielkami w algach morskich.

- Coś ci zagram - Po spałaszowaniu ekomiski, Cytrynka wprowadzał oto wieczorny program kulturalny. Wziął z kąta gitarę, przycupnął na brzegu kanapy i zaczął brzdąkać. Brakowało tylko ogniska.

- Pięknie. - Zasada numer jeden: chwalić samca. „Misiu, jak ty to genialnie powiedziałeś! Misiu!” mawiać raz dziennie z entuzjazmem.

- Prawda? - Cytrynka spojrzał z uwielbieniem na Majkę. - Zaśpiewam ci jeszcze.

Po wykonaniu harcerskiego songu, Cytrynka nastawił niezobowiązującą muzykę tła i zniknął w sypialni. Po chwili, zza framugi drzwi wyłoniło się wijące się ramię, za nim noga, aż w końcu ich właściciel: Cytrynka w hawajskich kwiatach na gołej kłacie i... stringach????!!!

Majka wycofała się w głąb kanapy. Cytrynka z czarnym paskiem w pupie, w płasie gasił światła i zapalał świeczki. Podszedł, w rozkroku stanął przed Majką, wieniec do kąta rzucił.

- Chodź - wyszeptał, pochylając się nad nią. Poprowadził za rękę do pokoju za drzwiami. Popchnął na łóżko. Ile luster! Jedno na suficie, drugie obok szafy. W półciemni migały płomienie świec, porozstawianych tu i ówdzie na podłodze. Purpurowa pościel z Ikei pachniała świeżością. Nadzy, uklękli naprzeciwko siebie. Ręka Majki ześlizgiwała się coraz niżej. Ani jednego włosa na ciele. Gładka tafla. Mięśnie spod rzeźbiarskiego dłuta. Niżej, niżej. A to co? Wydepilowany fiutek????!!! Nadwiślański David Beckham... Nic nie mówić, bo samiec będzie miał traumę. Fiutek to nie jest temat do pytań i wątpliwości. Fiutek jest doskonały, zawsze.

- Poczekaj. Mam niespodziankę. - Cytrynka podszedł do szafy. - Hm? Podobają ci się?

Pejczce. I wibrator.

Dlaczego człowiek nie może się po bożemu bzyknąć?! Dlaczego musi być wygolony, wychłostany i wydymany kawałkiem plastiku?

- Fajne. Ale może byśmy tak zwyczajnie? - Majka czule modelowała głos, aby go nie urazić.

- To tylko zabawki. Nie bój się.

- Ale skąd masz ten wibrator? Ktoś go używał? To niehigieniczne...

-Nikt. Tylko ja. „Tylko ja”? O kurna.

- Masz prezerwatywę? - po opowieści o heroinie i trójkącie pytanie wydało się Majce zasadne.

- Mamy siebie. - Cytrynka już się wciskał.

- Tak, i jest cudownie - Majka umknęła w ostatniej chwili, przewracając się na bok. - Ale tylko w gumce.

- To jakieś ultimatum? - Cytrynka się zacietrzewił. - Nie mogę liczyć na zaufanie?

- Zawsze i we wszystkim, ale nie w tej sprawie - Majka głaskała go po członku. Dla złagodzenia sytuacji. Człowieku, żyjemy w XXI wieku! HIV to nie jest choroba prostytutek, gejów i ćpunów! Którym sam byłeś zresztą. A może jesteś też i tym w środku.

Cytrynka z grymasem na twarzy sięgnął pod poduszkę i rozerwał opakowanie unimilu.

- Już dobrze? Teraz pani pozwoli? - kpił i szydził, dociągając kondom.

- Tak, już dobrze - Majka odpowiedziała bez drwiny.

- Odwróć się. Pochyl głowę. Niżej. W bok, trochę w bok - Cytrynka dyrygował ruchem łóżkowym, raz po raz smagając Majkę po udach rzemieniem z frędzlem. Nie boli, no ale żeby to było przyjemne...

- Teraz od przodu, chodź, o tak się połóż, bardziej w prawo, niżej głowa, szerzej nogi, o tak, dobrze - Cytrynka cyrklował z precyzją egzaminatora na prawo jazdy.

Aha, chodzi o to, żeby to on widział się w lustrze...

Cytrynka gimnastykował się, niczym cyrkowiec. Majka pojękiwała cicho i scenicznie. W głowie, którą miarowo uderzała o wezłowie, układała plan telefonów na jutro. Musi szybko znaleźć robotę, kasa zaraz się skończy. Cytrynka przyspieszył, wszedł w galop, w pościg, dyszał coraz głośniej. „Taaak!” wytrysnął, patrząc sobie samemu prosto w oczy. Akrobacje dobiegły końca, pani rekwizyt niniejszym dziękujemy. Mistrz ceremonii: gej onanista. Spektakl spuścił się ze sceny.

- Seks analny? Po tygodniu znajomości? - Tola pałaszowała ciabattę z suszonymi pomidorami.

- Ciszej! - syknęła Majka. W Lokalnej było tłoczno i gwarno, ludzie siedzieli krzesło w krzesło. Z beżowych, karbowanych ścian rzucały się w oczy krzykliwe fotografie hollywoodzkie.

- Pozwoliłaś?

- No coś ty! - Majka umoczyła rogalik w kawie. - Jeszcze tego brakowało. I tak czułam się jak małpa w cyrku. Niby inteligentny, przystojny facet, a nagle wyskakuje ci z tym wszystkim. Gdzie produkują tych

gości? Najpierw poezja, a chwilę potem pejczy, lustra i anal. No i nigdy nie widziałam faceta w stringach, wydepilowanego na tyłku i w kroczu. - Majka starła serwetką resztki mlecznej piany znad ust.

- Może jest bi? Albo krypto gej?

- Na to mi wygląda. I absolutnie zafascynowany swoim fiutkiem.

- A jest czym?

- Niezupełnie - Majka się uśmiechnęła. - Skromniutka eseczka. Mini kinder zestaw. Ale nie wyprowadzałam go z błędu.

Dziewczyny zaniósł się śmiechem.

- Wiesz co, oni chyba wszyscy mają fioła na punkcie swoich genitaliów. - Tola dopijała herbatę z imbirem. - Pamiętasz Kryskę ode mnie z roku?

- Pewnie, tą z mężem od dziesięciu lat i teraz chyba też z malutkim synkiem?

- Właśnie się rozwodzi. A mały ma cztery miesiące.

- Żartujesz? Co się stało?

- Pan mąż wziął i się wyprowadził do innej pani. Poszłyśmy z Kryską na wino i po pijaku wyznała, że od dziesięciu lat, codziennie rano, uwaga, musiała kolesiowi robić laskę. Oraz powtarzać, że ma największą palę na osiedlu.

- A on zlecał jej analizę porównawczą? - Majka parsknęła. - „Kochanie, przejdź się po sąsiadach z centymetrem”? A potem wywieszał ogłoszenie na klatce:

„Drodzy lokatorzy - wyniki naszej ankiety przedstawimy na zebraniu wspólnoty mieszkaniowej”?

- Ten cymbał nie chwycił absurdu.

- No to miał raj. Czego chciał więcej?

- Sprawy się skomplikowały, kiedy pojawiło się dziecko. Bo jak Kryska co godzinę w nocy wstawiała, to potem o szóstej rano, kiedy pan mąż budził się łaska wie, nie miała już siły wznosić modłów do jego fujary.

- Więc się obraził?

- Zakochał w innej pani. Kryska odpaliła jego komputer służbowy i znalazła mail od koleżanki z pracy. Pani pisała, że „Pan Wacek jest mistrzem świata”.

- No, to dziewczyna ma przed sobą kilka lat udanego związku. Zanim ludzkość nie zacznie latać w kosmos. Bo wtedy kolejna pani przebiję ją peanem ku czci: „Wielkiego Wacka - Króla Wszechświata i Galaktyk”.

- Majka, dla Krychy to jest dramat. Nie kpij.

- Nie z niej kpię. Wzięła detektywa i adwokata?

- Jasne. Ma już foty, na których Pan Wacek pierdoli swoją fankę, a mały śpi obok w wózku.

- A Krycha, jak się trzyma?

- Wieczorami kładzie małego, a potem siada w wannie i wyje.

- Można jej pomóc jakoś?

- Nie bardzo. No chyba, że będzie szukała świadków.

- Zznamy?

- Odcieła się od znajomych, więc nawet my się jej przydamy. Weszłabyś w to? Boja na pewno.

- Jasne.

- Jedyne szkopuła, że nie wiadomo jeszcze, kiedy pierwsza rozprawa. No a ja wybywam. Ale mogę przyjechać.

- Spakowana?

- Jeszcze kilka walizek. Cholera, mam pietra. To już za chwilę. Szesnaście dni.

- Tolek, pół Polski żyje w Londynie i sobie chwali. Dasz radę. Rozstawisz ich w tej klinice po kątach.

-Oby.

- Coś jeszcze? - Piękny kelner o straconej orientacji pochylał się nad stolikiem.

- Dziękujemy, rachunek.

Aleje Niepodległości były szaroburo zaczopowane korkiem aut i kłębami spalin. Majka z Tolą stukały obcasami o chodnik. Żółtawe kopy śniegu kołtuniły się na poboczach.

- Czekolada? I kulka? Jedna, malutka? - Maja miała ochotę na słodkie.

W Malinowej było pusto.

- Straciatella. I czekolada na gorąco z bitą śmietaną.

- Majka sięgnęła po portfel.

- Dla mnie waniliowe, truskawka i espresso z mlekiem.

Usadowiły się przy oknie. Landrynkoworóżowy wystrój bajkowo odcinał się od szarugi na zewnątrz.

- I jak ty, Majek, wytrzymasz beze mnie? No a ja bez ciebie? Zainstaluj sobie skype'a koniecznie - Tola dłużyła łyżką w pucharku z lodami czekając, aż się nieco rozpuszcza.

- Tolek, ty to się rzucisz w wir roboty i nawet nie będziesz miała kiedy zadzwonić - Majka próbowała rozprowadzić śmietanę w czekoladzie. - A ja... I tak zawsze jestem sama. Ale będę cię apdejtowała o stanie mojego serca. Liczę na wsparcie, w razie awarii.

- Jaka sama? Romans za romansem, no i byłaś mężatką. Wyglądaliście na szczęśliwe małżeństwo.

- Owszem tak. Na wakacjach. Kiedy Rumcajs nie zbawiał świata od świtu do zmierzchu. A romanse, sama widzisz. Wisisz pod sufitem jak nietoperz, żeby ukochany mógł ci wsadzać wibrator do pupy, ucha i nosa. Ale jak go zapytasz to - ależ skąd, ależ nie, tu nie chodzi o seks! On widzi w tobie wnętrze i głębię! Wnętrze pochwy i głębię odbytu.

Tolą zakrzuszyła się lodami ze śmiechu.

- Widziałaś się z Goską? Co u niej? - Majka rozklepywała śmietanową kępkę, topniejącą na powierzchni czekolady.

- Tydzień temu. Chodzi na terapię, łyka antydepresanty. Za bardzo nie chce gadać.

- Myślisz, że mu wybaczy?

- Się obawiam. Mefisto na razie mieszka gdzieś na mieście, wynajmuje dwa pokoje. Gocha szczęśliwie została w chacie.

- No tak, ale to jest jego mieszkanie. Jak się rozstaną przed ślubem to trudno jej będzie cokolwiek wziąć dla siebie.

- I dlatego Gośka zapisała się już na ustawienia rodzinne. Radykalne wybaczenie Hellingera.

- Cudnie. Za trzy stówki na to wyjdzie, że Mefisto dymał sekretarkę z Gośki winy. Bo prababcia, którą Gośka ma w pięcie albo w kolanie, zmarnowała życie pradziadkowi, a teraz z pięty Gośki wysyła toksyczne fluidy, które niszczyły Mefista, więc on, nieświadom, złą energią odganiał demony. I pierdolił.

- Mniej więcej. Psychologia stoi dzisiaj na straży rodziny.

- Ty, ale przecież on już wcześniej coś nabroił, co to było... Ze trzy lata temu?

- Tak, tak. Konkurs Złotej Patelni.

- Jakoś nie kojarzę...

- Na wieczorze kawalerskim. Wzięli pannę z agencji i zrobili zawody. Po kolei ją lizali, a ona miała potem wyłonić trójkę najlepszych do finału. Mefisto był drugi.

- A w finale ona im obciągała?

- Nie, nie, nadal oni. Robili jej dobrze wibratorem. Zwyciężył pan młody. Potem przez tydzień codziennie ją

bzykał. W porze lanczu, w hotelu przy biurze. Chłopcy się szczerze zrzucili, ale sami też podokazywali.

- A jak to się wydało?

- Któryś zuch pochwalił się przed koleżanką i poszło. Afera na pół miasta. W końcu i Gośka się dowiedziała.

- No, ale Mefisto się wywinął.

- Miesiąć milczenia i płaczu. Tłumaczenie, że się nie liczy, bo nie wsadzał do środka języka, tylko z zewnątrz. I że to przecież była taka chłopacka zabawa. Wczasy w Nowej Zelandii uśmierzyły w końcu domową zawieruchę.

- Jutro spróbuję ją wyciągnąć do kina.

- Idziemy?

- Tak. Muszę dzwonić.

- Jak byś to zniosła, gdybym był jeszcze bardziej atrakcyjny? - Cytrynka stał przed lustrzaną taflą zamrażarki w supermarkecie. Zasłaniając dłonią refleks z halowej lampy, skupiony przeglądał się w mrożonych burakach.

- Jeszcze bardziej? Kotku, to niemożliwe - Majka rozgarniała opakowania rybnych filetów, szukając pangii.

- A wiesz, że chyba jestem podobny do Lindy - Ironię Cytrynka przyjął z powagą i wiarą. - O, popatrz.

Jak tak zrobię kącikami ust i jak tak z profilu spojrzę

- odbicie Cytrynki w kalafiorach i pyzach naprężyło mięśnie twarzy. - Nie sądzisz? Cały Linda.

- No może... - Majka wrzuciła rybę do koszyka. Cytrynka zaczął ją męczyć.

- Wezmiesz jakieś owoce? Pomarańcze? Ananasa? Ja pójdę po przyprawę i kaszę. Spotkamy się za kwadrans przy kasie. - Cytrynka oddalał się pomiędzy dżemami oraz przecierami smukłe, sprężyste.

- Gdzie jesteś? - tymi słowami rozmowę przez komórkę zaczyna tylko jedna osoba na świecie. Mamon. Czy wszystkie matki na świecie mają w sobie tę ciekawość lokalizacji? A gdyby tak w ramach eksperymentu odpowiedzieć?

- W sklepie - Majka wzięła głęboki oddech.

- Tym koło siebie? - Mamon przejawiała zainteresowanie.

- Nie. W Bomi. Tym dalszym - Majka wbiła paznokcie w rękę.

- W Bomi? Tym, co kiedyś tam było Kino Moskwa?

- Mamon analizowała intensywnie.

- Tak, w tym właśnie - Majka zacisnęła zęby.

-1 co kupujesz?

- A różnie. Teraz przy serach jestem - Majce robiło się coraz goręcej.

- Hm... Sery... - Mamon się zawiesiła.

Koniec? Czyżby?

- A wiesz, Maja, dzwonię, bo w weekend zrobię to moje danie hinduskie. Może przyjedziesz do nas na obiad?

- No, to wpadnę.

Wynik doświadczenia: nigdy więcej nie informować o swojej topografii. Celem uniknięcia pytań dalszych.

Majka wypakowywała zakupy przy kasie. Cytrynka od tyłu ją zaszedł i objął w pasie. Pocałował w szyję.

- Ale ładnie pachniesz... - nos wcisnął pomiędzy włosy i szalik.

- Dorzucasz coś? - Majka odstawiła pusty koszyk.

- Nie, ja za swoje zapłacę - zakupy na wspólną kolację rozdzielił „następny klient”, położony przez Cytrynkę na taśmie.

Majka spakowała rybę, warzywa, owoce i wino do torby, wyjęła pieniądze. Sto siedemdziesiąt trzy złote. Za tymianek, rozmaryn i kaszę współbiednik zapłacił złotych trzynaście.

Przecieli chromowo-stalowy hol budynku, rozsadzany mikrofonowym wyciem z fitness-klubu na piętrze - „Step tacz!!! Raz i dwa!!! Hill bek!!! Trzymaj!!! Patrz!!! 1 znów step!!!” - doszli do drzwi automatycznych, które rozwarły się powoli, wyszli na ulicę. Wprost na Rumcajsa. Z panną?! Majka przybliżyła się do Cytrynki.

- O, cześć - Rumcajs zdębiał i na moment odskoczył od koleżanki. Po chwili ona wzięła go pod ramię. Ruda? Wysoka? W rozmiarze czterdzieści? No, no, cie-

kawę, jak się ta raszpla ma do „południowej urody”,
opiewanej przez Rumcajsa na łamach kolorowej prasy. I
jakie ma buty, tandetne! Majka mimowolnie spojrzała na
swoje fioletowe kozaki. Ha, jeden zero, zdziro! Helena,
Majka, Rumcajs, Cytrynka, miło mi, miło.

- My do kina - niebanalnie zagał Rumcajs.

- My z zakupów - błyskotliwie wypowiedziała się
Majka znad siaty.

Helena i Cytrynka milczeli.

- No, to na razie. - Rumcajs zlustrował Cytrynkę od
czubka ufryzowanej głowy po precyzyjnie sfatygowane
tu i ówdzie, pomarańczowe timberlandy. Wygląd Cy-
trynki przydaje się w spotkaniach na szczycie.

- No, to trzymajcie się w takim razie - Majka starała
się uśmiechnąć.

Proszę, jaka kulturalna rozmowa eks i ich kolegów--
seks. Pozycja społeczna zobowiązuje. Człowiek prymi-
tywny chwyciłby za rybę z siaty i na głowie rudej mro-
żonkę roztrzaskał z krzykiem: „A poszła mi ty, kurwo!”.
Człowiek na poziomie elegancko i bezszelestnie niena-
wiścią zionie.

- To twój były mąż? - Cytrynka, otwierając bagażnik
białego smarta, wybił Majkę z namysłu.

- No. A co?

- A nic. W porzo koleś, ale mógłby trochę się od-
chudzić.

- To może go zaprosić do siebie do klubu na indywidualny trening? - Majka trzasnęła drzwiczkami, Cytrynka zawył.

- Delikatniej! A dlaczego ja mam go zaprosić? Niech sam przyjdzie, jak chce - w lot pojął kpinę. Jak zwykle.

- ...mięśnie podłużne, a mięśnie skośne pracują tak.
- Cytrynka, pochylony w skupieniu, śmigał długopisem po kartce, raz po raz przeczesując piórosierść Hortensji, w najlepsze śpiącej na krześle. W trakcie kolacji Majka nadmieniła, że myśli o aerobiku. Wzmianka ta podzielała na Cytrynkę jak wystrzał z pistoletu na marańczyka. Od godziny perorował, jakie partie ciała rzeźbi ABT, jakie TBS, a jakie abdo sculpt i dlaczego Majka, chcąc osiągnąć modelową sylwetkę, powinna chadzać na wszystkie te zajęcia, codziennie.

Cytrynka był w swoim żywiole, Majka polegiwała znużona na stole.

- Zostajesz na noc? - Resztki ryby wyrzuciła do kosza, wstawiała talerze do zmywarki.

- Mogę zostać, ale bez seksu - Cytrynka raptownie podniósł głowę znad kartki.

A ten co, neofita abstynent? Bo nie ma pejczy i lateksu?

- Spoko, raczej cię nie zgwałcę. Ale że tak spytam, dlaczego? - Majka odpaliła zmywarzkę.

- Bo rano mam już pacjentów w gabinecie. Muszę być wypoczęty - Cytrynka wstał od stołu. - O, zostały dwie cytryny - sięgnął do koszyka z owocami. - Tobie się już nie przydadzą, wezmę do siebie - wpakował je do kieszeni.

Majka zbaraniała nad zlewem. Lecz w trosce o wieczorne ukojenie, nie odezwała się ani słowem na temat uprowadzonych dwóch cytrynek.

- Nie, zostaw. Odpoczywam. Zasypiam - Cytrynka zasyczał, zdejmując z klatki piersiowej rękę Majki. Swoje ułożył wzdłuż ciała nieruchomo. Sztwywny, spięty i nagi leżał z zamkniętymi oczami od ponad godziny.

- Ale przecież wcale nie śpisz - Majka znów próbowała się przytulić.

- Nie śpię - Cytrynka się odsunął - bo nie potrafię zasypiać przy kimś w łóżku. Ale się staram. A ty mi przeszkadzasz.

„Przy kimś?” Obcym, spotkanym na ulicy przed chwilą?

- Przecież już spaliśmy razem. Co ty gadasz? Jakim kimś? Dlaczego nie mogę cię nawet dotknąć? A poza wszystkim, chyba miałaś narzeczoną. Spaliście osobno? - Majka uniosła się na łokciu.

- Umawialiśmy się po kolacji. Próbujesz nie dotrzymać warunków! - jadowny Cytrynka pogroził truciciel-skim tonem i w półotwartą powieką.

- Halo. Pytałam o kilka rzeczy - Majka szeptała, nie ustępując.

- Co cię opętało?! - Cytrynka otworzył oczy i uniósłszy głowę w półobrocie na poduszce kwękał niczym kura. - Spaliśmy razem po seksie, wtedy umiem. Z eks też sypialiśmy razem po seksie, a tak to nie. Teraz ja okazuję ci zaufanie, leżę z tobą w łóżku, próbując spać, a ty się miotasz i się do mnie dobierasz. Uspokój się!

- Oszalałeś? - Majka usiadła. Kolana skuliła pod brodą i naciągnęła na nie kołdrę. - Nie chcę seksu, ale nie potrafię leżeć koło trupa.

- Jakiego trupa?! I nie zabieraj mi pościeli! - Cytrynka kokosił się w puchu, pociągając za róg poszewki.

- I odzywaj się do mnie grzeczniej!

- Czy ty się wściekłeś? Pytam tylko, dlaczego mamy spać koło siebie, jak dwa manekiny? Albo seks analny, albo nul, nic, zero, dotykane surowo zabronione?

- Majka mówiła tonem poirytowanym.

- Nie słuchasz, co do ciebie mówię, dziewczyno...

- Nie mów do mnie dziewczyno!

- Nie, ja nie wytrzymam w tym burdelu!

- Słucham?!?! Jakim burdelu?!?! - Majka zakipiiała.

- Mogłem pojechać do siebie do domu! Ale nie, ja chciałem być miły! I zostałem! I mam teraz!

- Miły?! Wiesz co, mam cię serdecznie dosyć! Jesteś takim egocentrycznym bubkiem, że już chyba nie wytrzymam! - Majka darła się, czerwona.

- Ty nie wytrzymasz?! A co ja mam powiedzieć?! Nie sądziłem, że okażesz się taką zwykłą głupią babą!

- Słucham?! - Majka zerwała się z łóżka na równe nogi i sięgnęła po ręcznik na krzesło, żeby się nim owinać. - Głupią babą?! A ja nie sądziłam, że okażesz się takim prostakiem i chamem!

- No nie, ja chyba jednak śnię! Tego już za wiele! - Cytrynka niczym z procy, wystrzelił z pościeli i pochwycił bokserki z podłogi. - Horti! Pan wychodzi! Horti! Do mnie! Jedziemy! - darł się, biegając po mieszkaniu i zbierając części garderoby.

Majka w ręczniku usiadła na stole, nogą bujała fotel.

- Zastanów się nad swoim postępowaniem! - W drzwiach Cytrynka jedną ręką dopychał cytryny w spodniach, drugą trzymał Hortensję w ramionach i Majkę gromił.

- A ty nas swoim narcyzmem - Majka odcięła się tonem zrezygnowanym.

- Nie, ja nie wierzę! - Cytrynka wrzasnęła i drzwi zatrzęsnały.

Kwadrans potem przyszedł esemes. „Nie sądzę, abym prędko miał ochotę się z Tobą spotkać. Nie pozwolę się tak obrażać!!!”.

„To ja, Narcyz się nazywam. Dziękuję i przepraszam, ja tych słów nie używam - spójrz w lustro, a zobaczysz Cytrynkowe bóstwo, któremu staje do środka!" Majka chwilę się wahała, nim kliknęła na klawisz: wyślij. Poszło!

Czy żeby być z facetem trzeba sobie wyciąć pół mózgu i całe poczucie humoru? Czy oni są genetycznie niezdolni do autodystansu? Gdzie ironia, gdzie drwina, miara intelektu!

Wtulając się w śpiącego Bazylego, Majka wykasowywała z telefonu poezję i numer poety. Dwutygodniowy kurs mitologii oraz greki niniejszym uznajemy za zaliczony.

- Czy pani zna obce języki? W dzisiejszych czasach redaktor bez języka nie istnieje - Tekla świdrowała Majkę przenikliwym wzrokiem.

Postrach wydawnictw. Przysadzistą korpulentność ukrywała pod perfekcyjnie maskującym kostiumem Gucci. Sześćdziesięcioletnia twarz młodzieńczo promieniała botoksem. Wypiełgnowane blond włosy błyszcząły niewidoczną farbą.

- Czy pani jest gotowa pracować w dzień i w nocy? Bo my tu wszyscy w firmie jesteśmy jedną wielką rodziną entuzjastów luksusowej prasy. Potrzebny jest zapał, oddanie, lojalność - Tekla cedziła słowa z wyższością.

Dwa tygodnie wiszenia na telefonach do znajomych: „Cześć, no właśnie, zamknęli nas. Może słyszałeś gdzieś o wolnych miejscach?” - Majka recytowała ten refren, nawet budząc się zrana zimnym potem o trzeciej nad ranem - zaprowadziły ją na to spotkanie. Tekla, wydawniczy Wszechdoradca, restrukturyzowała redakcję „Koko” i szukała nowych pracowników. W drodze na rozmowę, Majka wstąpiła do butiku przy Chmielnej i kupiła koszulę za siedemset złotych. Drogo, ale. Chcesz zyskać - zainwestuj, mawiają ekonomiści. Tekla lubiła elegancję.

- Dobrze, spróbujemy zatem. Poprowadzi pani dział: stajlajf - Tekla wstała od biurka, spojrzała na swój złoty zegarek z dyskretnym grawerunkiem Cartier.

Stajlajf? A co to? A, lajfstajl. Nie krytykuj, nie poprawiaj Wszechdoradcy, Wszechmędrca.

- Za tydzień podpiszemy umowę, a ja za dwa tygodnie czekam na panią w tym gabinecie o godzinie... - Tekla stuknęła w klawisze palmtopa Prądy, sprawdzając grafik - o godzinie... trzynastej dwadzieścia pięć. Do godziny czternastej trzydzieści omówimy pani koncepcję działu stajlajf. Witam w wydawnictwie Ulrich Von Burdel! Witam w redakcji „Koko”! - Tekla odprowadziła Majkę do drzwi.

Z uśmiechem Majka pożegnała się i wyszła. Mijając windę, kosmiczną kapsułę pośrodku przeszklonego budynku, unoszona radością wbiegła na schody. Zbyt dużo miała energii, jak na windę.

- Oj, przepraszam! - rzuciła pospiesznie do postury, na którą wpadła za drzwiami. Podniosła wzrok i...

- Cała przyjemność po mojej stronie - postura odezwała się głosem tubalnym, ciepłym i bardzo seksownym. - Wszystko w porządku?

- Tak... tak... jak najbardziej - Majka ze wszech miar chciała być zwyczajna, normalna, mimochodna. Choć zemdlałaby najchętniej.

Kowbojski but oparł się o stopień. Błękitne dzinsy ciasno opięły masywne udo. Oraz wypukłe krocze. Ze smagłej twarzy bacznie spojrzały na nią piwne oczy. Metr dziewięćdziesiąt mięśni w czarnej skórze i śnieżnobiałej koszuli buchnęło testosteronem.

- Chyba się nie znamy - postura znów przemówiła aksamitnie. - Dominik - dłoń z czerwonym, sportowym zegarkiem na przegubie powędrowała w jej stronę. Na palcu błysnęło metalicznie kółko.

- No bardzo mi miło, Maja. - Majka odzyskała rezon i brzmiała już dziarsko. - Ho, ho, to taka wpadka na szczęście w nowej robocie! - zaszczębiotała rezolutnie. - To znaczy wpadka, w sensie, że na schodach zderzenie... - oblała się purpurą. Wpadka? Idiotka!

- Lubię takie wpadki. - Dominik zabrzmiał władczo. Słowa dobierał precyzyjnie, niczym chirurg narzędzia do operacji. - Zaczynasz tu pracę?

- Tak, za dwa tygodnie. A ty?

- Od miesiąca jestem - Dominik sięgnął do kieszeni w kurtce. - Skoro oboje lubimy wpadki, może kiedyś

wpadniesz do mojej redakcji? - podał jej wizytówkę. - Będę czekał - schylił się nad Majką i spojrzał w oczy z inwazją. Zapachniał. Jak fajnie ...

I zniknął.

Majka zerknęła na kartonik: „Fun&Fuck. Dominik. Editor in Chief. No pięknie! Nic, tylko *zadurzyć się* w redaktorze naczelnym największego erotycznego miesięcznika na świecie. Sercowy strzał w dziesiątkę. Na pewno jest oddany, wierny, gardzi nagimi top modelkami oraz całym tym plastikiem i blichтром. Majka wolnym krokiem wyszła na gwarną ulicę. Odczuwała niepokój lekki.

Rozdział piąty, w którym Bzyk Drugi ponosi uszczerbek na skarpetce

- Cytrynówka. Domowa. Za tę emigrację. I żeby nam pani wróciła szybko! - Rumiany i gadatliwy pan Jędrzej postawił butelkę po ptysiu na plastikowej ceracie. Mikroskopijnych rozmiarów budka z blachy falistej pachniała tłuszczem z patelni. Majka, Tola i Gosia sięgnęły po musztardówki.

- Zanim się pan obejrzy będę z powrotem! I przywiozę panu jakiś przepis - Tola wykrzywiła się po hańście.

- Co jemy? - pan Jędrzej polał drugą kolejkę. - Kar-gulenka? Świeżutka. Z sosikiem czosnkowym. Palce li-zać.

- A jak dzisiaj ze stekami? - Majka wpatrywała się w odręczne napisy na kartkach, przyczepionych taśmą klejącą do ściany za barem.

- A dzisiaj to bym rybkę bardziej polecił - pan Jędrzej to była szkoła staroświecka: kelner, właściciel i wyrocznia w jednym. - Trzy kargulenki! - zakrzyknął do kucharskiego czepka, który wychylił się przez okienko z kuchni. - Anglia, Anglia.... Wszyscy jada. I co tam pani jeść będzie? Te ich fisz end czips? E, szkoda gadać. Gumowa podeszwa - pan Jędrzej potoczył załamany wzrokiem po lokalu. Na boazerii pyszniły się dyplomy, autografy znanych i lubianych, pochwalne recenzje. „Boston Port - dla wtajemniczonych” - wydarta z gazety reklama wisiała pomiędzy gwiazdkami kulinarnych ekspertów. - Jedzenie musi mieć tradycję. Duszę. Z panią Mają to my się ile znamy? Siedem lat? Osiem? O to chodzi w gastronomii. A, ostatnio był pan Rumcajs.

- Tak? - Majka nie była pewna, czy chce ciąć dalszy tej historii. Pan Rumcajs.... Rozgrzani seksem i wspólną przyszłością wpadają do blaszaka. Roześmiani. Zaręczeni. Naiwni.

- Tak, był z koleżanką - pan Jędrzej dokręcał kapsel butelki.

Ruda na rybnej?! Na rybnej Majki?! Cholero jedna, kogo bzykasz nie pytam, ale - nasza zupa rybna?! Majka się zsiadła. O rany, jacy oni są jednak banalni.

- Ale panią Maję to rzadziej ostatnio widuję - pan Jędrzej nie wychwytał nostalgii.

- No tak, bo jakoś tak zimą rzadziej jestem na Warszawiance - Majka skręcała serwetki paznokciem

w kółko. - I ostatnio sauny były wyłączone, a ja lubię się pogrzać.

- A co u pana Gucia? Bo ostatnio też wpadł ze znajomą jakąś - pan Jędrzej założył dłonie na wybrzuszone fartuchu.

I ty też, łajzo?! Majka tępo wbiła wzrok w ceratę. Gucio... No w sumie to ona go tu przyprowadziła. Zanim Rumcajs Rudą. Ale to jednak co innego. Tak jej się wydawało przynajmniej.

- Co z Mefistem? - Tola odpisywała na esemesa. Spytała mimochodem, niczym o pogodę.

- Przychodzi. Gadamy. Pracujemy nad tym. Zaczęliśmy terapię. Ale ślub jest na razie przełożony - Gosia miała sine plamy pod oczami, których nie ukrywał grubo nałożony korektor.

- Na razie? - Majka odchyliła się na plastikowym krześle.

- A co chcesz usłyszeć? Że to koniec i dołączę do waszego klubu bzykaczek?

- Bzykaczek?

- No wiesz, Maja, ja nie mam takiej wprawy, jak ty: dwa bzyki i koniec.

- O czym ty mówisz? - Majka spojrzała na Gosię z irytacją.

- O tym, że ty jesteś feministką, ateistką, masz zerówkę z seksu. Ja tak nie potrafię.

- Gośka, nie doklejaj mi gęby - Majka mówiła coraz szybciej. - Myślisz, że jak odprawiam księdza po

kołędzie, to sobie myślę: „aha, jestem ateistką”. A jak z seksu nie robię ołtarzyka, to bzykając się w duchu sobie powtarzam: „a teraz jestem feministką”? Mam w dupie te izmy. Po prostu nie potrzebuję ani faceta w sutannie, ani w kapciach i gaciach przed telewizorem, żeby nadal sens życia. Pewnie, że fajnie jest się rano razem obudzić i razem zjeść śniadanie, ale dla samej siebie też możesz zrobić jajecznicę.

- Nie potrafię.

- Czego? Rozbić dwóch jajek nad patelnią? - Tola pociągała usta krwistoczerwoną szminką. Bez sensu. Zaraz zostawi ją na widelcu.

- Nie potrafię sama mieszkać. Wracać do pustego mieszkania.

- Gosia, ja nie chcę cię atakować - Majka spuszczała z tonu. - Jeśli go kochasz, to wybaczej. Ale trudno jest mi patrzeć, jak przyjmujesz Mefista z fanfarami tylko dlatego, że uciekasz przed sobą. Bo lepiej żeby był, żeby wypełnił pustkę. Jesteś zbyt inteligentna! Jeśli mi powiesz, że zejście się po tym numerze to twoja świadoma decyzja, to OK, milknę. Ale jak słucham, że wybaczasz facetowi, który cię ordynarnie puszcza tylko dlatego, że bez niego jesteś kaleką, to sorry, nie kupuję.

- Kargulenki! - pan Jędrzej wnosił na stół trzy dymiące półmiski. - Smacznego życzę. Pyszna rybka.

Majka, Tola i Gosia chwyciły za sztucce.

- Maja, ty jesteś chyba nieszczęśliwa - Gosia pieczołowicie odchyłała z białego mięsa zarumienioną skórę.

- A ty co, apostoł zbawiciel? - Majka zamaszycie odkrawała kawałek ryby.

- Jak możesz być samotna i szczęśliwa? Jak możesz chodzić z kimś do łóżka bez miłości? Nic nie czujesz wtedy?

- Czuję. Przyjemność. Orgazm to jest doznanie psychofizyczne - Majka przeżuwała kęs.

- Święte słowa. Gocha, my z Majką jesteśmy rozwódki. Mamy inną perspektywę. Bardziej realną - Tola wycierała rozmazane kąciki ust.

- Jesteście zblazowane, cyniczne. Nawet nie wiem, kiedy wam się tak zrobiło. W szkole byłyście inne.

- Nie, Gosia. Jesteśmy... - Majka odłożyła widelec. Nie wiedziała, jak skończyć to zdanie. Patos wyznań zaczął ją męczyć - ...poza głównym nurtem. Nie wzdycham za księciem na białym koniu. Wolę, jak księżę zwali konia i pójdzie.

- Jesteś wulgarna - Gosia szczerzej opatulila się zielonym szalem.

- Wolę być wulgarna. Zawczasu zbyć śmiechem, niż potem ryczeć.

- A nie myślałaś nigdy, że sama przyciągasz ten scenariusz? Skoro nie wierzysz, to nikomu nie dajesz szansy - Gosia wpadała w ton biblijny, wieszczy. - Co było

nie tak z tym Cytrynką? Pisał ci wiersze. Robił kolacje.
Czego ty szukasz, Majka?

- Gocha, jakbym słyszała starych! Czego ja szukam?

- Majka od dobrej chwili tkwiła zamyślona nad stygnącą kolacją. - Szukam zobaczenia mnie w całości. Wspólnych fal. Zachwytu. Szajby. Faceta, który jest z krwi i kości. Ale nie wierzę, że znajdę. Więc nie szukam, tylko biorę tych, których chcę. A potem się żegnam. Kiedy już nie potrafię wytrzymać tylko w imię seksu. Wystarczy?

- Nie powiedziałaś, co z Cytrynką - Gosia zaczynała być stanowcza. Jak nie ona.

- To, że okazał się narcyzem i dupkiem. Czułam się jak lala z sex shopu. Gosia, nie potrafię się zakochać w wypełniaczu anatomii.

- Ulała, Majuś, cytrynowka działa? - Tola z werwą pałaszowała resztkę pieczonych ziemniaków. - Koniec farmazonów. Na deser mam białą niespodziankę. U mnie w aucie. Potem proponuję upadek. Na pożegnanie. Dziewczęce tango.

Szyby czarnego peugeota **Toli od wewnątrz osłaniały się parą.**

- Masz jakąś bibułkę, banknot? - Dźwięcząc bransoletą ze srebrnych łańcuchów spiętych agatem, Tola postukiwała złotą kartą kredytową o deskę rozdzielczą.

Biały kopczyk wysmukłał się. Za zmatowiałymi szymbami rozmywały się światła ulicznych latarni. Z zewnątrz dobiegały przygłuszone odgłosy wieczornego miasta. W środku było parno.

- No, prawie gotowe. Która pierwsza?

- Ja nie biorę. Nigdy się nie złamię - polegająca na tylnym siedzeniu Gosia z wyższością oparła wypolerowany na połysk czarny kozak o próg wycieraczki. - Nie wiem, po co wam to.

- A ja owszem, a ja tak - Majka odłożyła na bok białe skórzane rękawiczki w koronkowy wzór i związała sto złotych w wąski rulon. - Chętnie zacznę.

- Ależ proszę bardzo. - Tola miarowymi pociągnięciami podzieliła smugę na cztery części, po czym schowała kartę do portfela.

Majka przytknęła dziurkę nosa do rulonu i wprawnie wciągnęła proszek. A potem drugą.

- Voila - dosysając spod nosa niedowciągi, podała rulon Toli.

- Klubo? - Po chwili Tola palcem wślaczała w nos pozostałe pod nim drobiny. Atomy przyjemności.

- Mnie wysadźcie. W centrum złapię takse - Gosia założyła nogę na nogę, wyprostowała spódnice w szkocką kratę, zmarszczoną na rajstopach.

- Jedziemy - Tola przekręciła kluczyk i uchyliła szybę, przez którą przedostało się chłodne, nocne powietrze.

Z opustoszałego parkingu na uboczu wjechały na ruchliwą Puławską.

- Gdzie jesteś? - głos w słuchawce był straszny. Wibrował, trzeszczał, rozsadzał skronie i mózg. Majce ledwo udało się sięgnąć po komórkę. Aparat trzymała z drżeniem. Z bólem otwierała przekrwione oko. Nie czuła się sobą. Nic nie czuła, oprócz gigantycznego kaca. Suchego, pulsującego, łupiącego trzewia i myśli. „Jakoś dziwnie sztywno”, uniosła kołdrę. Aha, dżinsy i kozaki. Pięknie. Dobrze, że pod poszewką nie ma jeszcze drużyny harcerzy.

- Ha... halo? - targana niejasną trwogą, odezwała się chrypliwie, niepewnie.

- Maja? Ty śpisz jeszcze?! - Mamon wydarła się bezdusznie. - Dziewczyno, jest czternasta!

- Wiem - Majka jedną ręką próbowała ściągnąć buty ze spuchniętych stóp. Bez skutku. Ściągnięcie wymagało siły, której Mai zbrakło.

- Maja, ja nie wiem, co się z tobą dzieje! Czy ty jesteś przytomna? - Mamon była zaniepokojona i potwornie głośna.

- Jezu... Czemu tak się drzesz... Jestem. Byłam na imprezie wczoraj - Majka sięgnęła po butelkę mineralnej, którą jakimś cudem zostawiła wcześniej przy łóżku.

- Maja, musimy się dzisiaj spotkać.

- Dzisiaj? Koniecznie? - stuknęła obcasem o obcas, aby zrzucić cisnące ją kozaki. Odpięła pasek. Chryste, zasnąć w butach... Jak? Kiedy? Finał ginął w mroku. Głowa bolała niemiłosiernie.

- Tak, dzisiaj - Mamon przybrała ton odświętny. - My ci nieba przychylamy, a ty tak dbasz o rodzinę!

- Jak dbam? O co ci chodzi? Że zaimprezowałam? Jezu... - Majce w końcu udało się wykopem pozbyć buta. Prawego. Lewy pozostał.

- Maja. To nie są żarty. Za dwie godziny u Bliklego na Nowym Świecie.

Wyobrażenie pączków wywołało u Majki odruch wymiotny. Ogórka! Kiszonego! Piwa! Schaboszczaka! Ale nie lukru.

- A musimy tam? I musimy dzisiaj? Mama, ja jestem nieprzytomna. W głowie mi się kręci. Zaraz zwymiotuję chyba - Majka próbowała argumentować szczerym stanem rzeczy.

- Maju, czekam o godzinie szesnastej w kawiarni. To ważne - wyartykułowała Mamon i się wyłączyła.

I co się tak Mamon zapowietrzyła! Pączki, Chryste... Majka w jednym bucie i ze spuszczoneymi do wpół pośladek spodniami chwiejnie pokuśtykała do łazienki.

- Bazula kula nie chce na spacer? - rzuciła bełkotliwie i retorycznie do psa, zwiniętego w kłębek na posłaniu. - I dobrze.

- Bajaderka? - Mamon upierścienioną dłonią poprawiała pstrą apaszkę i lustrowała ladę. Kule, kuleczki, rożki, trapezy, trójkąty. Czekolada ciemna, biała, mleczna lub pomiędzy. Z wiórkami, polewą, posypką, glazurą. Klient kawiarni stał i rozgrzeszony sięgał po kalorycznego zabójcę. Skoro łakoci jest tyle, przeżyły umocherzone warszawianki w garsonkach i jesionkach, nie zaszkodzi, proszę ja ciebie, jedno małe ciasteczko. - To jak, bajaderka? Czy ekierka? - Mamon wpadała w trans czekoladowej pełni.

- A mają tu kanapki? - Majka, bladozielona na twarzy, powstrzymywała mdłości.

- A zapytam. Ja tam wezmę słodkie. Zajmij stolik - zaordynowała Mamon. - Błada jesteś. - Chwilę potem z łoskotem postawiła talerzyki na stole. - Wzięłam ci miętę. Czy ty musisz tak szaleć?

- Mama... nie kopie się leżącego - Majka mówiła z trudem. Łomotało jej serce.

-Maja, wiesz, że tata wyjeżdża na wykłady do Johannesburga - Mamon rozdziobywała łyżeczką paciajkę z kremu i bezy.

- No wiem, i dlatego koniecznie musiałyśmy się spotkać? Aby pączkiem wznieść toast za kolejne semi naria ojca? - Majka zapadła się w plusz kanapy. Przecież Papon non stop gdzieś wyjeżdża! A można było leżeć w łóżku...

- Nie. Dlatego, że będę potrzebowała twojej pomocy
- Mamon nie dawała się wciągnąć w szyderstwo.

- Gdyż albowiem? Będę ci musiała włączać plazmę?
Mama, bez urazy, aleja dogorywam...

- Jestem chora.

- Grypa? Nie wyglądasz. Masz gorączkę? - Majka pociągnęła łyk mięty.

- Maja, czy ty mnie słyszysz? - Mamon poluzowała pod szyją apaszkę i oparła się o miękkie wyściełanie fotela. - Mam zmiany na piersi. Podejrzenie raka. Czy raczej, już pewność.

Kelner krzątał się między stolikami. Pochyleni ku sobie goście szeptali, raz po raz wybuchając śmiechem. Brzęk filiżanek dopełniał gwar kawiarni.

- Jak to? - Majka zatrzymała się w tym punkcie. To nie dzieje się naprawdę. To kac. Majaki. Bańka mydlana. Zaraz prysnie. Musi prysnąć.

- Tak to - Mamon zabrzmiała nierzeczywiście realnie. - Od wielu tygodni robiłam badania. Mam już diagnozę. Dlatego ci mówię. Nowotwór złośliwy. Ale nie odetną mi piersi. Lekarka radzi zacząć terapię jak najszybciej. Góra za miesiąc.

- Raka? Nie pijesz, nie palisz, jak możesz mieć raka? - Majka nabierała rzeczowości. Rak to nie jest choroba Mamon. Rak to ja, Majkę, może dopaść. Ale nie matkę.

- Maja... - westchnęła Mamon dobrodusznie. - To wczesne stadium. Szybko wykryte. Przede mną wycie-

cie guza, radioterapia, chemia. Będę słaba. Chciałabym cię prosić o podwożenie samochodem. Po operacji nie dam rady sama jeździć do szpitala.

- Mama - Majka zatrzymała się na tym słowie. Ścisnięte gardło nie pozwalało dokończyć zdania.

- Maja, nie denerwuj się - Mamon była spokojna.

- Mama, masz nas. Masz mnie, masz ojca - Majka mówiła gardłowo, szybko. Kawiarnia nikła za parawanem leż w spojówkach.

- O to właśnie chodzi. Nie mówmy tacie - rzuciła Mamon i zaczęła beztrosko wtrącać ciastko, jak gdyby właśnie poinformowała o tym, czy krem jest dość gęsty.

- O czym ty mówisz ? - Czy Majka się przesłyszała? „Nie mówmy tacie”? Niech to będzie taki nasz babski sekret? Drobnny figiel?

- O tym, że nie powiem tacie. I ciebie też o to proszę. Na razie. Ojcu bardzo zależało na tym RPA. To, że zostanie, mnie nic nie da. Czy myślisz, że on byłby w stanie się mną zaopiekować? Nie bądź naiwna. Jak mam temperaturę to ojciec od razu kładzie się z grypą do łóżka. Mężczyźni boją się takich sytuacji. Nie potrafią. Nie obwiniaj ojca.

- Czy ty musisz być taką cierpiętnicą?! - Majka aż podskoczyła na kanapie z furii. - Matka Polka Konstancińska?! Papon będzie grzał tyłek w Afryce, a ty z wenflonem wbitym w rękę będziesz się cieszyć na on-

kologii, że nie stresuje go widok umieralni?! Mama, ja nie kapuję! Jesteście ze sobą całe życie i...

- ... właśnie dlatego jesteście - Mamon wpadła jej w słowo. - Właśnie dlatego, że ja nie wymagam niemożliwego. Ojca to przerośnie. Odwoła seminaria z poczucia obowiązku. Ale i tak mi w niczym nie pomoże. Będzie przerażony, nieobecny. Lepiej, żeby pojechał. Powiem mu po powrocie.

- Mama, popraw mnie, jeśli się mylę. Suszycie mi głowę, żebym związała się z jakimś facetem. Bo rodzina podstawową komórką społeczną, więc wedle tej zasady jestem teraz kaleką społeczną. Związek daje oparcie. Dlaczego więc w chwili, kiedy najbardziej tego człowieka potrzebujesz chcesz być sama? Dlaczego go nie angażujesz? Nie wymagasz? Pomyśl czasem o sobie, do cholery!

- Nie drzyj się, to po pierwsze. Tobie się Maja wydaje, że jesteś bezkompromisowa i przez to szlachetniejsza, lepsza? - Mamon uśmiechnęła się smutno. - Dziecko, ty żyjesz utopią, fikcją. Jakimś wymyślonym modelem. Powtarzam ci. Ojciec i tak ucieknie od tej sytuacji. Co mi z tego, że będzie robił za taksówkarza? Co mi z tego, że będzie chodził nieprzytomny? I że sam od razu na pewno poleci na badania? Pytam, czy ty mi pomożesz - Mamon spojrzała poważnie.

- Pomogę. Ale cię nie rozumiem - odpowiedziała i zamilkła. Ciszę przerwał dźwięk esemesa. Majka wyjęła

komórkę z torby. „A widzisz: jednak pamiętam. Kino?" Nie była w nastroju do gier i zabaw towarzyskich. Jakie kino? Ups... Film z poprzedniej nocy, stop klatka. Szatnia, Majka bierze kurtkę. Rozchełstana wychodzi przed Klubo. Nie ma przy niej Toli. Pojechała wcześniej? Wybiega jakiś facet. Śmieją się, gadają, ale o czym? Chyba wcześniej tańczyli razem. Tak, na pewno. Na zewnątrz już świta, jeżdżą pierwsze autobusy. Majka macha na taksówkę i wykrzykuje swój numer telefonu. „I tak nie zapamiętasz!", kokietuje pijacko. Ale co to za koleś? I dlaczego za nią wybiegł? I dlaczego dała mu numer? Nie ma to, jak urwany film, który nagle zaczyna mieć ciąg dalszy na trzeźwo.

- Jakiś kolega? - Mamon w lot wychwyciła nastrój.

- Nie, dlaczego? - Majka wstukiwała: „Kino - może. Zaproponuj coś. Za tydzień". Niech go jeszcze przyciśnie.

- A bo się tak uśmiechasz do tego telefonu - Mamon wypunktowała bezlitośnie.

- Nie, tak tylko. Moment, o, już odpisałam. A z tym rakiem, to jak w ogóle? Jeśli wczesne stadium to jest całkowicie do wyleczenia, prawda? - Majka powróciła myślami do spraw bardziej istotnych.

- Prawda, prawda - Mamon sięgnęła po wiszącą na oparciu fotela płaszcz z czarnej wełny. - Może nawet włosy mi nie wypadną. Ale skoro już przy tym jesteśmy. Dowiedziałybyś się o jakieś peruki? Tak dla bez-

pieczeństwa, jeśli by się okazało, że jednak. Wiesz, jakieś takie, żebym wyglądała po ludzku, a nie jak kukła z teatru, co?

- Pewnie. Zadzwoń do znajomych stylistek - Majka wbiła wzrok w kafel na podłodze.

- Maja, głowa do góry. Co ty taka delikatna? I pamiętaj, ani słowa ojcu. Niech wyjedzie, a kiedy wróci będzie już po wszystkim.

Terminal Fryderyka Chopina lśnił, oślepiał, błyszczał. Nowiutki - w szkłe, stali i chromie. Wypolerowany na glanc, że nie siada ani pyłek, ani żaden wymiętoszony podróżny. Na eleganckim lotnisku eleganccy są i statyści. W dopasowanych kostiumach i garniturach, z paltami nonszalancko przewieszonymi przez ramię, po śliskiej nawierzchni bezszelestnie ciągną foremne walizeczki w stonowanych barwach. Jeśli kolor bardziej szalony - pomarańcz, czerwień, błękit - to zawsze z dyskretnie srebrzącym się logo Samsonite, aby terminal wiedział, że podróżny ceni sobie wysokiej klasy niesztampowość. Dopuszczalny jest papierowy kubek z kawą z pobliskiego bistro, jakiś kolorowy tytuł, no ewentualnie plik gazet pod pachą. Można rozmawiać przez komórkę, do ostatniej chwili załatwiając sprawy najwyższej biznesowej wagi. W dobrym tonie jest sap-

nać z dezaprobatą na konieczność wyłączenia komórki, ale to już naprawdę w całkiem ostatniej minucie, kiedy samolot kołuje na płycie. Wcześniej, należy przystanąć i pospiesznie rzucić okiem na tablicę informacyjną, w mig wychwycić numer gate'u i lotu, nie robiąc przy tym z siebie tępego tłumoka, niezorientowanego w światowym szyfrze znaków. Rzewnych pożegnań lśniący terminal raczej nie przewiduje. Ludzie dziś podróżują, lotnisko to nie jest miejsce do jakichś szlochów. Lot, wylot, przylot - tętno cywilizowanego organizmu.

- No i dzieje się - Tola dociągała zapięcie plecaka. Obok stały dwie wybrzuszone walizki.

- Ile masz jeszcze czasu? - Ojciec Toli nerwowo spojrział na zegarek. - Kwadrans. Powoli musisz się zbierać. Może lepiej stań już do odprawy?

- Nie stresuj jej - mama Toli mówiła miękko, próbowała złagodzić napięcie.

- Pomogę ci z tobołami - Majce udzielała się doniosłość sytuacji. Takie niby nic. Ot, wyjazd przyjaciółki na pół roku, a człowiek mimo woli wpada jednak w nastrój podsumowań, w górnolotne pytania o przyszłość.

- Komitet pożegnalny mnie się coś rozkliwia - Tola zabrzmiała umiarkowanie prześmiewcze Drgające struny głosowe, zdrajcy. - No dobra, skoro już chce cie się mnie pozbyć, to spadam.

Ojciec pomógł jej założyć plecak, upewnił się, czy walizki dobrze zapięte. Klepnął w plecy, zawahany

przez kilka sekund, w końcu pociągnął ku sobie i przytulił mocno. Matka wzięła Tolę w ramiona i dobrą chwilę stały, wczepione w uścisku.

- Jak wylądujesz, puść esemes. Z Heathrow powinnaś dojechać w dwie godziny. Zadzwoń, jak dotrzesz. Masz adres? Masz mapę dojazdu? Na pewno? - tata instruuwał, a wskazówki te były potrzebne przede wszystkim jemu. Oswajały niemęskie wzruszenie i emocje.

- Ludzie, przecież to tylko kilka miesięcy. Buziaki - zgarbiona pod plecakiem Tola mówiła też do siebie. Chwyliła za jedną walizkę, Majka za drugą. Oddaliły się w stronę stanowisk nadawania bagażu.

- Majek, wiesz, jakoś mi łyso wyjeżdżać. - Przed nimi w kolejce stało kilka osób, każdy z biletem i dokumentami w ręku. Zawczasu przygotowani, aby utrzymać płynność ruchu, aby nie zaczopować swoim rozmawianiem przepływu.

- Mnie też. Dziwnie. Może tam zostaniesz na stałe? I co wtedy? Zamiast babskich nasiadów i wypadów do Klubo, będę kursować do Londynu doglądać twoje mulaciątka? - Majka patrzyła na nucącego sobie pod nosem rosłego Murzyna z gigantyczną konstrukcją afrodredów na głowie. Miły kontrast w tym monochromatycznym pejzażu.

- Majek, a skoro o Klubo, to jak tam twój nowy la-
wer, co? - Tola z radością powróciła z nostalgicznych obłoków na grunt bardziej swojski.

- Właśnie, może ty mi powiesz - Majka też odzyskała humor i spokój ducha. - Był jakiś koleś, tak? Prawie nic nie pamiętam. Tyle, że odprowadził mnie do taksówki, dałam mu telefon, a ten wziął i do mnie napisał. Do kina zaprasza. Co za gość?

- Brawo, zuchu mój. „Był koleś, tak?” Majka, całą noc z nim tańczyła! Koncertowo mnie olałaś, bo tylko Bzyk Skarpetka, Bzyk Skarpetka i nikt więcej! Raz tylko do mnie przyleciałaś, że to jakiś kumpel twojego znajomego, że zagadałaś z nim przy barze i żebym się nie martwiła, bo to nikt obcy. I że super wam się rozmawia o psychologii, bo on psychiatra. I tak was ta psychologia połączyła, że na środku sali szczepiliście paszcze.

- Co? Jakie paszcze? - Majka znów była wytrącona z wątpliej równowagi psychicznej.

- Całowałaś się z nim.

- Ja się z nim całowałam?! - Majka wrzasnęła zbyt głośno. Stateczne małżeństwo obok chrząknęło znacząco.

- Przez godzinę chyba. Na samym środku, w tłumie ludzi. Ale nie martw się, nie ty jedna dokazywałaś. Ja się w końcu zmyłam, bo nie było już z ciebie żadnego pożytku. Fajny jakiś?

- A żebym to ja wiedziała... - Majka zafrasowała się. Pięknie. Oto sytuacja do broszury: „Szkody wyrządzone przez narkotyki i alkohol”. Rozdział: „Zaniki pamięci a ryzykowne zachowania seksualne”.

- Nie wyglądałaś wcale na pijaną. Po tym koksie byłaś nawet ożywiona - Tola ściszyła głos.

- No, najwidoczniej. **I to bardzo** - Majka **była** wściekła. Tylko na kogo?

- Następny proszę! Next please! - blond wcielenie elegancji terminalu błękitnym okiem i wymodelowanym głosem wywołało Tolę.

- Idę. Już mnie nie odprowadzaj do odprawy, bo się rozryczę. Maja, jesteśmy w kontakcie. Piszemy, dzwonimy, OK? - Tola mówiła szybko.

- Zobaczysz, będzie ci super. Zadzwoń koniecznie - Majka rzuciła się Toli na szyję.

- Buziak. Pozdrów Gośkę - Tola złapała za walizy i pomaszerowała. Na konfrontację z blondyną oraz z nowym życiem.

- To jest dobre wino, delikatnie wytrawne - tęga sprzedawczyni o czerwonej twarzy, spalonej rudej ondulacji z siwymi odrostami i odpryskującym z paznokci pomarańczowym lakierem, podawała Majce butelkę, wycierając ją z kurzu rąbkiem bawełnianego fartucha. Plamy na nim były pochodzenia zwierzęcego: obracające się na ruszcie obok kurczaki raz na jakiś czas tryskały z trzewi krwawym sokiem.

- Niech będzie - z braku wyboru i chęci na wdrożenie alkoholu w stanie bardziej czystym, Majka zapakowała do ekologicznej torby cabernet sauvignon. Mokotowskie spożywczeni stawiają na bardziej masowego

konesera o ziemniaczanym przelyku. „Delikatnie wytrawne”, powtarzane jest niczym mantra przez sklepiarzy, którzy jak ognia unikają „wytrawnego”, by wizja siary nie odstraszyć klienta.

Majtając siatą, zamyślona Majka doszła pod kamienicę. Ze skrzynki na listy wyjęła plik kopert. Era, Aster, Stoen. Ciekawe, ile tym razem „wezwań do zapłaty”, a ile nowych rachunków? Dzisiaj samej sobie Majka przyznaje taryfę: trzysta procent i ulga.

Przekręciła klucz w zamku. Odstawiła zakupy, potarosiła Bazylego, który rzucił się na nią w drzwiach z eksplozją czułości. Nie zdejmując butów, podeszła do odtwarzacza. Bojowo? Niech będzie. „Są kobiety pistolety i kobiety jak rakiety”, Maria Awaria wypełniła ciszę, „...i kolekcjonuję wzwody”, Majka śpiewając odkorkowywała butelkę, „...ciągnie mnie pod twój arktyczny wzwód”. Arktyczny? Nieżyciowa fraza poetycka. Jakiś wulkan, tropik - bardzo proszę.

- No, to za samą siebie - upiła łyk z kieliszka.

Kolacja? Przejrzała zawartość szuflady. Makaron ryżowy, makaron gryczany, soczewica... Nie ma czegoś bardziej pro ludzkiego? Hamburgera w zamrażarce? Otworzyła dolne drzwiczki lodówki. W oparach buchającego chłodu, smętnie polegiwała samotna butelka pieprzówki Absolut. Wieczera singla.

Odpakowała camembert i z butelką wina w jednej ręce, a w drugiej z serem podeszła do biurka. W Google wrzuciła „rak AND sutka”. Milion stron. Kilkanaście

sensowniejszych zapisała na pulpicie. Jutro poczyta. Sprawdziła pocztę. O, mail od Agnieszki. Nie widziały się z rok chyba, choć wcześniej były całkiem blisko. Urok znajomości z pracy.

„Co słyhać? U mnie nie za zbyt. Rozstałam się z Piotrkim, pracuję teraz w piarze. Majka, powiem szczerze, bo wiem, że chwilę się nie słyszałyśmy. Mam prośbę. Jesteś jedyną osobą, która będzie miała odwagę. Dlatego piszę” - Majka czytała z rosnącą ciekawością. Odwagę? Co ona ją tak pod włos bierze? „Spotykałam się niedawno z pewnym gościem. On mnie zostawił. A ostatnio odkryłam, że ma swój profil na portalu randkowym. Już się domyślasz?” Majka przybliżyła twarz do monitora, aby mieć pewność, że dobrze widzi. Nie, nie domyśla się ani trochę. O co babie chodzi? „Jeśli byłabyś skłonna wywinąć taki numer, to będę wdzięczna. Napisz. I się nie śmieję”.

„Agniecha, fajnie, że piszesz. W czym rzecz? Bo słowo honoru, nie czaję”, Majka zafurkotała w klawiaturę. „Send”, poszło.

Portal randkowy???

- A o czym jest to *W stronę słońca*? - Bzyk Skarpetka samczo przejął dowodzenie przy kasie w Kinotece. *Elegia*, na którą się umówili, leciała od pół godziny. Źle sprawdził.

- No, grupa ludzi leci statkiem kosmicznym w stronę słońca - kasjerka precyzyjnie odmalowała fabułę. Majka i Skarpetka zanieśli się śmiechem. Poczucie humoru: duży plus.

- No dobra, zobaczymy - Skarpetka sięgnął po portfel, minimalistycznym ruchem dłoni przeciął powietrze nad portfelem Majki, który wyjmowała przecież retorycznie.

Mijając tablice z wystawą prasowej fotografii, ustawili się w kolejce po popcorn.

- Gdzie wolisz? Bliżej, dalej? - ledwo wystający zza kubła kukurydzy Skarpetka przejawiał troskę.

- Tu będzie dobrze - manewrując między kolanami współwidzów, Majka zajęła miejsce.

Grupa ludzi leciała w stronę słońca przez bite dwie godziny. Prócz tego, w filmie działo się niewiele.

- Wychodzimy? - Skarpetka nachylił się do Majki.

- Nie, no już posiedźmy. Może coś się jeszcze stanie.

- Majka nienawidziła wychodzić w połowie.

- Jak sobie życzysz - Skarpetka musnął ją nosem po szyi. Wziął za rękę. Tak szybko? Przecież to pierwsze spotkanie! No, prawie...

- To teraz jedziemy poszukać dobrego wina, które mam w domu - zainspirowany kosmosem Skarpetka też najwidoczniej chciał się przelecieć tego wieczoru.

Schody Pałacu Kultury były miejscami oblodzone. Nocne miasto rozbłyskiwało kolorowymi, migającymi neonami i strzeliście podświetlonymi drapaczami chmur.

- Niekoniecznie - Majka dopinała skórzany płaszcz z wściekle czerwonym kołnierzem. W zielonych kozakach ostrożnie stąpała pomiędzy wysepkami zmarzliny. - Ale możesz mnie zaprosić na kawę. Mam jeszcze godzinę.

A ten co? Kino - wino - i wskakuj do łóżka, dziewczyno?! I co się tak przywiązał do tego całowania z Klubo? Kawa, rozmowa - bardzo proszę. To Majka zdecyduje, kiedy się potarmoszą.

Skarpetka, jak niepyszny acz szarmancko, otworzył przed Majką drzwiczki samochodu. Skórzana kremowa tapicerka odcinała się od ciemnego drewna deski rozdzielczej i fioletowego lakieru. Oraz identycznych, fioletowych skarpetek. Diler dorzucił je w promocji?

Czarny aksamit marynarki Skarpetka wypełniał rzeźbą z mozołem uzyskiwaną wśród sztang i fitness sprzętów.

- Lemon? - stopa w lakierku nacisnęła na pedał gazu.

- Może być - Majka mościła się wygodnie w fotelu. Chwilę potem przy kawie, przy niedzieli, życie po krótko sobie opowiedzieli.

- Wiem, że mnie nie cierpisz - Mefisto był błądy. Długimi palcami przeciągnął przez blond czuprynę, starannie-niedbale zrobioną wedle najnowszych trendów przy Burakowskiej, gdzie cięto warszawskie partie odgórne. Siedzieli w barze obok.

- Jeszcze dwa razy to samo - Mefisto rzucił do barmanki, zbierającej polanczowe talerze. Wśród beczek i oliw rozmawiano po francusku, włosku oraz angielsku. Przy Burakowskiej, światowe bywa towarzystwo.

- Nie wolicie butelki?

- Maja? - Mefisto to był jednak dżentelmen.

- Wystarczy kieliszek. Prowadzę - Majka nie ukrywała niechęci. Zgodziła się na tę rozmowę tylko przez wzgląd na Gośkę.

- Słuchaj... - no proszę, Mefisto? taki wyszczekany?
- nie chcę cię angażować w nasze sprawy...

- To dobrze, bo ja się w nie wcale nie angażuję.

- Nie możesz odpuścić? - Mefisto wrócił do swojego tonu. Majka patrzyła przez szybę na zaparkowane na ceglastym podwórzu terenówki. Jakoś przecież tu trzeba dojechać przez pół dzikiego miasta. Yappi safari warszawskie.

- W czym rzecz? Nie ściemniam, że nie wiem, co się stało. Chociaż Gosia niewiele mówi. Czego ode mnie chcesz? - Majka czuła, że zaraz wybuchnie.

- Żebyś mi pomogła.

- Chyba mam problemy ze słuchem. Jeszcze raz, poproszę.

- Chciałbym cię prosić o wsparcie - Mefistowi ledwo to zdanie przeszło przez gardło. Wykalaczką chwycił oliwkę, aby je przełknąć jak najszybciej.

- W czym? W kolejnym romansie czy w wypadzie do agencji towarzyskiej? Bo już się gubię - Majka odnajdywała w sobie sadystkę. To Mefisto umie powiedzieć „proszę”? Pan dyrektor, pan prezes od zawsze.

- Majka, nie przeginaj. Nie przyszedłem się spowiadać. Mną się nie zajmuj, OK? - Mefisto był już na powrót szefem. - Proste pytanie. Czy w imię swojej rzekomej przyjaźni z Gosią byłabyś tak miła i wytłumaczyła jej, żebym mógł się wprowadzić? Ona potrzebuje potwierdzenia. Takiego babskiego. My już w zasadzie podjęliśmy decyzję. Ktoś musi ją upewnić.

- „My”? Pluralis maiestatis? My Mefisto? - Majka uśmiechnęła się cierpko. Mefisto już Gośce wybaczył i wkurzały go teraz jej fochy? Dobry pan. Łaskawiec.

- Tak, czy nie? Gośka nie ma przyjaciółek. Ta wasza Tola wyjechała...

- „Ta wasza Tola”?! Jak ty mówisz!

- Majka, zaraz oszaleję! Musimy się boksować? Nie potrafisz normalnie?

- Czego się spodziewasz?! Że zadzwonię do Gośki, umówię się na kawę i powiem: „Kochana, już zapomnij o tych psotach”? Jakoś nie sędzę.

- No tak, Majka, bo ty zawsze święta. Zawsze poza podejrzeniem. Purytanka, mentorka! - poirytowany Mefisto nadgryzł kawałek chorizo. Suche włókno twardej kielbasy wpiło mu się w szczelinę między zębami. Dyskretnie operując językiem, próbował je wyciągnąć z potrzasku.

- Nie wsiadaj na mnie - Majkę paliły policzki. Proszę, jaka niezobowiązująca pogawędka znajomych w lokalu kulturalnym.

- Tak czy nie? - Mefisto wbił w Majkę stalowe, pewne siebie oczy.

- Wcale cię nie nie cierpię. - Majka zeskoczyła z taboretu przy sękatej beczce. - Ale... nie potrafię.

Odwróciła się i wyszła.

- Tylko na herbatę. OK? - Majka była pewna. Seks należy uprawiać po randce trzeciej lub czwartej, a nie drugiej.

- Mam fantastyczną herbatę - Skarpetka się uśmiechnął. Stali pod nowym apartamentowcem w Śródmieściu. Skarpetka tak pomanewrował spacerem po kinie, aby znaleźć się pod jego klatką.

- Herbatę? Mówię poważnie - Majka przestępowała z nogi na nogę, stukając obcasami o chodnik. Zimno!

- Ja też. Idziemy na górę - Skarpetka, samiec alfa, wziął Majkę za rękę, wcisnął w czarną planszę kod wej-

ścia. Metaliczny głos oznajmił, że szklane drzwi są otwarte, a te się rozwarły.

Portierka, jak zdało się Majce, posłała jej rutynowe spojrzenie z cyklu: „Następna...”.

Majka weszła do windy pewna: nie ona naiwna. Ona będzie inna.

- No i tak właśnie mieszkam - Skarpetka zdjął buty w korytarzu. Proszę, jaki czyścioch. Majka spojrzała na swoje czarne oficerki. Po jej trupie. Stała na dywanie. Skarpetka spojrzał z bólem.

Mieszkanie było ładne, ale... dziwne. Obfite w obiekty magiczne. Z lamp zwisały amulety, po kątach stały formy rzeźbiarsko-graficzne. Tu pióropusz, tam podświetlana kula, jakiś chiński talizman.

- Earl grey czy owocowa? - Skarpetka postawił dwie paczki na bufecie, oddzielającym kuchnię od pokoju.

- Owocową poproszę - Majka usiadła na futrzanej kanapie, założyła nogę na nogę, sięgnęła po książki na drewnianym stoliku obok. *Realne nierealne. Duchy mówią do ciebie. O znaczeniu znaków w życiu.* To pan doktorek o północy ustawia talerzyk i świece? Jak kiedyś na koloniach?!

- Twoje? Czytasz? - Majka odebrała kubek z parującą herbatą i pytała Skarpetkę, posyłając niewyraźne spojrzenie w stronę lektur.

- A tak, przeglądam - Skarpetka umościł się na kanapie. Pilotem włączył muzykę. Szum oceanu wypełnił zakłęta chatkę z piernika.

- Interesujesz się zawodowo czy prywatnie? - Majka upiła łyk palącej język porzeczeki. Magia zaczynała ją niepokoić.

- I jedno, i drugie. Muszę mieć czasem odskocznię - Skarpetka przysunął się i usiadł za Majką. Nogami objął ją w pasie. Stopy położył na blacie stolika. Brązowe skarpetki były o ton jaśniejsze od drewna. Przed wyjściem dobierał odcień?

- Czyli? - Majka położyła dłoń na jego dłoni, gładzącej ją po brzuchu. Dobrze, że jednak nie zrobiła burrito poprzedniego wieczoru.

- Czyli... - Skarpetka zjeżdżał w dół, palcem zaczepił o suwak jej spodni.

- No czyli, dlaczego to czytasz? - Majka pochyliła się gwałtownie do przodu, sięgnęła po kubek. Stop akcja.

- No czytam, po prostu. Czy to takie ważne? - wyszeptał, wtulając się w szyję Majki. Ciepły koniuszek języka zaczął zataczać kręgi po jej skórze. Miło...

- No i? - pochyliła głowę, odgarnęła włosy z karku.

- I...? - dłoń powędrował wyżej, zaczęła odpinać guzik jej koszuli.

- Hm? - Majka się wygięła, rękę podniosła do góry, objęła go za tył głowy.

- Co, hm...? - rozmowa wchodziła w etap: minimalizm. Skarpetka wślizgnął dłoń pod materiał, chwycił jej pierś, mocno...

- Aua! - Majka aż podskoczyła. Człowieku! Sutek to nie jest wytarty guzik w pilocie, który trzeba wcisnąć ile siły!

- Chodź. - Skarpetka jakby nie usłyszał. Napierał na Majkę, aż przewrócił ją na futrzane obicie. Przyjął pozycję: gotowy do startu. Kolano wcisnął między jej uda.

Komórka. Polifoniczne *Dorit worry, be happy* dziarsko podskoczyło w drgawkach na magicznym stole.

- O, już się zbierają? - rozczochrany Skarpetka uniósł się na łokciu, sięgnął po telefon i oto czymś już uradowany patrzył na pulsujący ekran.

- Konradź? Sie ma - wybity z tarmoszenia Skarpetka wrócił w jakieś sobie tylko znane tryby. Promieniał, uśmiechał się do telefonu. - No nie bardzo. Jak tam? Nie, ja dziś nie - Skarpetka był w swoim żywiole. Jakim, pozostawało nieodgadnione.

Majka podniosła się. Usiadła na kanapie, zapięła rozchełstaną koszulę.

- No nie, nie mogę. Stary... - Skarpetka nie zwracał na nią najmniejszej uwagi.

Zaczynał Majkę irytować. Wstała. „Hm?” w grymasie twarz wykrzywiła. „Wyjść i nie przeszkadzać?” Majka brwi zmarszczyła. Skarpetka zaprzeczył dłonią. Ironii nie pojął.

- Stary, w Enklawie dzisiaj się tylko dzieje - Skarpetka szczerzył się do nokii.

Majka chrząknęła.

- Tak, tak, pewnie, jestem z kolegą. Jasne! - Skarpetka ubawił się serdecznie do telefonu.

Majka sięgnęła po torebkę na krześle obok, komórkę ostentacyjnie wyjęła.

- Jaki adres? - wyszeptała.

- Stary, kończę, tak, mówię ci, tylko w Enklawie. - Skarpetka podniósł się i podchodził do niej. - No, i daj znać jutro, jak było. Trzymaj się. Tak, na razie - odłożył aparat na drewniany blat w kuchni. - No coś ty? Dokąd się wybierasz? - objął Majkę w pasie, przytulił.

- Masz najwidoczniej swoje plany z Kondziem - Majka wywinęła się z uścisku.

- Nie. Chłopaki idą w miasto, jak co dzień. A ja powiedziałem, że nie mogę.

- Chłopaki? To ile oni mają lat?

- Różnie. Konrad akurat ma czterdzieści cztery.

- I codziennie balujecie? - Majka nie dowierzała.

- Nie, ale zwykle. - Skarpetka wzbierał na podrażnieniu.

- To oni nie mają rodzin? - Majkę raptownie zajął temat czterdziestoczteroletnich chłopców.

- Prowadzimy śledztwo? Co ty nagle taka dociekliwa? - zniecierpliwiony Skarpetka zaczął znów całować ją po szyi. - Mam świetną herbatę. W sypialni. Idziemy? - dłońmi zjechał niżej, ścisnął jej pośladek.

- Nie, dziękuję. - Majka znów odskoczyła. - Jaki adres? Bo zamawiam taksówkę. Za szybko, jak dla mnie.

Kwadrans potem, Skarpetka zatrzasnął za nią drzwiczki taksówki. Dżentelmen przed konsumpcją, nabrzmiały kindersztubą.

- Gdzie jesteś? - głos był zatroskany. Jak zawsze.

- Mama, czy to takie ważne? - Majka siedziała w białym peniuarze. Głowę owiniętą miała papierowym ręcznikiem. Prawą ręką trzymała komórkę, lewą wyciągała przed sobą na stoliku. Powstawał manikiur. W asyście przechodniów, którzy mijali Majkę za przeszkloną ścianą salonu przy Puławskiej. Transparen-tność w sytuacji rozmemłania zawstydziała ją bardzo. Starala się nie patrzeć.

- Ojciec już poleciał. Wychodzę z lotniska. Korek chyba jest na Żwirkach.

- Aha - Majka nie wiedziała, jak się odnieść do relacji.

- Nic cię nie interesuje? - Mamon wpadała w irytację.

- Ale co ma mnie interesować?! - Majka wrzasnęła. Chryste. Dlaczego nigdzie nie uczą, jak rozmawiać z matką przez telefon i nie zagotować się z wściekłości?

- Że ojciec wyleciał! O nic nie pytasz! My ci nieba przychylamy...

- ...Mama, ja tego nie wytrzymam! Wiem. Wyleciał. Do RPA. Wraca za dwa miesiące. Wiem! Więc o co mam pytać?!

- Za cztery miesiące! Widzisz, o niczym nie wiesz! Nie masz pojęcia, o czym mówisz!

Majka oddaliła komórkę od ucha. Głęboko wciągnęła powietrze, wypuściła. Policzyła do dziesięciu. Kiedy ponownie ją zbliżyła, litania nieutulonego żalu powoli się kończyła.

- ... tak więc mogłabyś sama częściej dzwonić. No. To tyle. A ja jutro jadę do szpitala.

- O której?

- Mam być rano, o dziewiątej trzydzieści.

- Wystarczy jak przyjadę do ciebie o ósmej? Chyba zdążymy przebić się przez Ursynów?

Cisza. Mamon się zapowietrzyła.

- Dziękuję - powiedziała po chwili.

- To do jutra.

Majka się rozłączyła. Sięgnęła po gazetę, która wisiała na haczyku obok fotela. Spojrzała na pierwszą stronę i... nie oderwała się od artykułu, nim go nie skończyła. Pisano, że Simon Mol, Kameruńczyk, zaraził HIV kilkanaście kobiet w Warszawie. Załomotało jej serce. Spotkała go na kilku bankietach. Kurdupła o skrzekliwym głosie. Ale to nie o niego chodziło. Majka patrzyła na pilniczek przed sobą, z trudem oddychała. Tematu HIV potwornie się bała. Choć sama przed sobą do tego się nie

przyznawała. Cholerny Romek na Kubie. Cytrynka, niby w kondomie, ale kto go tam wie. Nie wspominając, że Gucio to był imprezowicz-klubowicz, a z nim jednak bez. No i kto tam wie Rumcajsa, swoją drogą. HIV z zaplutego Dworca Centralnego przeniósł się do pachnącej Warszawy. Zarażonych było na pewno więcej, niż tych kilkanaście kobiet. Domino poszło. Test, test... Jedyne wyjście. Tylko, jak tu się zebrać na odwagę?

Mróz szczypał policzki. Twardy, ubity śnieg skrzypiał pod butami. Bazyli podbiegi pochwalić się znalezionym patykiem. Szczęśliwy, dokazywał na pustej przestrzeni Pól Mokotowskich. Przychodzili tu przez cały rok, zawsze rano w tygodniu, nigdy w soboty i niedziele, kiedy Pola zadeptywała zwarta rodzinna struktura. O świecie nie było zakochanych, frizby gromad, wiosennych pikników na kraciastych kocach, kochanych umorusanych brzdąców, piłujących paszcze przy stoiskach z cukrową watą, paczek przyjaciół uchachanych do rozpuku nad kuflami piwa w Lolku. Majka maszerowała energicznie, zatopiona w myślach.

- Cześć - znajomy głos raptownie wybił ją z namyślnego. Zatrzymała się i spojrzała przed siebie nieobecny wzrokiem.

Gucio... W stroju do dzogingu???

- O. Cześć...

- Bazula, Bazula moja kula, kochana! - Gucio ścisnął się już z psem, który wisił się u jego kolan, zachwycony i zaśliniony. - Poranny spacer? - Gucio spytał retorycznie, wtulony w pofałdowaną mordę. Bazyli liżał go po szyi.

- A ty co, biegasz? - Majka nie dowierzała. Gucio sportowiec? Od kiedy?

- Dokładnie tak - nawet na nią nie spojrzał znad gleby.

- Specjalnie przyjeżdżasz na Pola? Od ciebie to przecież kawalek. Nie bliżej do Łazienek? - Majka naciągnęła skórzana pilotkę na uszy.

- Hm, no tak, bliżej... Bazula, jak ja tęsknię. A czy pies tęskni? - Gucio odpowiedział zdawkowo i galopem wrócił do rozmowy z interlokutorem, który nie zadawał mu pytań. Na przykład o to, dlaczego od prawie trzech miesięcy ani razu nie zadzwonił, żeby ukochanego psa wziąć na spacer.

- To dlaczego nie biegasz w Łazienkach? - Majka podjęła porzucony wątek.

- A... bo teraz mieszkam tu w okolicy. Bazula moja - znów ten sam schemat.

- Kupiłeś czy wynajmujesz? - Majka zaczynała podejrzewać, skąd to uporczywe uciekanie od tematu. Gucio nie potrafił się maskować. Zamierzała go przygwoździć.

- E, no nie ani jedno, ani drugie. Tak chwilowo pomieszkuję. Mój pies, mój - znowu patrzył w ziemię, wcisnięty w tłuste falochrony Bazylego.

- U kogo? - nie odpuszczała.

- O rany, no dobra - gwałtownie podniósł się z kolan i wojowniczo stanął naprzeciwko. Całym sobą wyznawał: Pora na bolesną prawdę. Po czym zadał cios ostateczny. - U Kaśki.

- Jakiej Kaśki? - na Majce wyznanie nie zrobiło szczególnego wrażenia.

- Jakiej Kaśki... No Kaśki Joaśki. Twojej koleżanki z poprzedniej redakcji.

Kaśki Joaśki?! Tej Kaśki?! Ty łajzo! Oszuście! Zdrajco!

Majka poczuła, jak przez powiększone złością dziurki od nosa intensywnie zasysa mroźne powietrze.

- Aha. No proszę. A taka ponoć niekobieca ci się zawsze wydawała - nie powstrzymała się od złośliwości. - Nieapetyczna.

- Musisz? - Gucio był w nastroju rewolucyjnym. Patrzcie go, buntownik!

- Nie, no wiesz, tylko pytam. Z ciekawości. Poczekaj, jak to było? Wtedy po imprezie, na której ją poznałeś? Że ma tylek jak defilada armii północnokoreańskiej? A cycki jak kolumbijski płaskowyż? I że nawija jak katarynka kretynka?

- Majka! Przestań! - Gucio się rozeźlił.

- Ależ tylko pytam! Tylko wspominam! - Majka zaczęła wpadać w furję. Dlaczego, nie miała pojęcia.

- Co ci do tego?! To ty mnie rzuciłaś! - Gucio zakpiął.

Majce brakło argumentów. Tak. To ona go zdradziła, a potem zostawiła. A teraz piekliło ją to, że jest z Kaśką. I to cholernie!

- No, to pozdrów ode mnie swoją przyjaciółkę. Rozumiem, że wasz związek jest taki kumpelski, męski. Skoro ona to babochłop - Majka czuła, że brnie, ale nie potrafiła się zatrzymać.

- Wiesz, Majka, czasem myślę, że ty jednak zła kobieta jesteś - Guccio popadał w ton mędrca. A ten co tu parafrazuje Lindę?! Kolejny wielbiciel?!

- Jestem zła, jestem podła. I tym miłym akcentem pana żegnam - Majka przyciągnęła do siebie skonfundowanego Bazylego, srogo spojrzała na sportowego Gucia i dziarsko ruszyła przed siebie. „A pies ci mordę lizał. Nie mój Bazylu, w sensie”.

Pacjenci byli szarzy i przezroczyści. Powłóczyli przepoconymi, rozdeptanymi kapciami po linoleum na korytarzu. W spranych, pasiastych pizamach przyklejali się do odrapanych parapetów. Spoglądali za oblepione spalinami okna. Czasem skubnęli odprysk % framugi, żeby nie odstawał, ostry. Dobywali komórkę. Chaotycznymi, powolnymi dłońmi wstukiwali numer. Mówili. „To ja. Tak, jakoś. Śniadanie już było. Bułka z serem i szynką. Z masłem. Nie, nie dali margaryny. Niedługo

obiad. Ponoć mielony z duszoną marchewką i ziemniakami. I kompot wiśniowy. Ale na deser, zamiast kisielu, dziś ma być budyń. Zadzwoń jutro".

- Mama, a ty już nie możesz teraz, po operacji, do prywatnego jakiegoś szpitala jeździć? W Damianie, albo w LIM-ie nie mają onkologii? - Majka *czuła* się nieswojo w tej poczekalni między życiem a śmiercią.

- Maja, nie bredź - Mamon w dżinsach i błękitnym pulowerze z kaszmiru siedziała na krześle obok w korytarzu. W przegub nad dłonią, z której błyszcząły cyrkonie i brylant, wbity miała wenflon. Podłączony rurką do stojącej obok przenośnej kroplówki. - W prywatnym to ja robiłam badania. Centrum Onkologii jest najlepsze. Mają tu specjalistów, sprzęt. Do prywatnej przychodni to ty możesz iść na cytologię. A skoro już mowa, badasz się regularnie? To nie są żarty.

- Tak, badam.

- Dlaczego wcale nie dzwonisz do ojca? - Mamon była już z powrotem obecna duchem w ciele. Oswoiła już korytarz, już mogła opierniczać Majkę.

- Odwróć pytanie. Dlaczego ojciec nie dzwoni do mnie? Nigdy? Nawet w urodziny? - Majka bawiła się końcówką paska od zegarka. Rado. Uwielbiała go. Prezent od Rumcajsa na rocznicę ślubu. Lekką ręką wydawał wtedy jeszcze grube tysiące na niespodzianki dla niej.

- Bo to nie ty wyjeżdżasz ciągle na sympozja, tylko ojciec. Jest zajęty - Mamon zastukała krwistoczerwonymi paznokciami o plastik siedzenia.

- W moje urodziny, o ile pamiętam, był w Warszawie. - Majka nie ustępowała.

- Dziecko... Mężczyźni nie mówią o emocjach...

- ... więc nie składają życzeń córkom?

- Za dużo wymagasz. To mnie martwi. Nie ułożysz sobie życia z taką postawą - Mamon majstrowała przy zawleczce wenflonu. Tak, żeby zająć czymś drugą rękę.

- Jak się czujesz? - Majka chciała zmienić temat. Nie potrafiła mówić o relacji z ojcem. Ta zawsze była dziwna. Milcząca, bezuczuciowa, sterylna. Od dziecka czuła, że musi sobie zasłużyć na jego akceptację. Że miłość Paponi to nagroda za najlepsze stopnie, wygrywane konkursy, dyplomy, świadectwa z paskiem. Porażki małej Majki, jak choćby wpisy do dzienniczka uwag, że zapomniała worka z kapciami, przyprawiały go o posępnosć. Był nią zawiedziony wówczas. Na co dzień, traktował jak powietrze. Majka żyła więc rytmem znieprawionych klęsk i upragnionych zwycięstw.

- Dobrze. To wszystko długo nie potrwa. Nie było co ojcu zawracać głowy - Mamon mówiła bardziej do siebie, niż do córki.

- A co u niego? - Majka się przemogła, żeby zrobić matce przyjemność.

- U jakiego „niego”? U taty! - Mamon się obruszyła na tę odmianę gramatyczną. - Piękny hotel. Z basenem w ogrodzie. Jedzenie znośne. Światowa profesura. Z Hong Kongu, Rosji, Kanady, Niemiec, Japonii. Tata przygotowuje się do wykładu jutro. Konferencja

kończy się za tydzień, potem zacznie gościnne wykłady. Nie wie jeszcze, czy zostanie w tym hotelu, czy jednak uczelnia wynajmie mu mieszkanie. - Mamon opowiadała z wewnętrznym uśmiechem oraz precyzją, jak gdyby sama była teraz w słonecznym Johannesburgu, a nie na smętnej onkologii w zimnej Warszawie.

- Końcóweczka, widzę, pani Basiu - śnieżnobiała pielęgniarka zastukała śnieżnobiałymi drewniakami, sponad których figlarnie rolowały się śnieżnobiałe skarpetki. Królowna Śnieżka trupiarni. Zatrzęsła sflaczałą torebką umocowaną na górze kroplówki, nie mał całkiem już pustą. - Pięć minut i dzisiaj będzie po wszystkim.

Kwadrans potem, Majka wrzucała dwuzłotową monetę do automatu.

- Z mlekiem?

- Tak, bez cukru.

Podawała Mamonowi plastikowy kubek z kawą. Drugi trzymała w ręce, upiła łyk. Gorący płyn sparzył jej wargi.

Stały przed wyjściem ponurego budynku. Kawa parowała z kubków.

- Wiesz co? - Mamon spojrzała filuternie, w oku błysnęła jej łobuz. Znajomy z przeszłości. Majka przypomniała sobie wakacje z wczesnego dzieciństwa. Ledwo je pamiętała, postrzępione na wycinki obrazów. Mamon wbiega do namiotu z kąpielówkami Papon, skręca się

ze śmiechu. Chwilę potem wpada Papon. Przepasany w biodrach przykrótkim ręcznikiem tak, że widać mu połowę pupy, z kroplami wody na skórze. Rzuca ręcznik gdzieś na bok, siłą zabiera jej kąpielówki. „Złodziejko!”, wykrzykuje rozpromieniony i naciąga je chyłkiem. Mamon patrzy harcownikiem. Tak, jak dzisiaj.

- Tort beżowy?

- Tak! Na Mokotowską! - Majka wybuchła entuzjazmem. Uwielbiała taką zadziorną, niesforną matkę. Ale to było rzadkie.

Godzinę potem, wychodząc ze Słodko-Słonego obie obżarte po koniuszki uszu, odpinały guziki spodni.

Bazar przy Polnej był piękny. Majka otwierała masywne drzwi hali, podniecona. Uwielbiała tu przychodzić. Zarumienione bagietki, malinowe pomidory, drażniąca woń wędzonych szynek i schabów, naręcza trawiastozielonych sałat i butelkowych w odcieniu liści szpinaku. Piramidy słoików, skrywających w sobie płody ziemi i światowe metody przetwórstwa. Majka wpadała w cielecy zachwyty debila. Kochała dobrze jeść i z tą akurat miłością nie walczyła. Wyjęła kartkę z kieszeni kurtki. „Połudwica wołowa, sałata, foie gras, bułka na grzanki, wino” - potoczyła wzrokiem wśród stoisk, aby ustalić trasę przemarszu. Zaprosiła Skarpetkę na kolację. I seks, w domyśle.

Skarpetka od dziesięciu dni wychodził z siebie, palony chęcią spożycia. Wydzwaniał co trzy godziny, codziennie. Informował Majkę o każdym kroku. Opowiadał o każdym pacjencie. Tym razem, gabinet był nie w domach rehabilitowanych klientek, lecz w prywatnej przychodni psychiatrycznej. Skarpetka był zarobiony, klinika pękała w szwach od klientów. Płacących trzy stówki za godzinę możliwości lamentu. Życie w opancerzonym porsche cayenne i na zamkniętym osiedlu z polem golfowym pod miastem bywa iście okrutne.

- Sto pięćdziesiąt złotych - sprzedawczyni podawała Majce mikroskopijny słoik pasztetu z gęsich wątróbek. Okrutne, drogie i obrzydliwie smaczne. W zasadzie o to też chyba chodzi w seksie? Majka wrzuciła foie gras do koszyka, zerknęła na świstek papieru - ostatnia pozycja z listy. Resztę już ma. Pora przejechać przez aptekę.

- Szefowo, pilnowałem - opatulony w waciak nurek śmietnikowy nagle wyrósł przed pozostawioną na światłach awaryjnych hondą, tarasującą przejście chodnikiem.

- Szefie. - Majka wysuwała z torebki zardzewiały klucz. - Ja bym szefowi zapłaciła, jak by tego gruchota ukradli.

- Szefowo, ja nie od takiej roboty - nurek markotnie się oddalił.

Wrzuciła zakupy do bagażnika, zapuściła gaz i ruszyła w stronę Niepodległości. Gumki, musi jeszcze

kupić gumki, na wypadek gdyby Skarpetka okazał się pasjonatem ery kamienia łupanego. Panowie miewają dziś dryg do historii.

Mieszkanie było gotowe. Edith Piaf śpiewała adekwatnie, miłośnie i tęsknie. Obstawione świecznikami ściany to uciekały to znów przybliżały się cieniem do rozedrganych, tańczących na nich płomieni. Majka w fartuchu w spółkujące Smurfy - prezencie od Toli z jakiegoś alternatywnego butiku, takiej tam drobnej sugestii na ten wieczór - krzątała się po kuchni. Południca piekła się już od ponad godziny, sałata czekała na zalanie sosem, grzanki - na ostatnią chwilę. Bazyli leżał zwinięty w rogu kanapy. Majka rozstawiła srebrne talerze, kieliszki z Krosna i różowe serwetki w czerwone truskawki na szklanym stole, podpartym nogami z nieociosanego drewna. Prosty projekt, a cieszy. Głównie projektanta, wzbogaconego o złotych osiem tysięcy.

Sięgnęła do torebki, wyjęła paczkę dureksów, ultra cienkich. Folię wyrzuciła, z pudełkiem w stronę sypialni się oddaliła. Opakowanie położyła pod łóżkiem, przy krawędzi. Strategicznie. Tak, by nawet w największym seks obłędzie, mieć wzgląd na to prozaiczne podorędzie. Jeszcze chwila? Tak, Skarpetka będzie za dwadzieścia minut. Sprawdźmy pocztę.

„Kochana - mam tu zajebistego asystenta." - kto powiedział, że Tola napisze o budżetach typu nowa praca, zakwaterowanie, pogoda? Wszak należy stosować selekcję informacji oraz hierarchię ich wagi. „Z Senegalu, ale w Londynie jest od dwudziestu lat, na stałe. Nie pytaj o rozmiar, nie wiem jeszcze;-) A poza tym - w porządku. Napiszę więcej, jak okrzepnę." - Tola w piśmie była zwięzła i konkretna.

„Majka, chodzi o to, że mogłabyś, oczywiście jeśli masz chęć, zaczepić tego mojego eks i go wkręcić. A potem rzucić. Jeśli nie, to błagam zapomnij o prośbie. Nie traktuj jej zobowiązująco, proszę". Agnieszka... Zaczepić, wkręcić i rzucić? W sensie, dać się bzyknąć, a potem prysnąć? Nie, tego nie grają nawet w czeskich filmach. „Agniecha, czy ty mnie prosisz, żebym go uwiodła? Poszła z nim do łóżka?!" Majka klikała „send", kiedy usłyszała dzwonek.

- Pięknie pachnie. - Skarpetka wyłonił się w drzwiach zza bukietu białych róż. Cmoknął Majkę w policzek i wkroczył na pokoje. W białej koszuli i dżinsach. Klasycznie, dobrze, bardzo dobrze. Pytanie, czy zamięłowanie do prostoty przejawia również w łóżku.

- Co jemy? - pochylał się już przy piekarniku i zerkał na mięso. Proszę, jak pan kuchcik gospodarz. Byłyby ci w planach figle z elementem organicznym? Smarowanie czekoladą? Gry i zabawy towarzyskie z panem bananem oraz panią marchewką? Majka ledwo powstrzy-

mała się od śmiechu. Ciekawe, jaka tym razem czekają niespodzianka. Seks to nie jest dopełnienie anatomiczne. Zbyt proste, zbyt banalne. A może jednak? Może w końcu?

- Co mnie tu w gary patrzy! - huknęła i klepnęła Skarpetkę w pośladek, wypięty poniżej elektrycznej ku chenki. - Niech siada i otwiera flaszkę!

Skrzętnie posłuchał, wziął ze stołu korkociąg, sięgnął po butelkę amarone.

- No, a dlaczego w sumie jesteś psychiatrą? Chyba ciężki zawód - Majka połała sałatę winegretem, mieszała zamazyście.

- Chciałem być ginekologiem położnikiem - Skarpetka nalewał niemal do pełna. Niecelegancko, ale jakże praktycznie. Ginekologiem???

- I co? Znudził ci się fotel i pozycja na samolot? Zbyt było dosadnie? - Majka parsknęła, wyjmując pieczeń.

- Nie. Na pierwszym dyżurze w szpitalu podałem rodzącej znieczulenie. Umarła i ona, i dziecko - Skarpetka odstawił butelkę na stół.

Majka poczuła się, jak brakujące ogniwo w teorii ewolucji.

- Przepraszam - powiedziała po chwili ze ściśniętym gardłem. Twarz Skarpetki przesłaniała jej para z dymiącej brytfanki w dłoniach i łyzy wzbierające w oczach.

- Daj spokój, skąd mogłaś wiedzieć - Skarpetka odsunął krzesło, usiadł przy stole. - Jemy?

- Pewnie - Majka spuściła z tonu. - Proszę bardzo, mięcho, sałata - nakładała Skarpetce zającą porcję, próbując cofnąć moment - a tu grzanki z foie gras, na przystawkę, no albo obok - czasem i Majka bywała miła. Zwłaszcza w takiej chwili.

- Ale pyszne - Skarpetka pałaszował z radością.

- Przepyszne!

- Fajnie. Dziękuję. Ale... no jak to w sumie było?

- Czyli? - Skarpetka spojrzął sponad widelca z plasterem krwistej wołowiny.

- Dlaczego tamta kobieta umarła? I też dziecko? - Majce temat nie dawał spokoju.

- Nie z mojej winy - Skarpetka połknął kawałek.

- Umarła po kilku godzinach. Gdybym wbił się w złe miejsce, zgon byłby natychmiastowy. A było tak, że około północy podałem jej to znieczulenie i poszedłem się kimnąć w gabinecie. O czwartej rano obudziła mnie pielęgniarka, że pacjentka nie żyje. No, i dyrektor szpitala poprosił, żebym sam odszedł. I się skończyły plany. Przez dziesięć lat trwało dochodzenie. Niedawno mnie uniewinniono. Wina? - Skarpetka chwycił za butelkę do połowy już opróżnioną.

- Ale... jak ty sobie z tym wszystkim radzisz? - Majka podstawiła kieliszek.

- Radzę? - Skarpetka zabrał się z powrotem do jedzenia.

- No pewnie ciężko przeżyłeś taką sprawę? Chodziłeś na jakąś terapię? - Majka była przejęta.

- Nie, wtedy poleciałem w psychiatrię. Bo nie mogłem już być położnikiem. No i do dziś mam swoich magików. Wpadam do nich czasem.

- Magików?

- Szamanów. Od karmy, energii, przeznaczenia. Wy tłumaczyli mi, dlaczego przyciągnąłem wtedy śmierć.

Majka się zasepiła. Więc stąd te talizmany, amulety, starty mózg małpy, rozsypany po kątach w chatce z piernika. Odganiamy makabryczne demony. Przeszłość atakuje. Tym razem nie kpiła.

- Straszne - siadł jej humor.

- Jakieś dobre wino - Skarpetka wytężonym okiem specy spojrzał na etykietkę.

Komunikat odebrany: zmieniamy temat.

Majka skubnęła widelcem listek rukoli.

- Mam drugie.

Chłodny palec wsunął się do środka. - Może się przeniesiemy? Do sypialni - wyszeptwała.

- Hm, dobrze. - Skarpetka leżał na niej. Oboje ledwo się mieścili na kanapie w salonie. Twardy, wgniatał się w podbrzusze. Zsunął się niżej. Docisnął, nabrzmiął.

- Idziemy? - Majka ledwo już mówiła.

Podniósł się, stanął. Nagi. Świetnie zbudowany. Fitness Adonis. Chwycił ją w ramiona. Wąska, czarna spódnica Majki zmarszczyła się na udach. Koronka prawej pończochy zrulowała się nad kolano. Ramiączko czarnego stanika zsunęło na łokieć. Majtki były gdzieś na podłodze.

Wymijając koszulę i spodnie, poniewierając się na dole, Skarpetka poniósł ją na pokoje. Rzucił na łóżko. Zsunęła spódnice. Rozpięła stanik, pończochy zostawiła. Głowa Skarpetki była już między nimi, zakleszczona. Rozchyliła uda. Poczula język, jęknęła. Dłońmi chwycił ją pod pośladki. Ugiął nogi w kolanach. Zamajtał stopami. Majka się rozproszyła. W trosce o pomyślny finał, powieki przymknęła.

Głowę rozsadzał wideoklip. Pulsowały. Twarze. Skarpetki. Eksów. Nieznane. Dominika. Gorąco. Wzbierało. Ujęcia. Migają. Żołądz. Wargi. Rozgarnia. Wtargnia. Się wciska. Uciska. Tak! Wspomnienia. Jak powiedział. Uwielbiam. Cię czuć. Cię pruć. W wilgoci. Nabrzmiwać. W gorącu. Dojrzewać. W upale. Trzeć. W parnym finale. Się drzeć. Jak spojrział. Jak pachniał. Przebitki. Filmowe. Porno. Dwie kobiety. W nich maczety. One z sobą. Złączone. Fałdką skóry, zespolone. Trójkąt.

Główka wchodzi. Ona przed nią, ustami ją słodzi. On końcówką jest w innej środku. Ona liże go po rozkoszy zarodku. Słowa. Ty dziwko. Ty kurwo. Wulgarne. Seks. Ordynarny. On znów mówi. On znów wchodzi. On znów patrzy. On ciągnie. Za włosy. Ręką. Jest brutalny. Tak! On kończy. Na zewnątrz. Sperma. Ją oblewa. Szparcie. Zalewa. Oj! Jest! Tak!

Majka wydała z siebie zduszony krzyk, palcami kurczowo wczepiła się w prześcieradło. Obezwładniała ją miękka fala ciepła. Naprężone mięśnie drgały, szarpiąc ciałem. Kilkadziesiąt sekund.

I już. Cięcie. Przeszło.

Skarpetka był na niej.

- Masz? - Majka odezwała się z trudem, wyczerpana.

- W spodniach, w drugim pokoju - Skarpetka w stanie surowym nadal operował przy wejściu, niezachęcony do wycieczki.

- Ja mam tutaj - Majka sięgnęła na podłogę. Chwilę macała, szukała, w końcu trafiła na paczkę. Podała. Bez słowa wziął, odpakował, założył. Uf, w końcu bez targów i przekomarzań. Odprężona Majka, tym razem była obecna. A nawet trochę się starała. Skarpetka okazał się długodystansowcem. W czterdziestej minucie, Majka poczuła się obolała.

- Może już jakoś? - zagaiła szeptem.

- Przecież próbuję - Skarpetka odezwał się rzeczowo.-Ale chyba...

- No? - Majka trochę się zaniepokoiła. „Próbuję”? To ona tak ładnie i sprawnie, a ten co, górnik na przodku?

- Nie wiem, czy dam radę w przerwy. - wyznał.

Pięknie. Choć w sumie - czy to aby Majki problem? Jej już było dobrze.

- I co z tym zrobimy? - Skarpetka negocjował w ruchu.

- Na pewno nie możesz w?

- Jakoś nie. Może na chwilę zdejmę?

- Nie, nie.

Skarpetka wysunął się i położył obok. Dłoń Majki powędrowała w jego stronę. Zdjęła gumkę, zaczęła palcami poruszać miarowo w pionie.

Miło. Majka przebudzała się w znakomitym nastroju. Nie otwierając oczu, naciągnęła na siebie pachnącą pierzynę. Poturlała się na drugą stronę, żeby się przytulić. Wyciągnęła rękę. Pusto. Skarpetki w łóżku nie było. Zerwała się i usiadła, w sekundę oprzytomniona. W mieszkaniu było cicho. W salonie paliły się lampy. Wstała, owinięta pościelą. Wychyliła z sypialni.

- Halo?

Cisza. Żadnego plusku prysznic, nastawionego ekspresu, skwierczącej cebuli na jajecznicę. Jest sama.

Weszła do salonu. Zgasiła światła, usiadła na kanapie. Spojrzała na zegar w kinie domowym. Godzina jedenaśta trzydzieści. Sięgnęła po komórkę na stole. Zero wiadomości. Żadnych nieodebranych połączeń.

Co w zasadzie się działo? Pamiętała, jak zasypia. Wtulona, nie sama.

Podeszła do drzwi. Otwarty zamek... Czyli on potem wyszedł. Tak po prostu. Majkę ściał smutek. Nieokreślony. Czy wspólne śniadanie po seksie to już pętla na szyi? Przypieczętowanie diabelskiego paktu na całe życie? Śmiertelna choroba przenoszona drogą płciową - odpowiedzialność? Człowieku, nie wychodzi się z łóżka w środku nocy! Zaczynała być wściekła. Co za idiota! Kretyn! Impotent!

Pochyliła się przy łóżku, zgarnęła swoją spódnice i pończochy. A co to? Kucnęła. Głęboko pod łóżkiem majaczył kawałek materiału. Majka położyła się i sięgnęła. Skarpetka. Męska. Czarna. Przetarta na pięcie. Prawie jak bukiet fiołków z bilecikiem „Dziękuję”. Romeo! Majka się roześmiała. Zgniotła skarpetkę w dłoni, podeszła do szafki z koszem na śmieci i ją wyrzuciła. Wizja Skarpetki czmychającego o brzasku z gołą nogą do rozpuku ją ubawiła. Może nawet pojechał jeszcze do jakiegoś klubu z Kondziem? Ciekawe, czy nie było mu zimno? Majka podeszła do okna. Minus cztery. W nocy było pewnie minus dziesięć. Może czerwono-stopy Skarpetka jest teraz w szpitalu? Majka skręcała się ze śmiechu. Nastawiła kawę. Co za palant!

Komórka.

Zasejfowała otwarty dokument na pulpicie. Przez całe popołudnie pracowała nad projektem działu, który nazajutrz miała przedstawić Tekli w nowym wydawnictwie. Zsunęła z nosa okulary. Rozgarniając zagraniczne tytuły na biurku, z których twórczo czerpała, dokopała się w końcu do telefonu. Skarpetka. Lepiej późno niż wcale. Jakże trafny banał.

- Halo - starała się zabrzmieć neutralnie. Choć wydarłaby się najchętniej. Dupku! Kretynie! Palancie!

Skarpetka odezwał się głosem stonowanym.

- Cześć. Właśnie skończyłem pracę.

- Aha... - Majka czekała na wytłumaczenie.

- No, ciężkich miałem dzisiaj pacjentów.

- Hm - nie zamierzała mu ułatwiać pytaniami.

- Dzwonię, bo chyba zostawiłem u ciebie...

Stop klatka. Czy Romeo dzwoni po to, żeby... odzyskać dziurawą skarpetkę?! Majka znieruchomiała przy biurku. No dalej. Słucham, Tristanie, twej serenady. Law songu.

- ...okulary. Może znalazłaś?

- Okulary? Nie, nie widziałam. Ale znalazłam skarpetkę. Musiało ci się nieźle spieszyć.

- Trochę, ale okazało się, że z planów i tak nici.

- Bo? - Majka nie była pewna, czy dobrze słyszy. To on przed kolacją już zaplanował, że wyjdzie? Po pierwszym seksie?!

- Bo twój piesek mi to uniemożliwił. -

Jak to?

- Tak to. Zżarł mi portfel.

- Bardzo śmieszne - nie zrozumiała.

- Mnie to nie rozśmieszyło - Skarpetka zabrzmiał stanowczo.

- Mówisz serio?

-Jak najbardziej. Spałaś jak kamień. Wstałem, ubrałem się. Portfel miałem wcześniej w spodniach. No i go tam nie znalazłem. Myślałem, że wypadł. Zacząłem rozglądać się po podłodze. I zobaczyłem. Jego szczątki.

- Gdzie?

- Na posłaniu twojego pieska. Bydlak zżarł pieniądze, podarł dokumenty i połamał wszystkie karty.

Majka zamarła.

- O rany... Nie wiem, co powiedzieć. Przepraszam za niego - kończąc to zdanie przypomniała sobie, że to jednak nie ona powinna się kajać.

- No wiesz, raczej prędko nie będę miał ochoty powtórzyć takiego numeru - Skarpetka wpadał w ton nazyt dobrze jej znany.

- Mówię, że przepraszam. Ale wiesz co, trochę przykro mi, że tylko takie masz wspomnienie z nocy. Wydawało mi się, że oprócz tego jedliśmy kolację i poszliśmy do łóżka.

- Postaw się w mojej sytuacji - Skarpetka najwi-
doczniej przeżył traumę. - Chłopaki musieli po mnie
przyjechać, a teraz przez tydzień będę się woził po urzę-
dach, żeby to wszystko pozafatwiać! Nie wspomina-
m już o kasie. Sześć stów.

- No, to chyba jednak nie tak strasznie drogo. Wli-
czając kolację z winem, co? - szlag zaczynał trafiać Maj-
kę. Będzie tu wyliczał!

- Przecież nie o to mi chodziło! - W rozmowie ko-
chanków wzbierał romantyzm.

- Mam podstawowe pytanie - Majka mówiła przez
ściśnięte usta. Spięte mięśnie twarzy rzeźbiły w tym
momencie owal lepiej od botoksu.

- No? - Skarpetka jakby się przestraszył.

- Dlaczego w ogóle szukałeś tego portfela w nocy?
Dlaczego wyszedłeś?

- Bo umówiłem się luźno z chłopakami, że może do
nich dołączę. Spałaś, a ja nie mogłem zasnąć. To co
miałem zrobić? - Skarpetka klarował z logiką żelazną i
dżentelmeńską.

- Umówiłeś się wcześniej?!

- Nie krzycz. Luźno, powiedziałem przecież. Nie
mogłem zasnąć! - przeszedł do ataku.

- A pomyślałeś o tym, jak ja się będę czuła rano?

- Nie - odpowiedział.

Jej brakło argumentów. Nie pomyślał. Tak po prostu.

- Więc czułam się średnio. A poza wszystkim, mogłeś pomyśleć choćby o tym, że zostawiasz za sobą drzwi otwarte - Majka była już zrezygnowana.

- No a jak je miałem zamknąć bez kluczy od zewnątrz? - Skarpetka nie wychodził poza swoje pole widzenia kwestii.

- Nijak. Chyba się nie rozumiemy - Majka wpatrywała się w wygasający monitor laptopa.

- Poszukasz okularów? - niezrażony Skarpetka podjął porzucony temat. - Srebrne oprawki, Armani.

- Ile kosztowały? - Sytuacja zaczynała ją bawić.

- Tysiąc dwieście - on odpowiedział całkiem poważnie.

- Sprawdzę. Dam znać, jeśli znajdę.

- Fajnie.

W słuchawce zaległa cisza.

- A jakie masz dzisiaj plany? - Majka nie wiedziała, po co zadaje to pytanie.

- Zaraz idę z Kondziem na squasha. A potem wpadamy do innego kumpla na browar. Potem, nie wiem. Może gdzieś jeszcze skoczymy - relacjonował bez zająknięcia, ale i bez propozycji.

- To miłej zabawy - poczuła się byle jako, nijako. Nic minęło.

- A dzięki. To dasz znać, jak znajdziesz? - Skarpetkę nurtowało jedno.

- Pewnie. To cześć. - Wyłączyła **telefon, wstała od** biurka.

W kojcu poniewierały się resztki papieru i plastiku. Majka podeszła do skrzynki z zabawkami Bazylego. Rozgarnęła kocyki, podniosła je do góry. Wypadły z nich plastikowe kości, zmechacony pajacyk, piszczące frizby. Oraz okulary. Nadgryzione, ale całe. Sięgnęła po telefon. Wstukała esemes: „Przeszukałam całe mieszkanie. Nie ma”.

Minutę potem nadeszła odpowiedź:

„Cholera”.

- Bazyli! - Majka otworzyła szufladę.

Pies pomknął na posłanie w podskokach, zadowolony. Rozpoznawał ten ton i cały się zaślinił.

Na resztki Skarpetkowego portfela Majka rzuciła tabliczkę czekolady.

- Nagroda!

Podeszła do śmietnika. Spojrzała na sfatygowanego armaniego w dłoni. Podniosła wieko kosza i go wywaliła.

Sześćset plus tysiąc dwieście to tysiąc osiemset. Odjąć dwieście na połowę kolacji. Wychodzi tysiąc sześćset. Nienajgorzej. Majka kwaśno się uśmiechnęła.

Rozdział szósty, w którym Bzyk Trzeci zarzuca sieć z zamku Gargamela

Mrówek tonął w beżach. Beżowy t-shirt, beżowe spodnie, beżowy blezer przerzucony przez anorektyczne ramię. Nigdzie żadnej metki, ale kto ma wiedzieć, ten i tak się zorientuje, że beże zostały świeżo nabyte w Mediolanie. Oprawiony w minimalizm. Doradca Wszechdoradcy. Alfa i Omega.

Tekla go uwielbiała. Ona sama była dziś w czerniach. Sześćdziesięcioletnia reklama osiągnąć skalpela oraz trzydziestodwuletni beztłuszczowy, pachnący Mrówek o modnej orientacji. Ładna para.

Pokój konferencyjny: białe ściany, stół z mlecznego szkła i krzesła obite białą skórą. Żadnego zbędnego pyłku, który rozproszyłby umysł. Elegancka psychodelia.

- Czy to aby będzie dość światowe? - Tekla przeszła konferencyjne powietrze skrzekiem.

- Myślę, że warto podzielić tematykę krajową i zagraniczną po połowie - Majka stała wyprostowana przy planszy projektowej. Ścisnęła flamaster, którym od godziny rozrysowywała układ stron w magazynie.

- Nie. Więcej zagranicy. U nas nie dzieje się nic ciekawego - Tekla nie miała wąchań w głosie.

- Zgadza się, absolutnie - Mrówek przytaknął cicho i natychmiast sięgnął po szklankę wody, aby zwilżyć nadwyrężone struny.

- Widzę u nas taki temat - Mrówek poluzował supeł z rękawów blezera, spleciony na jego rachitycznej klatce piersiowej. - Nowy Orlean. Katrina minęła. Ludzie wracają. Tworzą się nowe firmy. Wśród nich, jedna bardzo nietypowa - łyk mineralnej. - Wykształcony Murzyn zatrudnia innych czarnych po studiach. Ale świadczą usługi tylko białym.

- Jakże? O co chodzi? - Majka gubiła się w tym wywodzie. „Koko” to nie jest pismo gospodarczo-finansowe. Gdzie tu ten stajlajf?

- A no właśnie! - Mrówek aż podskoczył i strzelił rozgorączkowanym okiem. - Oni są prostytutkami!

- Kto, panie Mrówku? - Tekla zainteresowała się żywo.

- Ci wykształceni Murzyni! Ale to jeszcze nie koniec - łyk wody - wynajmują ich biali mężowie. Płacą za to, że patrzą, jak taki Murzyn uprawia seks z ich żoną.
- Mrówek się uśmiechnął, z siebie zadowolony. Zuch chłopczyk, taki temat!

- I co, mamy pisać o takich perwersjach? - Majka nie nadążała za myślami plenum.

- Ja, przyznam, też jeszcze nie widzę tego materiału - Tekla patrzyła sponad złotych oprawek i popadała w kontuzję.

- Jakich perwersjach? - Mrówek się obruszył na ten zarzut, zasmucony. - Przecież to jest temat o kryptohomoseksualizmie! Nowym, powszechnym zjawisku społecznym! My musimy wyłapywać takie trendy! - Mrówek przemawiał, wzburzony. - Przecież o to chodzi, że ten biały facet w Nowym Orleanie chce patrzeć na czarnego faceta! Tu nie chodzi o tę jego żonę! - łyk wody.

- Już widzę, już rozumiem - Tekla zanotowała złotą myśl w notesie swoim kartierem - ale, panie Mrówku, czy to aby nie nazbyt awangardowe? Czy takie ujęcie tematu będzie czytelne dla polskich kobiet?

- Pani Teklo! - Mrówek był nadąsany, lecz zachwycony. Zarzut przesadnej awangardy - o niczym innym w skrytości ducha nie marzył. - Odpowiedzmy sobie na zasadnicze pytanie. Czy my schlebiamy masowemu gustom, czy wyznaczamy wzorce? Czy my wpisujemy się w główny nurt, czy mamy siłę i odwagę iść dalej? W końcu, czy my chwytny moment? - łyk wody, zasępienie na twarzy.

Majka zdębiała. Gejowskie prostytutki w Nowym Orleanie???

- Ciekawe. Nietypowe - Tekla odezwała się sponad sporządzanych notatek. - Pani Maju - spojrzała surowo - proszę dociążyć tematykę międzynarodową. Zgodnie z zaleceniami pana Mrówka. Spotkamy się za tydzień i dokończymy zebranie. - Tekla wstała i po chwili zniknęła za drzwiami.

- Naprawdę, nie rozumiesz? To świetny temat - Mrówek patrzył z pogardą na Majkę.

- Nie bardzo. - Majka też wstała, sięgnęła po torebkę.

- Niebywale - prychnął i wyszedł, żegnając się chmurą oparów perfum Comme des Garçons, imitujących spaliny samochodu.

- Wszystko gra i śpiewa - rumiany Spec Administrator odwijal zakasane rękawy flanelowej koszuli w czerwono-czarną kratę. Przyjemny kontrpunkt dla chłodnego wystroju redakcji.

Majka usiadła przy nowym biurku. Z okna rozpościerał się widok na szare dachy metalicznych drapaczy chmur. Zagłębienie biznesowo-industrialne. Korporacyjna kopalnia. Służewiec przemysłowy, prawidłowa nazwa.

- A jak się włącza? - nie była pewna, czy ogarnia sytuację na blacie.

- No, normalnie - Spec Administrator machnął Majkę nad nosem spoconą pachą i oto polegiwał już na

biurku, dokopując się do kabelków komputera. Zapach podobny do Mrówkowego. Tyle, że pan Administrator faktycznie był w warsztacie, więc opary miał gratis.

Nowiutki, obudowany białym plastikiem macintosh zapulsował życiem i radośnie powitał Majkę w stylu Orwellowskim: „Witaj! Jesteś 567 pracownikiem w naszym wydawnictwie! Ulrich Von Burdel życzy owocnej pracy!”. Majka niepewnie rozejrzała się po rogach pod sufitem, czy aby jej postępom w pisaniu o nowoorleańskich gejach nie będzie się przyglądał sam Ulrich zza kamer.

- Dziękuję. Jeśli czegoś nie będę rozumiała, zawrócę jeszcze panu głowę - rzuciła do oddalającego się Spec Administratora.

- Bardzo proszę! Jestem na trzynastym piętrze - zniknął za drzwiami.

Należało oswoić teren. Jest na to jeden sposób. Pierwiastek ludzki. Sięgnęła po czarny moleskin. Wyjęła wizytówkę. Spojrzała na adres mailowy. „Cześć. Już jestem! ;) Pozdrawiam, m." Wspomnienie spotkania z Dominikiem nie dawało jej spokoju. Co w tym w końcu złego, sympatycznie przywitać się z kolegą z biura? Najechała kursorem na „send”. Poszło.

- Czy ktoś zamówi sushi? Umieram z głodu - główka makówki wychyliła się z pokoju. Sindirella. Metr sześć dziesiąt i czterdzieści pięć kilo. Na głowie chłopięcy blondnieład kontrolowany. Nienaganny makijaż, taki,

co to prawie go nie ma i dlatego niewidoczny make-up z kawiozem kosztuje tysiąc trzysta. Naczelna od niedawna. Od zawsze twarz medialna. Tekla wiedziała, na kogo postawić. Naczelna to Tekli przyboczny strażnik - Szwajcar. Prawdziwe centrum dowodzenia, sztab generalny „Koko” był w gabinecie generała - Tekli.

- Zamawiam. Reinboł, jak zwykle? - Ken już dzwonił. Spodnie wisiały mu w połowie kościstych pośladków. Znad nich wylaniał się kawałek bokserek i błada goła skóra. Na górze - sprany, szary pulower. Kto nie widział, ten nie wie. Że nie lumpeks to, ale trend z butiku bez nazwy, ale z cenami tylko powyżej dwóch tysięcy. Styl uniseks. Na mieście krążyła dobrze ugruntowana plotka, że Ken i Mrówek kiedyś byli parą.

- Reinboł, ale na pół oczywiście. - Sindirella była już z powrotem u siebie.

Reinboł na pół? Zestaw składający się z sześciu kawałków? Majka z Tolą zamawiały po dwa na głowę.

Nowy mail! Majka szybko kliknęła.

„Dzień dobry Pani ;) Jutro lecę do Australii służbowo. Wracam za tydzień. Może wtedy wpadniesz? ;). Dominik”.

„Wpadniesz”? Łaskawie wyznacza audyencję? Pora sprawdzić poczucie humoru. Majka wstukiwała z impetem: „Panie! Tu staroświecka Europa, a nie Australia jakaś, nie przymierzając! To ja mam wpadać?! ”.

Nie czekała długo. Czerwona kropka na ekranie minutę potem odtrąbiła nadejście odpowiedzi.

„Rozumiem ;). Zatem staroświecko odezwę się po powrocie. Do zobaczenia”.

Majka nie odpisała. Ale się uśmiechnęła. Po raz enty otworzyła klapy komórki. Żadnego esemesa od Skarpetki. Nie, żeby obsesyjnie czekała, ale mógłby chociaż się odezwać. Dupek. Zgubione okulary okazały się najwidoczniej testem ognia, który spopielił żar tego uczucia. Wygasło serce Skarpetki. Zjechała kursorem na Safari, weszła w prywatną pocztę. Mail od Agnieszki.

„Oszalałaś? Nie proszę cię, żebyś się z nim bzykała!” - odczuła niepokój przy tym zdaniu, czy aby wszechpojętny, wszechobecny Ulrich razem z nią nie czyta o bzykaniu. „Zaczeper go na tym portalu, umów się na kawę, a potem zniknij. Chcę tylko, żeby ten palant zobaczył jak to jest, ulotnić się bez słowa. To naprawdę totalny dupek, więc nie miej skrupułów. Dopiekł mi. Chcę się zemścić. Co myślisz?”

Nie wiedziała, co myśli. No ale jeśli to dupek... I zniknął bez słowa... Znajomy scenariusz. Swoją drogą, ciekawe dlaczego facetom „do widzenia” nie przechodzi przez gardło? Oczami wyobraźni widzą, jak porzucana kochanka w spazmach rozpaczony chwyta za tasak i dopuszcza się krwawej rzeźni? Nie przesadzajmy. Nie pan pierwszy, nie pan ostatni.

Okno było uchylone. Korona topoli, ogołocona z liści, pusto zaszumiała na wietrze. Podmuchał smagał

smolistą noc świstem. Majka w bawełnianych spodniach od dresów i wełnianym golfie siedziała rozparta przy biurku, w fotelu. Stopy w grubych frotte skarpetach przewiesiła przez jego oparcie. Od godziny wpatrywała się w niewypełnione pola ankiety. Profil, brzmi fachowa nazwa. Dolała sobie wina z butelki. Do połowy już puste. Głos Emmy Kirkby rozchodził się po mieszkaniu anielskimi falami i uszlachetniał niecne zamiary audiofilki przy laptopie. Pseudonim... Powinien być zachęcający, dwuznaczny. Majka miała kryzys twórczy. Wpisała: „Aja”. A niech tam. W sieci wykreuje się na egoistkę. Którą nie była, a jakże. Stan cywilny: „wolna”. Rozwódka to mieszka w Pipidówku. Wiek: „32 lata”. Skoro on ma czterdzieści lat, ona sobie doda. Czego szukam? „Przyjaźni”. Najpewniejszy wabik. Ani słowa o seksie. Musi wierzyć, że to on uwodzi. Zainteresowania. On, jak poinformowała Agnieszka, był operatorem filmowym. Majka wpisała: „Jazz. Filmy dokumentalne. Literatura średniowieczna. I może... Ty?” Czy ten wielokropek nie zanadto infantylny? Trzeba trochę z siebie zrobić idiotkę. Ma odczytać sygnał - inteligentna, ale jednak lala, a nie typ oazowy w wyciągniętym golfie. W którym skądinąd pisała te słowa. Dzieci: nie mam. Alkohol: jak by to ująć... sięgnęła po kieliszek i duszkiem wychyliła do dna pinot noir. Wpisała: „Sporadycznie”. Papierosy: „Nie palę, toleruję”. Kilka na tydzień, czasem na dzień, to nie jest palenie. Ostatnia ważna

książka. Spojrzała na drewniane półki na ścianie, zawałone lekturami. Niech będzie. „*Bóg urojony*, Dawkins”. Pole: muzyka. O jazzie już wspominała. Rock? Muzyka świata? Co pasuje najlepiej? Na co się złapie? Coś klubowego tym razem, dla zrównoważenia uduchowienia z poprzednich pól. Wstukała: „Chill out. Buddha Bar. I wszystko, co dobre”. Ostatni kieliszek. Wypiła jednym haustem. Przewyciężając tym sposobem targające nią poczucie obciachu, załogowała się na portalu randkowym. Natychmiast przeszła do rzeczy. On: Gregor. Pod takim pseudonimem skrywał się demoniczny operator. Jak by go tu podejść... Czytała profil Gregora, który spoglądał na nią zachęcająco ze zdjęcia. Ona swojego nie zamieściła. Umarłaby ze wstydu. Skoro Gregor wspomina o Herzogu, nawiążemy do jego najnowszego filmu, dokumentu o Alasce. Aktualnie, niegłupio, przyjacielsko. „Cześć. Też lubię Herzoga. Widziałeś ten ostatni dokument? Był na festiwalu doc.review. Pozdrawiam, Aja. PS. Fajny profil ;)”. Chwalić, głaskać, dopieszczać. Sam Herzog nie wystarczy.

Stuknięcie klapki macintosha o klawiaturę przypięczętowało intrygę.

„Stoję srebrnym bentleyem WXD 134A w zatoczce przy skrzyżowaniu, na lewo od wyjścia”. Majka próbowała przeczytać esemes ze zrozumieniem. Srebr-

ny - jasne kryterium. Ale - bentley? Dominik wrócił z Australii i zaprosił ją na kawę. Koleżeńska? Zaczynała wąpić. A nawet chciała, by było wręcz odwrotnie.

Pospiesznie zgarnęła torebkę, narzuciła futro ze sztucznego tygrysa, zjechała na dół i stanęła przed wejściem do wieżowca, rozglądając się po podwórku. Nie szukała długo. Z szaroburego, industrialnie przygnębiającego pejzażu wyłaniała się jasność w zaułku. Wy-polerowana na połysk osrebrzona bestia. Piękna.

Dominik wysiadł, stanął w filmowym rozkroku. Ręce trzymał w kieszeniach czarnej, skórzanej kurtki. Szelmowsko się uśmiechnął.

- Miło cię widzieć - chwycił ją za dłoni i jął prowa-dzić w swoich ust kierunku.

Majka szybko ściągnęła rękawiczkę. Nie była przy-gotowana na takie dżentelmeństwo.

Pocałował. Przytrzymał za koniuszki palców. W oczy spojrzął z inwazją.

- No witam kolegę z biura - Majka rezolutnym to-nem chciała rozładować ten niepotrzebny romantyzm.

- Jedziemy?

- Jak najbardziej - Dominik otwierał już drzwiczki.

- Wygodnie? - wsadził głowę do środka i pochylił się nad nią, doglądając podróży komfortu. Ale fajnie pach nie...

- No wiesz - Majka teatralnie rozejrzała się po wy-kończonym skórą i drewnem przestronnym wnętrzu samochodu, którego deska rozdzielcza pulsowała ultra-

fioletowymi podświetleniami, niczym statek kosmiczny.

- Trochę zgrzebnie i ciasno. Ale dam radę.

Dominik wybuchnął śmiechem, ubawiony serdecznie.

- Złośliwa bestia.

Poczucie humoru: bardzo duży plus.

- Blues? Jazz? Klasyka? - do Galerii Mokotów mieli przejechać jakieś pół kilometra, ale Dominik z całą powagą dbał o jakość wycieczki. Czarny golf sięgał kontrolowanego zarostu na brodzie.

- Jazz, chętnie - Majka nałożyła sobie chwilowe embargo na kpiny. Nawet z poczuciem humoru, facet nie zniesie śmiechu z samego siebie dwa razy z rzędu.

Przejrzał stos płyt, wybrał jedną. Po sekundzie bezszelestnie pochłonął ją sprzęt hi-tech audio. Struny gitary Pata Metheny'ego zadźwięczały tak, jak gdyby Pat siedział i brzdąkał na tylnym siedzeniu.

- No, wróble, idźcie w cholerę - Dominik zatrąbił na chmarę niesfornych ptasząt, kłębiących się nad jakimiś okruciami, na które właśnie wjeżdżali. - Już, już was nie ma! - wychylał się przez okno i machając rozganiał pozbawione instynktu samozachowawczego ptaki.

Po czym wyznał, niespodziewanie:

- Kocham zwierzęta.

Szorstki brutal o gołębim sercu? Majka zaczynała go lubić. Bardzo.

„Ty też ;) PS Nie widziałem". Gregor odpisał na zaczepkę po dwóch dniach. Jakże wylewnie. Skoro stawiamy na lakoniczność, sformułujmy zatem kolejną myśl równie zwięźle. A nawet dajmy sygnał, że to koniec korespondencji.

„Hm ;)".

Majka posłała mu mail o takiej właśnie treści. Ani słowa więcej. Nie ma co dociskać. To on ma być myśliwym w tej grze.

Prócz Gregora, napisało do niej sześciu uczestników portalu, których w żaden sposób nie zachęciła do tej korespondencji. Nie dołączyła zdjęcia, ale najwidoczniej zafrapował ich ten Horzog i literatura średniowiecza, bo przecież nie fakt, że w profilu jest wolną trzydziestodwulatką.

Puzel, lat czterdzieści dziewięć (hobby: życie) chwalił Aję za ciekawy profil. W drugim zdaniu zapraszał na lody i do kina. Na zdjęciu widniał stukilogramowy kurdupel, rozradowany na karuzeli w wesołym miasteczku.

Czterdziestosześcioletni Dino (żonaty -jakuczciwie zaznaczył w polu: stan cywilny), proponował przyjacielskie pogaduszki przy drinku wieczorem. Brak zdjęcia. Przedziwne. Żona na pewno byłaby zachwycona aktywnością męża w sieci.

Klark, trzydziestodwuletni rozwodnik (miejsce zamieszkania: Rembertów - Oklahoma City -świat) postawił na porozumienie poprzez strumień świadomości, „piszesz ja piszę do ciebie razem piszemy oddzieleni nieświadomością czym ona jest niebytem niczym złączmy się ponad nim" - brzmiała treść maila od obywatela kosmosu. Gruboziarniste, czarno-białe zdjęcie przedstawiało rozmyty profil, który mógł należeć do każdego mężczyzny lub kobiety pomiędzy osiemnastym a osiemdziesiątym rokiem życia.

Czterdziestoletni ten_którego_szukasz (hobby: no wiesz...) pytał Aję, czy uprawia seks analny w trójkącie. Obiecywał uczciwe wynagrodzenie, jeśli taka byłaby jej chęć. Zdjęcia brak.

Dziewiętnastoletni Jebioł (hobby: w pytę, ale nic wam kurwa do tego) pytał, czy Aja lubi się ruchać, bo on tak. Na fotografii widniał Sylvester Stallone jako Rambo.

Trzydziestoośmioletni samotny Don z Warszawy (hobby: sado maso i żywioł) zapraszał Aję na spacer po Puszczy Kampinoskiej opustoszałymi, dzikimi ścieżkami dziś wieczór. Uspokajał, że ma nie padać. Zdjęcie: czarne tło, a na nim trupiobiła czaszka.

Majka kasowała maile jeden po drugim, nie odpisując na żaden, kiedy naraz w skrzynce wyskoczyła nowa wiadomość. Gregor!

„Tylko tyle? ;(". Tym razem treść maila zdradzała pewne zainteresowanie.

Majka uśmiechnęła się do monitora.

„A czego - dać nie mogę - chciałbyś więcej?" Napisała, zasejfowała i po trzech dniach wysłała odpowiedź.

Gregor odpisał nazajutrz.

„Chodź gdzieś ;)”. Trafiony zatopiony.

Weszła pewnym krokiem. Rozejrzała się po stolkach, przycupniętych pod ścianami. Wnętrze urządzone było w stylu hiszpańskiej bodegi połączonej z klubem lordów angielskich. Ciemne, masywne drewno stojaków z butelkami wina rzucone było na tło wyściełanych pluszem kanap i foteli. W kątach języki płomieni rozświetlały kominki. Papu było miejscem kameralnym, uczęszczanym i modnym.

Wysoki brunet, uniesiony w półprzysiadzie ponad stołem, spoglądał wprost na nią. Majka podeszła.

- To my? - starała się zabrzmieć od niechcienia.

- To my, na pewno. Ajo? - spod czarnej brwi zaiskrzyło zielonoszare oko.

- Powiedzmy. Maja. Miło mi cię poznać, Gregor?

- Powiedzmy. Bzyk Mac. Mnie również.

Wymienili krótki, mocny uścisk dłoni. Jakże partnerski. Bzyk Mac był przystojny i doskonale o tym wiedział. Z pociągłej twarzy o smągłej cerze przenikliwie świdrowały pewne siebie oczy. Męska postura w roz-

miarze XL skrywała się w luźnej szarej bluzie z dekoltem i spranych džinsach. Kontrolowana nonszalancja, lumperski luz milionera.

- Zamówiłem już przystawki. Poduszki szczęścia. Na dobry początek - z każdego słowa Bzyk Maca przebijała nieomyślność.

Zamówił przystawki. Bez pytania, na co Majka ma ochotę. OK, pierwsza randka to nie jest dobry moment na focha.

- Super. Fajnie, że pomyślałeś wcześniej.

Bzyk Mac rozpromienił się słonecznie, choć bardzo starał się nie dać po sobie poznać, że bywa spontaniczny.

- Zawsze myślę. I zawsze będę - unurzał czarną oliwkę w kieliszku martini, który kelner właśnie podał jako aperitif. Wstrząśnięte, nie zmieszane? Czy mam to w dupie? To pytanie klucz do przyszłości.

- A więc? - Majka zmrużyła lekko powieki i wpatrywała się w Bzyk Maca wyzywająco.

- Hm? - Bzyk Mac milczał. Nie ułatwiał zadania.

- Porozmawiamy? Czym się zajmujesz zawodowo? - Majka wzięła na swoją klatkę w rozmiarze 75 C ciężar sytuacji.

- Kręcę, kręcę - Bzyk Mac, wybitny z zadumy i wyraźnie zniechęcony do tematu odgonił go machnięciem dłoni. Zniecierpliwiło go to pytanie.

- Ale co kręcisz? - Majka nie odniosła wrażenia, że wątkiem zawodowym wprowadza rozmowę w rejony intymne.

- Filmy, reklamówki, wszystko. Czy to ważne?
Chłóńmy chwilę - odchylił się i oparł o siedzenie kana-
py, lekko rozdrażniony.

- Jesteś reżyserem? Operatorem?

- To drugie, to drugie - Bzyk Mac znów postawił na
dubel formy. Był coraz bardziej poirytowany. - O, je-
dzenie! - rozluźniony odsapnął na widok kelnera.

Na stół wjechał półmisek z aromatycznymi pieroż-
kami.

- Można poprosić dodatkowy talerz? - Majka zwró-
ciła się do kelnera.

- Już dzielimy majątek? Myślałem, że to etap finalny
- Bzyk Mac brylował tymczasem w oswojonych re-
jonach. W czym, jak w czym, ale w pierwszej randce
miał on akurat wprawę. Stąd też miał i opór przed py-
taniami o życie realne.

- Długo siedzisz na tym portalu? - Majka postano-
wiła zaczerpnąć z bazy archetypów, skoro wszelkie inne
pytania rozbiły się o jego niechęć.

- Kilka miesięcy, kilka miesięcy. O, daj, spróbuję
twojego - sięgnął widelcem na jej talerz i już wtranża-łał
porwanego pieroga.

Ratunku! Czy każdą odpowiedź będzie powtarzał
dwa razy? Aż tak jest znudzony, aż tak zmanierowany?

- I często się spotykasz z kobietami z portalu?

- Kilka razy, kilka.

Brawo, schodzimy do półtora.

- I...? - Majka czuła, jak pot skrapla się jej na kręgosłupie. Nie pociągnie do deseru. Milcząca afirmacja pieroga i zakaz jakichkolwiek pytań. Uroczę.

- I widzę, że polskie kobiety są wpatrzone w facetów. Przytakują, jakoś nie potrafią, nie chcą się sprzeciwić, z obawy przed czym, nie wiem, może przed rym, żeby takiego zapatrzonego w siebie faceta nie spłoszyć, to takie nudne.

Polska kobieta tępo wpatrywała się w faceta naprzeciw. Proszę, zdanie wielokrotnie złożone! Bała się teraz odezwać, aby ten cud nie prysnął.

- Czyli nie spotykałeś się dłużej z żadną dziewczyną z tego portalu?

- Nie, to mijało się z celem. Twoja kolej, w takim razie czym ty się zajmujesz, skoro o mnie wiesz już prawie wszystko.

- Poluję na facetów na portalach randkowych, potrzebni są mi do artykułu.

- Pisziesz?

-Piszę, piszę, ale o tym nie mówmy, chłońmy, chłońmy - Majka wykrzywiła twarz w karykaturalnym grymasie i parodiując jego ruchy dłońmi sprzed chwili, małpowała szydyczko.

Bzyk Mac się roześmiał.

- OK, punkt dla ciebie. Tak, jestem operatorem filmowym. Mieszkałem przez osiem lat w Berlinie, tam też mieszka dzisiaj moja była żona z synem. Jesteśmy...

no, prawie trzy lata po rozwodzie. Mam czterdzieści **lat**, o czym wiesz z sieci. Coś jeszcze?

- Tak. Sama sobie zamówię danie główne i deser.

- Pewnie.

- Choć nie, żeby poduszki nie były smaczne - dodała asekuracyjnie.

Uśmiech Bzyk Maca pozwolił jej sądzić, że przy całej sympatii do wyszczekanych kobiet pochwała ta nie była niedorzeczna.

- To moja poobijana mydelniczka. - Majka wyjęła kluczyki i już, już miała otworzyć samochód i bez pardonowo się pożegnać, kiedy wbrew sobie cofnęła rękę. Pożegnanie po pierwszej randce, a może i ostatniej. Urzędowy uścisk ręki? Kumpelskie klepięcie w plecy? Koleżeński cmok w policzek? Żadne?

- No, i tak - wypowiedziała się erudycyjnie, kiedy poczuła, że milczenie zaczyna przytłaczać ten moment.

- Wiesz, Warszawa jest trudnym, nieprzejezdnym miastem, więc i tak nieźle sobie radzisz. - Bzyk Mac przejechał dłonią po najgłębszym wklęśnięciu. Jednym z wielu wklęśnięć.

- Miło było cię poznać. - Czy to wystarczająco neutralne?

- Mnie również - Bzyk Mac powiedział przeciągle. - Jeśli wiatry będą pomyślne, może zobaczymy się niebawem?

- Jeśli.
- Jedź ostrożnie.

Majka ruszyła z piskiem opon. Niechcący, przez nowe ogumienie, a nie chęć ostentacji.

W nocy, w szlafroku rozbebeszona w fotelu, z butelką wina przed sobą na biurku, otworzyła skrzynkę mailową i odszukała korespondencję z Agnieszką. Pora zdać relację.

„Agniecha, totalna skucha. Odwołał spotkanie. Więcej mi się nie chce. To faktycznie jakiś dupek. Trzymaj się ciepło”.

Kliknęła: „wyślij”.

Bzyk Mac spodobał jej się trochę. Wobec Agnieszki nie ma więc żadnych zobowiązań w tej sprawie. Natomiast wobec siebie samej - a i owszem.

- Kto, raz jeszcze pytam się, kto jest najważniejszy w magazynie?! - Tekla była bliska furii. Indycze gardło miarowo to dźwigało się do góry, to opadało w dół i grzęzło w czeluściach stójki koszuli, spiętej pod szyją perłową broszką. Spowite bordowym lakierem paznokcie stukały o mlecznoszklany blat stołu.

Redakcja „Koko” z mumifikowana tkwiła nieruchomo na krzesłach wokół. Nikt nie śmiał się odezwać. „Koko” zanotowało spadek sprzedaży ostatniego numeru. Dzień wcześniej widziano Teklę w kolorze krwi-

stej czerwieni opuszczającą gabinet nagle przybyłego na Dziki Wschód Hansa, podczaszego Ulricha. Hans był niekontent. Jak potwierdzały dziś rano sprawdzone źródła: stres skwapliwie odreagował jeszcze tej samej nocy na parkiecie Cynamonu i Foksal 19 w ramionach roznegliżowanych osiemnastolatek. Wszak po to na ten Dziki Wschód dał się Hans Ulrichowi zesłać, odpękawszy wprzód wyrok w filii koncernu w Kazachstanie. Po Kazachstanie i Polsce czekał go sam Paryż. Obiecał mu to Ulrich. Myśl ta trzymała Hansa przy życiu w chwilach ciężkich oraz częstych.

- Dziennikarz! Dziennikarz jest najważniejszy! A co, pytam się, co w tekście jest najważniejsze?! - Tekla cedziła przez zęby, wściekła.

Sindirella kiwnęła czubkiem szpilki i ostentacyjnie ziewnęła. Nadal wierzyła, że Tekla i Hans nie dorastają jej do pięt. Jej, telewizyjnej sławie! Reszta zespołu badawczo wpatrywała się w fascynującą fakturę blatu.

- Lead jest najważniejszy! Lead!

- Pani Teklo, może ja jednak poprowadzę zebranie? - Sindirella włożyła cały swój wątyły sarkazm w to pytanie.

Lód skuł powietrze.

- A czy panią, Sindirello, ktoś pytał o zdanie? - Tekla potrafiła pogrzebać przeciwnika jednym zagranieniem.

Ekran wyciszonej komórki rozbłysnął pod stołem. Majka zrzuciła długopis na podłogę i schylając się, wpół zgięta wyświetliła wiadomość.

„Kino?” Esemes nie był podpisany.

»•

Po chwili przyszło:

„Podzieliłaś majątek i mnie rzuciłaś?”

Bzyk Mac! Oczywiście, jak mogła się nie domyślić.

„Nie dzisiaj. Pojutrze? ;)”.

„:(OK, pewnie”.

Korzystając z okazji, że i tak jest już pod stołem, wstukała pospiesznie:

„Tekla szaleje. Uratujesz mnie? Jestem pod stołem, M” i wysłała do Dominika.

- ...dział stajlajf, weźmy na przykład - skrzek Tekli kazał jej się wynurzyć.

Chwilę później, znów schylając się na moment, odczytała odpowiedź:

„Uratuję na kawie. 19-sta przed wyjściem?”

„Będę”.

Do końca zebrania myślała o tym, że chciałaby się do niego przytulić. Niekoniecznie w ubraniu.

Galeria Mokotów, zwana również Galerią Motłochu, lub piśszczołliwie - Galmokiem, no w każdym bądź razie - kryjące się pod tymi zakłęciami pospolite centrum handlowe (by obciachowo nie rzec: pasaż punktów handlowo-usługowych) późnym popołudniem działa-

ła na najwyższych obrotach. Przepustowość żył Galmoka była o krok od zaczopowania. Schody ruchome, stacjonarne, przeszklone krużganki oraz szerokie aleje nabrzmiewały do siności rozsadzane żarzącą lawą, która wylewała się wzbierającymi falami z buzującego krateru, ukrytego pod skorupą powierzchni na Poziomie Ryby parkingu. Rozpalone krwinki przetaczały się żyłami i tętnicami od dyskretnie umieszczonych bankomatów po mniej dyskretnie rozmieszczone witryny sklepów, dostarczając organizmowi niezbędnych substancji odżywczych. Narządy wewnętrzne Galmoka utrzymane były w doskonałym stanie. Żadnych nieestetycznych zwapnień w ściankach, smolistych zabrudzeń w gąbczastej strukturze płuc ani rozedmy, żadnej marskości powiększonej wątroby. Rumiany, zadbany Galmok był naprawdę zdrowy.

Majka z Dominkiem, wciśnięci w zwarty tłum na ruchomych schodach, wylaniali się właśnie z Poziomu Ryby na Poziom Motyla. W jaskrawym, scenicznym świetle wydobywającym szklistość Galmoka, sunęli po wypolerowanych posadzkach w stronę narożnej kawiarni. Ich sylwetki odbijały się w kolejnych oknach wystawowych, przeskakując pomiędzy torebkami, walizkami i manekinami. Byli częścią dekoracji.

- Jaka kawa?

- Espresso z mlekiem - Majka rzuciła torebkę na kanapę. Dominik wybrał miejsce w najodleglejszym kątku sali.

Wrócił po chwili z filizankami.

- Jestem wykończony - wsypywał do cappuccino trzeci cukier. - Prawie nie spałem. Wróciłem o północy z bankietu, na którym musiałem lizać dupę jakiejś siksy aktoreczki, która jest - uwaga na słowo - ambasadorką gaci, a te gacie dają u nas dwie reklamy. Potem do trzeciej w nocy pisałem wstępniak do numeru. A dziś już przed dziesiątą rano zaliczyłem opiernicz Tekli i glanowanie skacowanego Hansa. Że w Rosji „Fun&Fuck” sprzedaje czterysta tysięcy, a u nas zaledwie sto pięćdziesiąt tysięcy. Myślisz, że mogę mu powiedzieć, że skoro porównuje Moskwę z Warszawą to znaczy, że jest debilem?

- Świetny pomysł. Kawa w barze mlecznym na pewno smakuje tak samo, jak ta tutaj.

- Policzyłem, że w ciągu ostatnich dwóch miesięcy wyjeżdżałem dziewięć razy, na trzy kontynenty. Padam na mordę. Marzę o...

Dzwonek komórki, ciężkozbrojny niczym przemarsz wojsk husarskich, brutalnie wtargnął do rozmowy. Dominik aż podskoczył na pufie.

- Przepraszam, zaraz wracam.

Z kieszeni skórzanej kurtki wyjął telefon. „No hej, tak, jeszcze w pracy siedzę, wyskoczyłem po kanapkę...”, Majka usłyszała pierwsze słowa, które szybko ni-
kły wraz z krokami.

Żona.

- Przepraszam, o czym to ja mówiłem? - po dwu dziesięciu minutach zaczął z powrotem rozmowę.

Choć wściekła, Majka nie dała po sobie poznać złości. Przeciwnie. Przybrała ton opiekuńczego anioła.

- O tym, że wszyscy ciągle coś od ciebie chcą. I jesteś bardzo, ale to bardzo zmęczony - spojrzała z wyrozumieniem. Aby kiedyś zebrać plony, pora zacząć użyźniać i nawozić. Żona męczy i ściga - ona go koi.

- Tak, i wiesz co, śmiesz mnie też to, że te wszystkie bankietowe głąby traktują ten cyrk na poważnie - jednym haustem dopił kawę. - Bziu-bziu, fiu-bździu, filiżaneczka w niemodny wzorek.

- Rzyg z dupy, słowem.

- Dokładnie. Brakuje mi w tym wszystkim kogoś do rozmowy.

- Rozumiem cię doskonale. Pięknie to ująłeś.

- Dzięki. Fajnie mi się z tobą gada.

Majka posłała mu uśmiech rogała, jakiego nie wyrobia żadna piekarnia.

Świetnie. Zaczął się zwierzać i być szczery. Widzi w niej oparcie, doradcę, przyjaciela.

Etap pierwszy sabotażu pt. „Przyjaciółka” niniejszym uznajemy za wykonany.

- To film o miłości i przyjaźni, przepelniony roman tyzmem. Zobaczysz - Bzyk Mac, tym razem w wariantach: minimalistyczna czerń (metka koszuli Emporio Armani wywinęła się całkiem przypadkiem) w holu przed kasami kina Silver Screen zapewniał Majkę, widząc jej niewyraźną minę. Umówili się o godzinie dwudziestej. Nie chciał zdradzić, na co ją zaprasza. Miała być nie spodzianka.

I była. Film *Transformers*. Rozwieszony na ścianie obok poster zapowiadał fabułę: gigantyczny, kwadratowy robot ucinął piłą mechaniczną kwadratowy łeb koledze.

- Ale to jest chyba o robotach? - Majka nie potrafiła wskrzesić w sobie zapału, który udzielał się już podekscytowanemu Bzyk Macowi przed projekcją.

- Te roboty bardzo się kochają. Chodź, chodź, nie marudź - przełożył obleczonego pokrowcem płaski, prostokątny pakunek pod lewe ramię i prawą dłoń chwycił ją za rękę, pociągając za sobą w stronę ruchomych schodów.

- Może kawę weźmiemy? Wiesz, na wypadek, gdybyśmy mieli przysnąć od nadmiaru tego romantyzmu - zaproponowała Majka.

- Tak tak, weźmy weźmy - Bzyk Mac postawił na utwierdzenie słuchacza w przekazie formą dubla. Jak zwykle. - Zamów, co chcesz, a ja tam w kącie na chwilę

usiadę, zawołaj mnie przy rachunku - zaordynował, po czym popędził w stronę ciemnego kąta. Majka została w ogonku do baru. Sama, jak to na randce.

- Chcesz jakiś syrop smakowy do kawy?! - wydzie-
rała się chwilę potem w jego stronę.

- Syrop niespodziankę! - odkrzyknął Bzyk Mac, pochłonięty czymś bez granic.

Chwyciła za tekturowe osłony dwa dymiące, papie-
rowe kubki i podeszła do stolika.

Szarozielone oczy Bzyk Maca skrzyły gorączką. Pal-
ce ślizgały się bezszelestnie ze zrzecznością kardiopiani-
sty. Bezrowkowa klawiatura najnowszego modelu ma-
cintosha wydawała z siebie jedynie cichutkie kliknięcia.
Bzyk Mac surfował w Internecie.

- O, już jesteś.

- Twoja - Majka postawiła przed nim kawę. - Idzie-
my? Czy może przeszkadzam w jakiejś randce na porta-
lu? - zasyczała ze złością.

- Nie nie, przeglądam trailery, już już, kończę -
Bzyk Mac nie odrywał wzroku od monitora.

Majka obróciła się na pięcie i odeszła.

- Hej, poczekaj! - usłyszała za sobą, kiedy była już
przy schodach wiodących z powrotem do wyjścia. - O co
chodzi? - Bzyk Mac doskoczył i przytrzymał ją za
rękaw.

- Masz randkę z komputerem, najwyraźniej jestem
zbędna. Miłego seansu. Laptop na pewno chętnie obej-
rzy przygody swoich starszych kumpli.

- Przepraszam - wyznał naraz rozbrajająco. - To był odruch. Nie gniewaj się - przybrał minę skrzywdzonego dziecka. Gładził ją po dłoni oraz patrzył wzrokiem łaszącego się kota, który fałszywą przymilnością chytrze zaskarbia sobie względy.

Zawróciła.

Przez dwie godziny seansu ekran kinowy trzeszczał od kruszącego się w jatkach metalu i skrzypiał od wyginanej w rzeziach blachy. Zahipnotyzowany projekcją Bzyk Mac trzymał Majkę za rękę.

W fotelu obok nich, siedział w pokrowcu laptop. Milcząco, lecz równoprawnie.

Beżowe elewacje budynków o strukturze bezy, naznaczonej wypukłościami gzymsów, tralek i płasko-rzeźb, jaśniały w świetle neonów. Krakowskie Przedmieście wymykało się ciemni nocy, skropione poświatą latarni i reflektorów. Majka wysiadła z taksówki przed Bristolem. Stukając niebotycznie wysokimi szpilkami o odśnieżony asfalt, wolno przeszła na drugą stronę. Bistro, czynne dwadzieścia cztery godziny na dobę i oblegane w jej czwartym i pierwszym kwartale, o tej porze wieczoru było jeszcze pustawe. Zamówiła, usiadła na wysokim taborecie przy okiennym bufecie. Uważając, by nie upaprać drobinami kracji, wgryzła się

w kanapkę z awanturką. Skórka bagietki chrupnęła pod zębami. Widoczny przez szybę boj hotelowy we fraku i cylindrze usłużnie otwierał drzwi podjeżdżających limuzyn. Majka sięgnęła po zmrożony kieliszek, wypła jednym haustem. Po takim podkładzie, make-upie duszy, poczuła, że spotkanie Dominika z żoną mniej ją poruszy. Rozgrzana działającą już wódką, wyszła. Pora zacząć bankiecik.

Szatnia na prawo, wizytówki na lewo, drink proszę - reklamowała na jednym wydechu hostessa o uśmiechu Jokera i nieobecny wzrok w wymalowanym oku.

Hotelowe lobby rozbrzmiewało gwarem.

Szatnia była wykładana marmurem oraz złotem. Goście mieli czas w szczegółach zapoznać się z fakturą posadzki oraz zdobieniami kolumn. Pozwalało na to czterdzieści minut stania w kolejce. Zanim atmosfera sięgnie zenitu, w którym to stanie sfotografują ją fotoreporterzy a dziennikarze tymi słowami podpiszą, w mozole i znoju po zenit ów w szatni kroczy.

Pierwsze, dyskretne prychnięcia - „Doprawdy!” - bardziej słyszalne sapnięcia - „Organizacja!” - demonstracyjne mruknięcia - „No nie!” - jęśliwe ofuknięcia - „Phi!” - z czaszek parujące drobinki lakierów, dłoń nerwowo poprawiająca konstrukcję loków niesfornych. - „Co za gorąc!” - wyswobodzające się z obcisłych pantofli zaparzone pięty, trące o nylon pończoch - „Ile można czekać!” - kopertówki wachlujące na-

brzmiewające czerwienią twarze - „Ile?!“ - skraplający się na twarzy pot, puder odkładający się w bruzdach zmarszczek skawalonymi grudkami - „No nie! Ostatni raz!“ - języki, wyskakujące niczym jaszczurki z jam, muśnięciem nerwowo oblizujące spierzchniętą skorupę uszminek wargach - „Trzy minuty! Zdzisiek, trzy minuty! Już!“-ażwkońcu, aż tak, aż już- upierścienione palce, opancerzone w bransolety nadgarstki, ufortyfikowane walami tłuszczu łokcie - wkraczają, chwytają, sąsiadkę, tę z przodu, tę przed nią - „Pani! Pani! Teraz moja kolej! Teraz! Co się pcha?! Co mnie depcze?! Hołota! Hołota! Wieś!“ - aż już gardło, aż już musi, aż samo się garnie, aż wytryska, aż echo niesie pod marmurowy strop - „Burdel, nie bankiet! Pierdolony burdel! Zdzisiek! Czego tak stoisz?! Zdzisiek! Czego nie mówisz, niemoto?! Do kurwy nędzy! Zdzisiek! Co z ciebie za chłop?!“ - i ona już-już, tuż-tuż, w furii, już wsadza spuchniętą piętę w tę szpilkę, już ma dość, lecz naraz - „Pani pozwoli, palto?“ Jest. Uff.

I ona pozwoli, ona już daje, piętę wsadzoną na powrót ma, zaś Zdzisław uśmiecha się. I naraz ona widzi błysk - „Pani pozwoli, można?“ - i ona już nie pamięta, co było, nie ma znaczenia, pozują, młody fotoreporter o obnażonym pośladku (ależ awangardowo! ależ ta młodzież ma dziś luz!) wpółkucnięty, wpółwygięty, w półprzysiadzie z aparatem wpółobjęty strzela, pstryka, klika (ach, ciekawe, w której rubryce! A może nawet

nie w jednej, ale w dwóch, ach!) i mówi, że pięknie, że dobrze, i ona we foyer bankietu rozkwita i naraz ten fotoreporter podchodzi i chrząka, i pyta: „Hm, pani, hm, w charakterze, hm?” I ona nie wie, unosi wydepilowane, osmolone henną luki brwi i rzecze - „Bynajmniej, w czym rzecz?” i on jej na to - „W sensie, w jakiej pozostaje pani relacji względem pana Chrabąszcza Zdzisława? Bo pana Chrabąszcza już po wielokroć robiłem, w sensie, że mam w bazie, wie pani, do podpisu pod foto, to kardynalna bynajmniej rzecz”. I ona perłście śmiechem bulgocze, w jakiej relacji? Młodzieniec zuch! Dbały o szczegół, dbały o detal, aby nie pałać głupstwa, nie zrobić błędu! Wszak wszyscy dziś wiedzą, jakie to androny gazety potrafią napisać, nie pytając u źródeł, u bohaterów tych rubryk! I wielce udobruchana, i wielce rozbawiona, ona wykwintnie odchrząka: „Chrabąszczowa. Żona”. Zdzisław jest odwrócony, sięga po kieliszek, w pąsach zaczerwieniony po kraniec łysiny na czubku głowy, lecz ona tego nie widzi. „Zdziś? Idziemy na salony?” ona pyta w szampańskim nastroju. Ach, światowy bal, światowy bal! Chwyta Zdzisia pod ramię i skinieniem głowy pozdrawiając mniej znamienite osoby, mijają ich we foyer, nie marnując słowa, zachowują i struny gardłowe, i myśli, i dowcipu perły dla ludzi ze sfer jednak wyższych, ci ludzie są pewnie gdzieś w głębi, ukryci przed byle kim. On nonszalancko wrzuca wizytówkę do szklanej kuli, odstawia pusty kieliszek, sięga po

drugi, okiem sunie po nagim, opalonym udzie dziewczyny z tacą, zatrzymuje się na jej obciskach majtkach od bikini, oko grzęźnie we wpinającym się w ciało majtek kroku, lecz ona już krzyczy: „Krystyna!” i ciągnie go w stronę znajomych, dziewczyna i krok znikają w tłumie. Lepka maź obkleja mu policzek, to Krystyna wpija mu się wyszminekowanymi wargami w skórę, „A gdzie Roman?!” wykrzykuje ona, bo Krystyna stoi sama. „Pozuje! Pozuje!” Krystyna wskazuje w kąt, tam Roman w surducie na tle pięknego fotosu: dezodorant, tampon i szampon rozharcowane brykają wśród polnej koniczyny. „Nowa reklama? Idealnie trafiona! W sam raz dobrana!” wykrzykuje ona, a Krystyna chyba się uśmiecha, bo koniuszki ust delikatnie drgają ku górze, co trudno jednak stwierdzić w jej twarzy napiętej strukturze. „Roman! Wszystko to Roman!” krzyczy Krystyna, uśmiechem i botoksem rozpromieniona, „Pogonił tych kmiotów z agencji, oberwańców! Reklamiarzy od siedmiu boleści! I sam wymyślił! Sam! On to wszystko!” „Fiu-fiu, bziu-bziu, zuch Roman” - ciumkają Chrabąszcze. „Do baru! Pić! Jeść!” - ordynuje Krystyna. - „Bo po co niby żeśmy tu przyszli, he he!” - kuksańcem oberwańcem i puszczonego okiem Krystyna robi wyrwę w nazbyt im już doskwierającej bankietu konwencji. „Cium, plum, ach tak, ach pić, ach jeść”. - Chrabąszcze zgadzają się we wszystkim. Wszak Krystyna to jest ktoś. Roman to zarząd, nie byle kto. A ona - Romanowa, wszak też już coś. Lecz przy barze

- tłum. Gwarno, parno, duszno, smrodno. Tu surducik z plamką tłustą, tu tiszercik z sękiem potu plam, tu oprószyl kołnierzyk łupieżyk - a fe! a fe! - tu aktoreczka w sukieneczce od Macieja - od Macieja? Czy tak? Bo chyba nie Gosi to styl? Więc jak? - lecz sukieneczka na aktoreczce w zwojach jedwabiu odłożyła niemytych pach woń - a fe! a fe! - tu pończoszka, półnylon, półjedwab, przez pończoszkę ostre główki czarnych włosów wojowniczo wyswobadzają się - oj! oj! - tu sandałek na szpileczce, co z tego, że zima, sandałek ponadczasowy jest - spod sandałka, nieobcięty paznokiecik puszcza oko lila plamą po lakierze, po wakacjach - oj! oj! - tu chłopczyk, nie chłopczyk, zaczesany, wychuchany, szczupłutki, malutki, dupkokrętny, łatwo skrętny, wypięty, ponętny, śliczny jest - tu panienka, nie panienka, w skórach, w pasach, niezaczepna, z grymasem, z pretensją, z okiem pulsującym „spierdalaj” sentencją, wkurwiona na świat jest. Chuchają, cmokają, siorbią, mlaskają. - „Uff, jak gorąco!” - dłonie nerwowo po szkło sięgają, zęby o ścianki ze świstem uderzają. - „Barman! Więcej wódki dla pani w tym z dupy koktajlu! To dama jest! Dla mnie czysta!” I naraż, gdzieś w gwarze rozbrzmiewa słodkie: „Kochani, to wy?” - kochani spozierają, awanturę sprzed tygodnia sobie przypominają. - No tak, padły słowa na eh i na s - lecz to nic, to nic - „Kochany, to ty?” - i już, w pół objęci, ciumkaniem zajęci, wyściskani, na wcześniejsze słowa impregnowani, i już błysk! I jest flesz!

I oni pozują, w rubryce się ukazują, przyjaciele od lat, ach, ach!

- Zaraz zwymiotuję - znajomy głos wybił Majkę z samotnej zadumy nad kolejną opróżnianą szklanką.

- Hej - odwróciła się od baru. Dominik był w śnieżnobiałej koszuli i czarnych spodniach ze skóry. - Jesteś sam?

- Już nie. Z tobą - upił łyk ze swojego kieliszka.

Bez żony. Uf.

- Nie wiedziałam, że tampony reklamują się w „Fun&Fuck”. - Majka błogosławiła pod niebiosa wizytę u kosmetyczki. Obliczoną na jego żonę, wiadomo, kobieta zauważy każdy pryszcz. On zauważy, że ona uśmiecha się.

- Prezerwatywy. Ten sam koncern. Widzisz tego obciachowego gościa? - Dominik wskazał na Romana, kraśniejącego wraz z tamponem i szamponem w polnej koniczynie. - Wiceprezes. Czeka mnie jeszcze dzisiaj wladidupstwo, bo ostatnio wycofali reklamę. Dostałem wytyczne od Hansa*, weekend w Laponii W przyszłym tygodniu go zaproszą, ja dzisiaj szykuję grunt.

- To się opłaca? Przecież to kupa kasy, taki wyjazd.

- Jedna czwarta miesięcznego budżetu kondomów u nas. A oni wykupują na co najmniej pół roku. Jeszcze jakieś pytania?

- Tylko takie, którego nie mogę ci zadać - Majka dwuznacznie się uśmiechnęła.

- Lubię cię. Bardzo - Dominik, niby od niechcienia, musnął palcem jej biodro.

- Pan prezes skończył figle na łące. Możesz już iść chwycić koniczynkę za listek - skinęła głową w stronę posteru, przy którym przestrzeń pustoszała - fotoreporterzy rozchodzili się.

- Idę. Znajdę cię za godzinę.
- Miłego wazeliniarstwa - parsknęła.
- Wolałbym... a zresztą, nic.

Przerzedzone podmuchami powietrza, ciężkie od wilgoci czapy ostatniego w tym roku śniegu przysadziście mościły się na koronach buków, dębów i sosen, niczym sklezione śliną kołtuny cukrowej waty. Majka delikatnie przyciskała gaz hondy i sunąc wąską ulicą z prędkością ślimaka, pochylona jedną ręką trzymała kierownicę, a drugą rozpostarty przed nosem wydruk z Google Earth z trasą „Warsaw-Podkowa Leśna”. Bzyk Mac od dwóch tygodni zapraszał ją do siebie. Na film i kawę. Ponoć ma super kino domowe. Zgodziła się, pełna obaw. Jego adres zostawiła trzem koleżankom, niepowiązanym z Agnieszką, a nawet Skype'em posłała Toli. Wcześniej zadzwoniła do urzędu gminy i podając się za kuriera - w którym to celu wyszła nawet na ulicę, aby wiatr dał w słuchawkę zagubionego rowerzysty

- sprawdziła zgodność danych. Aby zabezpieczyć się maksymalnie, zjedna z koleżanek ustaliły szyfr: w ciągu dwudziestu czterech godzin musi wysłać esemes ze słowem „pompon” w treści. Wiadomość „U mnie wszystko dobrze” może przecież podyktować jej on, jeśli okaże się psychopatą rodem z *Milczenia Owiec*, więzącym ją w lochu pod fundamentem. A „pompona” nie wymyśli. Majka obawiała się znajomości z sieci. Pomimo rekomendacji, skądinąd mimowolnej, bo przecież nie do tego etapu miała zabnąć ta historia - Agnieszki.

I tak, wbrew początkowym niewinnym zamiarom, teraz oto jechała, z przekrzywioną na głowie czarną skórzaną pilotką oraz z lewym policzkiem przyklejonym do zimnej szyby samochodu, przez spowitą sennością sobotniego popołudnia Podkowę Leśną. Mijała kolejne oszronione śniegiem drewniane płoty i spadziste dachy domów. Raz po raz, pocierała różową zamszową rękawiczką o szybę zasnuwaną przez parę. Poprzez nieregularnie wymazanego na niej judasza śledziła numery na tabliczkach przy bramach. Zahamowała z piskiem, ledwie spostrzegłszy numer 7 wymalowany flamastrem na przyczepionym do siatki kartonie. Wcisnęła wsteczny, zawróciła kilkanaście metrów. Wysiadła przed przerdzewiałym ogrodzeniem, zza którego wyłaniał się ukryty w topniejących zaspach śniegu chaotyczny, nieplewiony ogród. Pośrodku wznosił się kryty płaskim dachem, trzykondygnacyjny budynek z suro-

wej cegły, której spoiwa wypełniała czarna fuga. Rozwidniające go duże okna okalały szerokie listwy z ciemnego drewna.

Majka zatrąbiła. Raz, drugi, trzeci. W wykuszu uniósł się okrągły lufcik. Zza niego wyjrzała potargana głowa Bzyk Maca.

- Chodź chodź! - wychylił się przez okno po pas i przywoławczo machał dłonią.

- Mam kosz! Złazł! - odmachnęła równie entuzjastycznie.

- Dobra, już dobra!

Zlazł. W przydeptanych białych konwersach na gołe stopy, wiszących do pół pośladka džinsach oraz w czarnej bluzie. Obiema dłońmi ujął od dołu jej podbródek, niczym spragniony ujmujący kielich w jakiejś antycznej scenie filmowej, i pocałował w usta. Przechwycił kosz ze sterczącą z niego szyjką butelki rioja, wylewającymi się obleczonymi folią językami szynki parmeńskiej, sterczącymi kantami ćwiartki camamberta oraz zarumienioną krągłością bagietki.

- Super. Nie wiedziałem, że robimy piknik - zwinnie przeskoczył przez ośnieżone chwasty swojego ogrodu w stylu mocno angielskim. Pociągnął za masywne, stalowe drzwi wejściowe.

- A co, upichciłeś kolację? Możemy ten koszyk zostawić w samochodzie. Jest zimno, to się nie zepsuje.

- Nie nie, weźmy.

Bzyk Mac ledwo wszedł do domu, a już zniknął za jakimś rogiem. Jednym z wielu rogów. Majka przystanęła i starała się ogarnąć spojrzeniem otaczającą ją przestrzeń. Vis-a-vis wejścia rozpościerała się panorama na ogród na tyłach domu. Ścianę, wysoką na pięć metrów, stanowiły szklane kwadraty, szatkujące strukturę gigantycznej szyby, niczym bezbarwny witraż. Za nimi, malowały się podobne do gigantycznych polnych dmuchawców, uczapione śniegiem korony drzew. Podświetlała je ogrodowa latarnia. Grube, witrażowe szkło migotliwie odbijało i rozmazywało ten pejzaż, sprawiając wrażenie baśniowych przeźroczy. Posadzka wykładana była szarymi, kamiennymi kaflami. Ściany aż raziły oczy bielą gładzi gipsowej. Wnętrze salonu, bo na parterze znajdował się tylko ten jeden pokój, urządzone, a raczej nieurządzone było najpotrzebniejszymi sprzętami. W jednym z narożników stała profesjonalna bieżnia, w drugim - rowerek fitness, w trzecim - wielofunkcyjne urządzenie gimnastyczne. I tyle akurat mieściło się na tych - jak oceniła Majka - osiemdziesięciu metrach. Siłownia z widokiem na bajkę. Chwilę zajęło, nim namierzyła w tej pustce ukryte za filarem drzwi prowadzące na klatkę schodową. Wdrapała się po wysokich, krętych stopniach, stanęła przed kolejnymi drzwiami. Lekko je uchyliła, wsadziła głowę przez szczelinę. Nie zdziwiłby jej za nimi widok Gargamela

nad kociołkiem z główkami leśnych ludków, schwytych w chaszczach ogrodu.

- Hop hop, jesteś tu?! - teatralnie krzyknęła przez złożone w trąbkę dłonie.

- No chodź! - Bzyk Mac zabrzmiał całkiem zwyczajnie, jak na tę magiczną atmosferę. - Do kuchni!

Pewniejszym już ruchem popchnęła drzwi. Zza nich wyłonił się katalog Ikei. Tegoroczne propozycje skandynawskiego wzornictwa przeniosły się prosto z ekspozycji w Jankach na pierwsze piętro warownej twierdzy Bzyk Maca. Metalowy kosz na parasole, plastikowe półki na buty i książki, jasny drewniany wieszak do okryć wierzchnich, cieliste papierowe kule lamp sufitowych oraz stalowe stelaże lampek biurowych i wiele, wiele innych. Włącznie z oszczędnymi dekoracjami ściennymi - samotnie wiszącym plakatem, przedstawiającym czarno-białe odbicie ksero puszki zupy Campbell Andy'ego Warhola. Na sosnowym parkiecie porozstawiane były świeczki pachnące pieprzem i wanilią.

Minęła sypialnię. Pusty pokój, z olbrzymim łóżkiem pośrodku, podświetlonym świeczkami (ktoś tu sobie robił nadzieję pewną). Weszła do kuchni. W oprawie stalowych zmywarek, kuchenek mikrofalowych, lodówek, okapów, ekspresów do kawy - słowem: stalowego katalogu Ikei - Bzyk Mac wlewał właśnie parujący wrzątek ze stalowego, elektrycznego czajnika do stalowych kubków, po czym stalowym nożem jął kroić ser pleśniowy.

Produkty spożywcze swoimi kolorami gwałciły to żywe płótno. Sen pijanego minimalisty w końcowej fazie depresji. A może i nawet już po samobójstwie.

- Monochromatycznie tu, tak przejrzysto - Majka uznała, że to neutralne zdanie można odebrać jako pochwałę.

- Tak tak, nie mam do tego głowy - Bzyk Mac wpakowywał sobie właśnie prosto do ust zrolowany płacht szynki.

- Ej, ja też chcę zjeść! - Majka sięgnęła po kubek i odwirowywała witką torebkę zaparzonej herbaty.

- Robię robuję - Bzyk Mac przeżuł szynkę i chwycił za bułkę.

-Jesz, jesz, raczej.

- Przekąszam tylko. Wiesz co, idź na górę i wybierz film, a ja tu wszystko pięknie naszykuję i zaraz przyjdę, dobra?

- Dobra. Ale ma być pięknie. Idę sobie daleko. Do drugiego pokoju - udając naburmuszenie i focha, Majka zostawiła Bzyk Maca pochłoniętego pracą kucharską.

Na górę, czyli gdzie, zastanawiała się chwilę potem, stojąc w przestronnym holu, otoczonym wejściami bez drzwi do czterech wielkich pokoi. Gniazdko Gargame-la nie miało najwidoczniej przestrzeni poniżej trzydziestu metrów. Zajrzała za filar - są drzwi! I.. kolejna klatka schodowa? Przytulny zameczek pomieściłby kolonistów na zimowisku, tymczasem hasał po nim sa-

motny Bzyk Mac. I jego internetowe fantomy, które chyba nie zajmują dużo miejsca w realu. Przemierzywszy następne kręte, wysokie i bielone wapnem stopnie Majka doszła na drugie piętro. Tym razem za drzwiami powitała ją sala Platinum w Silver Screen na Mokotowie. Pięćdziesięciometrowy salon zaadaptowany był na kino domowe - Majka dopiero teraz zrozumiała ten termin. Pośrodku, stała groźna maszyna rodem z *Gwiezdnych Wojen*. Projektor, odtwarzacz, wzmacniacz, subwoofer. Frontalną ścianę zajmował ekran. Narożniki wypełniały smukłe kolumny, w mniejszym wariacie rozmieszczone także w rogach, pod sufitem. Całość połączona była ze sobą pajęczyną kabli. W tyle sali projekcyjnej stała czerwona, skórzana kanapa. Obok niej walał się stos płyt DVD w nieładzie.

- I co oglądamy? - Bzyk Mac stał przed nią na boku, na podłodze rozstawił półmisek serów, porwaną na kawałki bułkę, miseczkę oliwek i... cztery butelki wina. Niegłupio. Po co latać na dół co chwilę.

- *Braveheart*, a potem *Fitzcarraldo* Herzoga.

-Bo?

- Bo na tym twoim wypasionym sprzęcie ślicznie będą wyglądały gołe tyłki Szkotów na polu bitewnym. Oraz równie ślicznie będzie słycać operę w scenie spływu rzeką. Jakies kontrargumenty?

- Żadnych. Pani dzisiaj rządzi.

- Niesamowite masz to, no, to wszystko - Majka potoczyła wzrokiem po sprzętach.

- Mam świra trochę. Zdałem sobie sprawę, że to chyba choroba, kiedy zadzwonił do mnie zaprzyjaźniony diler i powiedział, że ma rewelacyjną okazję: kable za dwadzieścia pięć tysięcy, a ja byłem skłonny uwierzyć.

- Ale nie kupiłeś oczywiście?

- Oczywiście kupiłem. Ta refleksja naszła mnie dzień potem. Skasowałem numer dilera. Jak heroini-sta na odwyku.

- Poproszę wina - Majka nie skomentowała tego szaleństwa. Ba, wydało jej się ono nawet rojujące. Gdyby tak, załóżmy teoretycznie, związać się z Bzyk Makiem. Skoro on wydaje takie sumy - dwadzieścia pięć tysięcy! - na kabelek, to przecież nie drgnęłaby mu powieka, gdyby go tak poprosić na urodziny, imieniny, walentynki, dzień dziecka czy z innej okazji o szpileczki za dwa tysiące...

- Wiesz, to na pewno dużo pieniędzy, ale jednak super, że masz pasję. Takie sprawy nie mają swojej ceny.

- Tak? - spojrzał na nią pytająco. - Fajnie, że tak uważasz.

- No pewnie, liczy się pasja. Co tam kasa. - Majka wgrzyzła się w kawałek pleśniaka. Zachwyciły ją malownicze perspektywy na przyszłość.

Podczas seansu, jakość obrazu oraz dźwięku była perfekcyjna. Podobnie, jak jakość ruchów jego języka na jej języku.

Twardo. Zimno. Cicho. Biało. Sucho.

Przekrwione oko z trudem unosi do góry ołowianą powiekę. Ciało, złożone niemocą, odmawia mózgowi jakiegokolwiek ruchu. Wysuszone, spękane wargi bezgłośnie i łapczywie próbują nabrać łyk wody, której brak im w powietrzu. Człowiek na kacu jest jak karp, wyłowiony z akwarium w Leclercu.

Kiedy w końcu Majka otworzyła oczy, wpadła w histerię. Leżała na materacu, przykryta szarym śpiworem, pośrodku pustego pokoju. Nie miała pojęcia, co to za pokój. I co ona w nim robi?! Ujęcie po ujęciu, zaczęła powoli przewijać film z poprzedniej nocy. Fabuła rwała się na czwartej butelce, ale to nie był koniec tej historii. Ciąg dalszy ginął w odmętach nocy i procentów.

Uniosła się na łokciu. Zabolał. Podwinęła rękaw bluzki. Był obtarty. W tym momencie zdała sobie sprawę, że boli ją także kolano, pośladek, biodro, udo oraz plecy. W zasadzie bolało ją wszystko. Porwane klatki taśmy filmowej zatrzymały się teraz w spowolnionym, zacinającym się projektorze na ujęciu: upadek. Tak, w drodze po piątą butelkę razem spierniczyli się ze schodów. Wówczas wydało im się to bardzo śmieszne. Majka oparła głowę o ścianę. Mózg był o krok od eksplozji na miliard odłamków. Coś ją ukuło. Sięgnęła dłonią i wyjęła z kucyka gałąź. Jedna komórka mózgowia, niedzielną

stachanowiec samotnie pracujący tego rana za wszystkich niedysponowanych kolegów, kazała jej sądzić, że należy powiązać tę gałąź z odczuwanym chłodem stopy. Tak, tarzali się w śniegu w ogrodzie. Wówczas było im całkiem ciepło. No i, owszem tak, nie unikniemy tej sceny w opowieści, rozpalona winem i wyobraźnią Majka buńczucznie nawyzywała Bzyk Maca od gwałciciela - Gargamela. Jak również założyła się z nim, że jest dziewicą. Rozstrzygnięcie zakładu miało pozostać nieodgadnione, ponieważ odmówiła powrotu do domu. I nawet trochę zdrzemnęła się w śniegu, na dowód powagi deklaracji. Drogi z ogrodu do pokoju natomiast nie mogła już odtworzyć w swoim filmie.

Spojrzała na zegarek - dwunasta... Bazyli!!!

Bzyk Mac spał jeszcze. W ubraniu, zwalony jak kłoda pośrodku łóżka w sypialni. W butach oraz bez okrycia. Obok, z niczym niezmaconym spokojem, na podłodze spał też serdeczny kolega laptop.

- Hej, wychodzę - przywrócona do żywych zimnym prysznicem, miętową pastą do zębów oraz litrem coca-coli Majka pochylała się nad nim i lekko potrząsała jego ramieniem.

- Cio cio, gdzie gdzie - z wgłębienia poduszki dobył się bełkot niemowlaka, który po sekundzie zachrapał w najlepsze.

Majka poszła do kuchni, wróciła. Obok łóżka położyła serwetkę z wiadomością:

„Boleśnie miły wieczór. Dzięki za gościnę. Jadę. Odezwiij się, jak odżyjesz. M. PS Zużyty ręcznik położyłam na podłodze w łazience”.

Przycisnęła ją do podłogi butelką zmrożonej coca-coli.

I pocałowała go w szyję. Niewiele cieplejszą.

- Chyba zostanę. Przynajmniej na dwa lata, trzy - Tola przywiozła z Londynu angielskie oszczędności, senegalskie wspomnienie rajy oraz kosmopolityczny look. Niczym rasowa Brytyjka, wyspiarka odporna na chłodne fronty atmosferyczne, na zmrożoną marcem słowiańską ziemię zstąpiła stopą obutą w płócienny trampek lila. Znad niego rolowała się na Tolowej łydce pomarańczowa nadkolanówka, naciągnięta na rurkowate dzinsy. Punkowy, wysadzany ćwiekami skórzany pas przytrzymywał je przed ostatecznym zsunieniem pod pupę. Na postrzępiony, szary t-shirt zarzuconą miała różową płócienną kurtkę - logiczne uzupełnienie trampka, namiastka klasyki i korespondencji kolorystycznej w tej mozaice. Pół twarzy chowała za chustką arafatką. Kreacja w sam raz na plus cztery stopnie Celsjusza in Łorsoł.

- Szałowe ciuchy, Tolek - Majka bawiła się czarnym golfem, zsuwając go z brody. Nogę w równie czarnych

sztruksach opierała o kanapę, obita bordowym skajem. Drugą stopą w czarnym oficerku, bujała drewniane krzesło na szarej, kamiennej posadzce. W sobotę rano Lokalna była jeszcze pusta. - Człowiek się jak wieśniak przy tobie czuje.

- Majek: Covent Garden, Soho - Tola wskazała na swoją górę i dół, dzieląc je niczym mapę Londynu. - GAP, Armani, second hand, Ali Saints - teraz ometkowywała kolejne części stroju. - Majek, wielki świat. Ale kiedyś małeńka otrzaskasz się i ty.

Roześmiały się obie.

- I po cholere chcesz tam zostać? - Majka spojrzała przez szybę na rozmazaną w bladej mgle poranka mokotowską uliczkę. - Kiedy u nas tak pięknie szaroburo, swojsko. Śnieg pada poziomo, psy dupami szczekają. Nie tęsknisz?

- Trochę tęsknię za taką, jak by to ująć... polską duszy rozpięduchą. Ale nie za tym, żeby się zarzynać i mieć dobrą rozplanowaną co do dziesięciu minut. Wiesz, że ja się nawet nie spodziewałam, że pensja tyle dla mnie znaczy? I tu nie chodzi o to, że przyjechałam zmienić samochód i właśnie za - Tola spojrzała na zegarek - godzinę, dwie wyjedziemy z salonu pachnącym mini. Nie zapierdalam. Stać mnie na spokój. Szef kliniki pozwala mi robić rzeczy, na które tutaj czekałabym piętnaście lat! Gdybym wróciła, przesiadłabym się z ferrari do malucha. Nie chcę.

- Nie namawiam. Żartuję. A ludzie?
- A ludzi brak. Tak, czasem kiepsko się siedzi samej wieczorem.
- Samej? Papa Africa wrócić na Czarny Ląd czy porzucić zła biała kobieta?
- James!
- James Papa Africa?
- Majek, jaki z ciebie jest jednak kołek. Więc... daliśmy sobie czas z Jamesem.
- Piękny eufemizm, rozumiem. Skucha?
- Totalna. Tydzień temu. Przyłapałam go w laboratorium na nocnym dyżurze. Bzykał koreańską pielęgniarkę.
- Ale używaliście gumek?
- Tak, i całe szczęście, jak tak teraz o tym myślę. Dupa blada, nie najlepiej się z tym czuję.
- Tolek, nie narzekaj. Siedzisz se w Londynie i masz tak, jakbyś pojechała na safari i ustrzeliła bizona. Po drodze kształcą!

Mini był czekoladowy. Majka z Tolą od kwadransa nie mogły ruszyć się spod furtki, przy której go zaparkowały.

- Śliczny - Tola pieszczotliwie przesunęła wymaniukiowaną dłoń po lśniącej karoserii, której nie zdążyły jeszcze przydyścić warszawskie wyziewy.

- No. Że tak się błyskotliwie wypowiem — Majka stała obok. - A jak się to coś nazywa? - wskazała na felgi kół.

- Koła?

- Nie, jest jakaś specjalna nazwa. No w każdym razie fajnie, że tak się błyszczą.

- No, super. A zobacz jaka ładniutka wycieraczka, taki ma tu malutki wichajsterek. - Tola z czułością podniosła tylną wycieraczkę.

- A to jaki fikuśny frędzelek - Majka przejechała palcem po spoilerze. - Taki malutki siusiaczek z tyłu.

- Skrzydelko, moim zdaniem. Podoba mi się też ta jego ogólna muskulatura, aerodynamiczna linia - Tola gładziła przetłoczenia karoserii i starała się brzmieć fachowo. - Mój miniaczek mięśniaczek.

- Ale najfajniejsze to są chyba jednak obicia - Majka przysunęła głowę do szyby i podziwiała tapicerkę. - Piękny ten fiolet. Prawie purpura. I te kremowe dywaniki... W zasadzie bardziej budyń, niż krem.

- A nie wanilia? - Tola się zaniepokoiła.

- Jaka wanilia? Budyń, mówię ci.

- Nie widziałam jeszcze nigdy takich pasów.

- Ja też nie. Oranz.

- Coś ty! - Tola srodze ją zgromiła. - Pomarańcz.

Wpadający w lekki karmel.

-1 zajebisty ten drewniany przód, jakie to jest słowo?

- No, normalne: deska z przodu samochodu. Orzech.

- Jasny orzech. Śliczny miniaczek. Idziemy?

- Pa pa, pani niedługo wraca - zinfantylniała od zachwytu Tola posłała buziaka swojemu nowemu samochodowi.

- Herbata malinowa, rumianek, mięta - Gosia w zamszowych dresach i pepegach czeszkach stała przy szafce i gwizdzącym już czajniku.

- Lej, kobieto, rumianek. Jak ma walić, to porządnie.

- Majka siedziała na pufie przy szybie balkonowej i patrzyła na dachy przedwojennych kamienic Saskiej Kępy. Pastelowe już teraz mieszkanie Mefista przeszło gruntowny lifting. Podobnie jak i miłość. Gosia była w czwartym tygodniu ciąży.

- Ładnie tu u was teraz. Tak bardziej domowo. -Tola leżała na podłodze na plecach, pomarańczowe stopy opierała o poręcz wyściełanego butelkowym aksamitem fotela.

- Tym razem to ja urządziłam - Gosia podała im dymiące kubki. - Rozgardiasz wyszedł nam w sumie na dobre. Szukamy teraz ziemi pod miastem. Nie będziemy się tu przecież z dzieckiem gnieździć.

- Gnieździć? Gosik, to jest przecież sto metrów - Majka od chwili przyglądała się parce popielatych gołębi, gardłujących w zalotach na gzymisie przy oknie.

- No, na początek starczy. Ale chyba oboje już dojrzeliśmy, żeby uciec od zgiełku. Mefi uspokoił się bardzo, już tak nie imprezuje z chłopakami. Niedługo też zacznie się budowa stadionu na Euro. Zdeprawują nam okolicę. Trzeba uciekać, dziewczęta.

- Tolek już przecież związał, całkiem skutecznie. A ja sama pod lasem za piecem nie osiądę. - Majka upiła łyk rumianku.

- Halo, halo, ponoć ładne grunty w Podkowie Leśnej? - Tola aż podniosła się z parkietu, aby zabrzmieć dobitniej. - Żyzne tereny, urodzajny czarnoziem, pastwiska pod wypas. Bydło dorodne.

- I rogate - Majka weszła jej w słowo. - Nie ma tematu. Nic jeszcze nie było.

- Ale będzie? - Tola wołała mieć jasność imponderabiliów.

- Mejbi. O, słońce zza chmur wyszło. Gosia, a co ze ślubem?

- Przekładamy. Najpierw niech ciąża będzie już zaawansowana, niezagrożona. Pewnie za pół roku weźmiemy.

- Tylko daj znać wcześniej. Muszę ustalić grafik dyżurów, żeby przylecieć.

- A do kiedy jesteś w Warszawie?

- Do jutra. Tak tylko wpadłam.

Domową ekspozycję Ikei tym razem podświetlała cała armia świeczek, której szturmujący batalion przy-
czaił się w sypialni. W tle sączył się pościelowy głos
Carli Bruni. Pachniało pomarańczami i wanilią. Garga-
mel na włościach uwijał się przy garach w kuchni. Piekł
rybę a la sernik.

- Zjemy w łóżku? - wychylił rozczochną głowę
kucharza artysty.

Majka przeglądała płyty.

- Chamie, a gdzie mnie, kurna, krztyna romanty-
zmu? Ściągaj nachy, giry na pagony i jedziemy z tym
koksem?! - na wszelki wypadek Majka podeszła i się
przytuliła. Aby pojął, że to żart, a nie obraza i ujma.

Nie pomogło. Bzyk Mac zamarł w drzwiach. Przy-
dymiała go para z półmiska, który trzymał przed sobą w
nieruchomych teraz rękach.

- Ej, żartowałam...

- Aha. To uprzedź następnym razem, moje ty kosza-
rowe słoneczko - zniknął z powrotem w kuchennych
czeluściach, by doglądać rybo-sernika.

- Koszarowe słoneczko? A co ty taki delikatny chłop-
czyk? - Majka klepnęła go w pośladek.

- Skarbeńko - Bzyk Mac popadał w irytację. - Od-
pocznij sobie w sypialni. Zaraz przyjdę z talerzami.
Obejrzymy sobie film na macu tym razem.

- Zapomniałam, że jest nas troje - Majka wyszła z kuchni.

- Ale fajnie byłoby się pokochać - Bzyk Mac, nasycony aromatem wanilii, leżał na Majce. Byli w ubraniach i tarmosili się nieco. Jak to po wspólnym posiłku. Trzeci kolega mac, porzucony w nogach łóżka, ze smutku nakrył się kołdrą.

- Nie dzisiaj - Majka miała ogromną ochotę, aby było to dziś właśnie. Może już? Przewróciła się na niego, teraz to ona była na górze - po piątej? szóstej randce? No i wspólnym, pijackim noclegu dwóch, pardon, trzech kumpli. Nie, jeszcze niech go przyciśnie.

- Pyszna kolacja. Dziękuję - wyrwała mu się i wstała z łóżka. Naciągnęła podwinięta bluzkę.

- Ale co ty robisz? - Bzyk Mac zsiadł się, jak nie-pyszny.

- Jadę. Dziękuję też za to, że odprowadzisz mnie teraz do samochodu.

Godzinę potem, rozmarzona brała prysznic. U siebie w mieszkaniu.

Po północy dostała esemes: „Śpij dobrze. Brakuje mi tu Ciebie”.

Majka się uśmiechnęła. Usiadła przy biurku. Włączyła komputer. Sięgnęła po komórkę. Sprawdziła. Go-

dżina zero siedemnaście. Jedna minuta. Zdążył. Tą samą ręką? Skurwiel.

Otulone kruchym kokonem zmarzliny, przygniłe źdźbła traw i skostniałe gałęzie ugiwały się w chrzęście pod butami. Wątle o tej porze roku słońce rzucało pajęcze, rozedrgane promienie, które w niemocy zawisały pomiędzy rozpostartymi koronami drzew. Powietrze pachniało przebrzmiałym chłodem odchodzącej zimy.

Majka i Bzyk Mac spacerowali po lesie. Przyjechała do niego na weekend.

- Za tydzień jadę do syna - Bzyk Mac przystanął, nogę oparł o zbutwiały konar.

- Często go odwiedzasz?

- Dostyc. Raz na miesiąc, na dwa miesiące.

- Jeśli mogę spytać, to czy twoja była żona...

- ... tak, ma męża. Mieszkają razem w Berlinie.

- To skoro już rozmawiamy - Majka wzięła go za dłoń i bawiła się jego palcami.

- Tak? - Bzyk Mac nastroszył się w niepokoju.

- To był przypadek. Tak weszłam, zobaczyć, czy jesteś tam nadal. Wtedy, tydzień temu.

- No? - Bzyk Mac defensywnie odstąpił krok do tyłu, niczym spłoszona leśna zwierzyna.

- Na portalu. I... W tej samej minucie wysłałeś do mnie esemes i się zalogowałeś. Musiałeś obie te rzeczy robić naraz. Dziwnie się poczułam.

- Dlaczego? - lęk brzydko wykoślawił rysy jego twarzy.

- Jak to? Spotykamy się, a ty nadal szukasz bab na portalu randkowym.

- Nie szukam! Mam tam starych znajomych! - Bzyk Mac zaatakował.

- Koledzy z wojska?

Wykrzywił twarz w minie: Osaczony, Lecz Zachwycony, Że Taki Jest Nicpoń. Kobiety za taką minę najchętniej wieszalyby za jądra nad przepaścią z wygłodzonymi gejami.

- Pytam, czy mailujesz na portalu randkowym z kolegami z wojska? Czy założyłeś tam Koło Miłośników Podkowy Leśnej?

- Mam stare znajomości. Nie czuję potrzeby, żeby zrezygnować ze swoich nawyków, które w żaden sposób cię nie krzywdzą. Z nikim się nie umawiam.

- Przenieś te dawne znajomości do poczty mailowej, a profil skasuj. Dopóki go masz albo oszukujesz mnie, albo kobiety w sieci.

- Dlaczego chcesz mnie zmieniać?

- Chcę chronić siebie.

Reszta spaceru upłynęła im w milczeniu.

Syn się rozchorował, była żona odwołała wyjazd.

I właśnie dlatego w sobotę rano Majka wpatrywała się w pęk białych lewkonii, które dostała przed chwilą. Oraz bukietek fiołków, przysłany przez Bzyk Maca pocztą kwiatową dwie godziny temu.

Zapewniał, że przemyśli swoją postawę. Że od kiedy się widują, nie odpisuje na żadne nowe maile. Że nie spotyka się z nikim z sieci. Że coś czuje.

Majka zamknęła drzwi i zapukała do sąsiada. Jedynego, z którym była zakolegowana. Rówieśnika, geja.

- Odbiorę rano. To nie problem?

- Żaden, kochana. Uwielbiam twojego pieszczocha. Pójdziemy wieczorem pobiegać.

Bzyk Mac czekał przed bramą.

- Cieszę się - mocno przytulił Majkę na powitanie.
- Stęskniłem się za tobą.

Nie odpowiedziała, wtulona w jego ramiona.

Pościel obsypana była płatkami lawendy i róży. Okna przyciemnione zasłonami. W ustawionym na podłodze kubelku z lodem chłodził się szampan. Rozbrzmiewał koncert fortepianowy.

- Twoje zdrowie. I tego, że tu razem jesteśmy - Bzyk Mac wprawdzie podważył korek, który wyskoczył z bu telki z lekkim pyknięciem. - Mam też prezent.

Wyjął z szafki nocnej pudełko z kokardą i podał Majce.

- Dla ciebie. Na godziny, kiedy mnie przy tobie nie będzie.

- Zdjęcie? - Majka odwiązywała wstążkę.

- Prawie. Jak go nazwiesz?

Uniosła wieko, odgarnęła elegancki, czerpany papier. Pod nim, niczym niemowlę w kołysce, leżał pachnący nowością, srebrny wibrator.

- Podoba ci się? - Bzyk Mac spozierał z zachwytem na podarek dla ukochanej.

- Taki... surowy, ale ładny. - Majka nieobeznanyimi ruchami palców macała to industrialne cacko. - Oj! - włączyła guzik, a wibrator jął kreślić obręczę i szumieć. - Jaki bystry Joe.

- Bystry Joe to jego imię?

- No, chyba - wpatrywała się w wibrującą główkę.

- To teraz odłóżmy Bystrego Joe. Dziś nie będzie nam potrzebny. Niech sobie poleży obok maca. - Bzyk Mac schował go do puzderka, które postawił na podłodze przy laptopie.

Nie zdążyli dopić szampana. Rzucili się na siebie rozpierzając kwiecie, gdzie się tylko dało po pokoju. Sprężyny łóżka uginały się skrzypliwie pod ciężarem ich rzutów sumo.

Majka leżała na brzuchu, Bzyk Mac jedną ręką rozpinął jej stanik, drugą trzymał za włosy. Sięgnęła po

poduszkę, żeby podłożyć ją pod brzuch. Spod niej wysunęła się paczka prezerwatyw... king size? Ktoś ma tu o sobie niezłe mniemanie, pomyślała z rozbawieniem. Odwróciła się na plecy, zanurzyła dłoń w bokserkach. No, może i faktycznie.

Chwilę potem potężny król Kondom King Size dosiadł rumaka, po czym żwawo przypuścił szturm na ukryte na mokradłach pozycje wroga. Przeciwnik na widok króla na rumaku ogłupi i piał z zachwytu. Narodzisty rumak nacierał, lecz w końcu i on oklapł z krzepy. Sfatygowany, potoczył pianę z pyska i się wycofał. Natomiast król Kondom King Size po królewsku na mokradłach osiadł.

- Ej, a gdzie jest prezerwatywa? - Majka poczuła dziwną lepkość i wsunęła rękę, aby zbadać tę niespodziankę.

- Jak to? - Bzyk Mac odsunął prześcieradło: na wilgotnym od śluzu i spermy członku nie było prezerwatywy. Natomiast malowniczo przylgnął do niego płatek lawendy.

- O kurwa. Spadła? Pękła? - Majka wyskoczyła z pościeli. - Szukaj!

Równie zaniepokojony Bzyk Mac jął przetrzepywać pościel.

- Może jest pod łóżkiem? - Majka wpadała w panikę.

- Nie kochaliśmy się pod łóżkiem. Musi być w środku.

- Środka czego?
- Ciebie.
- Robiłeś test na HIV?
- O czym ty mówisz?
- O tym, że bzyknęliśmy się bez zabezpieczenia, bo prezerwatywa King Size sobie po królewsku zasiadła tam, gdzie jej wygodnie. Więc pytam, czy robiłeś test?
- Trzy lata temu, kiedy byłem w szpitalu.
- A od tego czasu spałeś z kimś bez prezerwatywy?
- Ze stałymi narzeczonymi.
- Iloma?
- Pięcioma.
- Zajebiście. Dodam przy tym, że nie biorę pigułek. Więc może kupisz w tej swojej Ikei też dziecięce łóžeczko.

- Hej! - Bzyk Mac naraz przemówił troskliwie. -Nie denerwuj się - podszedł i ją przytulił. Stali nadzy obok łóžka. - Idź sprawdź, a jeśli będziesz miała kłopot, to pojedziemy do lekarza.

Opatulona prześcieradłem Majka podreptała do łazienki. Po dwudziestu minutach przeskakiwania z nogi na nogę, król Kondom King Size opuścił mokradła i rurami kanalizacyjnymi odpłynął w nieznanym sobie kierunku.

Tej nocy, kochali się jeszcze dwa razy. W prezerwatywach normal.

Rano Bzyk Mac przyniósł do łóżka kawę i tosty. Poszli na spacer po okolicy. Niebo było błękitne, przejrzyste, powietrze rześkie. Na wieczór umówili się do kina i na kolację. Skoro ona spędziła u niego sobotnią noc, w niedzielę to on przyjedzie do miasta. Wycalowali się i wyciskali przed kilkugodzinnym rozstaniem.

Wczesnym popołudniem Majka wróciła do siebie. Bazyli leżał na kanapie, wykończony joggingiem.

Majka schowała Bystrego Joe głęboko do szuflady. Usiadła do komputera. Weszła na portal.

Profil: Gregor.

Godzina ostatniego logowania: pierwsza dwadzieścia cztery.

Kiedy zasypiała na nim, kątem oka dostrzegła cyfry wyświetlone na ekranie zegarka: pierwsza zero dziewięć. Kwadrans.

Sięgnęła po komórkę. Wycierając rękawem mokry policzek, wstukwała w klawiaturę telefonu:

„Zalogowałeś się. Chce mi się zwymiotować. Zależy mi na Tobie, ale jesteś uzależniony. Odezwij się, kiedy będziesz chciał to zmienić”.

Bzyk Mac nie zadzwonił nigdy więcej.

Rozdział siódmy, w którym szpakowaty Marceli ordynuje porządek

Wraz z wiosną nastały porządki.

- A sprawa jest taka, że dzisiaj przychodzą kaloryfery - pięciu dziarskich majstrów budowlanych stało w drzwiach Majki w kwietniowy wtorek o godzinie siódmej trzydzieści rano i przerażało ją swoim entuzjazmem. - Wymiana pionów, kaloryferów, instalacji gazowej - wyliczali radośnie. - Wpadniemy do pani jutro, tak około godziny siódmej pięć-siódmej dziesięć i zrobimy mały bałagan. Nic wielkiego. Trochę kucia, trochę prucia.

- Zaraz, panowie! - szlafrok i zaspane rozmęlanie stawiało Majkę w gorszej pozycji. - Moment. Żadne jutro, żadna siódma pięć-siódma dziesięć, żadnego kucia, żadnego prucia. Przychodźcie panowie tak z dnia na dzień, a ja jutro nie mogę. Panowie, umówmy się na środę za tydzień na godzinę szesnastą, co? - skonfron-

towana z ludźmi czynu Majka obudziła w sobie nagle zapal budowlanica. Proszę bardzo: bez babskich fochów, wymianę pionów popiera, proponuje majstrom konkretny termin.

Ale majstrowie zmarkotnieli. Fakt, nie pomyśleli, że z tym jutrem to może być jakiś problem. W okolicy sami emeryci, oni się cieszą, bo jak jest wymiana pionów, to się przynajmniej w życiu takiego emeryta coś dzieje.

- A czyja wyglądam na emeryta?

- No nie, ha, ha - majstrowie aż pokraśniali z figlarności. - No i co my teraz zrobimy - drapali się w swoje papierowe czapeczki majstrowie.

- A sprawa jest taka - przemówił po chwili szef majster - że dzisiaj przychodzą kaloryfery. I my musimy jutro zacząć. To co, będziemy u pani jutro, tak koło siódmej pięć - siódmej dziesiątej?

- Panowie, nie ma mowy.

- Bynajmniej musimy.

Należało na gwałt znaleźć wspólny grunt, płaszczyzną, na której szłoby się z majstrami porozumieć, za skarbić sobie ich przychylność. Może wspólnota ludzi pracy? Majka szanuje ciężką pracę majstrów, niechże i majstrowie uszanują pracę Majki.

- Panowie! Bez jaj! - zaczęła i ugryzła się w język. Ryzykowna figura retoryczna. - Macie swoją robotę. Ciężką robotę. Macie swoje terminy. Ścisłe terminy.

I ja to rozumiem. Ale ja też mam swoją robotę. I swoje terminy. Więc i wy mnie zrozumcie. Nie mogę wszystkiego rzucić tylko dlatego, że dzisiaj przychodzą kaloryfery. Niemniej jednak z kaloryferów bardzo się cieszę oczywiście.

Majstrowie sposepniali. Fakt, robota to robota.

- Mam pomysł! - rozpromienił się nagle szef majster. - Pani da klucze dozorczyńi, ona tu z nami jutro posiedzi, a pani pójdzie do roboty.

- Nie jest to dobry pomysł niestety, bo ja mam robotę w domu. Ja piszę. Jutro muszę siedzieć w domu i pisać. Nie będę w stanie pisać, jeśli panowie będziecie mi łazili i burzyli ściany nad głową...

Lecz szef majster już nie słuchał. Szef majster śmiał się serdecznie i szczerze.

- Waldziu, ty słyszysz? - rechotał szef majster do majstra Waldzia. - My tu mamy piony do skucia, a pani mówi, że chce pisać!

I majster Waldzio także rechotał.

- Proszę pani - ubawiony po pachy szef majster przemawiał teraz protekcyjnalnie nieco. - Ja wszystko rozumiem. Ale czy pani jest w ogóle poważna?

Po czym majstrowie odwrócili się na pięcie i poszli. Majka stała w pustych drzwiach we frotte szlafroku i nie wiedziała, co w zasadzie z majstrami uradziła.

Nazajutrz rano poważny świat staranował drzwi Majki bez pukania o godzinie siódmej dziesięć i bez sło-

wa rozpoczął prace. Majka wzięła kojec, Bazylego, kubek z kawą oraz front robót twórczych i zamknęła się w łazience. W wannie ułożyła stertę ręczników, usiadła na kopczyku. Na kolanach ustawiła laptop i przystąpiła do zadań. Tak jej się przynajmniej zdawało.

Co pewien czas poważny świat zaglądał do łazienki i zapewniał, że nie chce przeszkadzać, ale sprawa jest taka, że: trzeba wystawić łóżko, przenieść lodówkę, w sypialni rozkuć dwie ściany. A za tą śmieszna szafkę, która się odłupała, poważny świat bardzo przeprasza. Zresztą z tą szafką to i tak nie będzie problemu, bo rury poszły po ścianie, więc śmieszna szafka i tak się już teraz przy łóżku nie zmieści. Tej śmiesznej laleczce, marionetce - tak to się chyba nazywa, Waldziu? - więc jak trzasnęło, to temu panu laleczce odpadły nóżki. No i albumy, książki - trochę się przykurzyły, ale kurz to przecież potem wywieje. Porysowała się podłoga, ale tylko trochę. Zabrudzeń po farbie też nie jest dużo. Nie najlepiej wygląda natomiast ta biała plama, co to ją Waldzio machnął w salonie, bo salon - tak coś się zdaje, Waldziu ? - ściany miał chyba w innych kolorach. A czy po wszystkim tę wielką szafę postawić z powrotem na miejsce? Diabelnie ciężka. Z tą szafą to będzie jednak trochę kłopotu.

Co pewien czas Majka słyszała ze swojej wanny obce głosy. Po mieszkaniu chodzili nieznanymi wcześniej sąsiedzi. Była i dozorczyjni, był szef szefa majstra, był pe-

wien pan prezes. Mieszkanie żyło. Majka wiedziała jedno: nie jest tam, poza wanną, do niczego potrzebna. Poważne życie toczyło się samo. Majka pisała. Tak jej się przynajmniej zdawało.

Raz Bazyli uciekł z łazienki. Lecz natychmiast wrócił.

W południe poważny świat poszedł coś zjeść. Majka nie mogła wejść do zdemolowanej kuchni, więc siedziała w wannie - głodna.

Punktualnie o godzinie piętnastej poważny świat, bardzo z siebie zadowolony, powiedział, że jeśli o niego chodzi to on już. I sobie poszedł. Majka wiedziała, że jeśli o nią chodzi to ona wcale nie już. Na ekranie monitora miała napisane dwa zdania.

Nieśmiało wyjrzała z łazienki. Przejechała palcem po ścianie - palec poczerniał. Wstydliwie przeszła się po własnym mieszkaniu. Usiadła na kupie gruzu, która z niego została.

Po chwili wrócił, bez pukania, szef majster.

- Pani się nie stresuje - pokrzepił. - A sprawa jest taka, że jutro z rana zajrzy do pani Waldzio i przyszpachluje. Nic wielkiego, szybko pójdzie. Nie będziemy pani nadużywać bynajmniej.

Z policzka Majki kapnęła łza. I druga. I trzecia. Po czym Majka rozbeczała się jak głupia.

Z zasępienia nad swoim marnym losem, wyrwał ją telefon. Nieznany numer...

- Tak? - Majka starała się zabrzmieć rezolutnie, ale w zamian zachrypiała skrzekliwie. Ludzie są przecież tuż przed lub tuż po spotkaniu, kiedy się do nich dzwoni, a nie siedzą na stercie śmieci i beczą.

- Maja? Nie przeszkadzam...? Cześć, nie wiem, czy mnie pamiętasz. W zasadzie nie widzieliśmy się jakiś czas.

Marceli??? O rany!

- Potrzebuję pogadać. Sytuacja mnie przerosła. Pomyślałem, że jesteś taką osobą... Zawsze miałaś w oczach, przepraszam, nie chcę zabrzmieć niezręcznie... duchowość - zawstydzony eksplozją szczerości Marceli sięgnął po kawałek szparaga z packą czekolady, wielkości główki od szpilki. „Wiosna w kąpielni”, brzmiała w menu nazwa pozycji.

Duchowość? To faceci znają jeszcze jakieś słowo na „d”? Majka rozbabrywała widelcem misterną konstrukcję z kielków sojowych, faszerowanych powietrzem. No proszę. Ktoś ją odszukał. Ktoś się potrudził.

- Miło, że zadzwoniłaś.

- Szukam kobiecego doradcy. Przyjaciela. - Marceli pogłodził nerwowo dłonią szpakowaty bak i wbił błękitne oczy w porcelanowy talerz, który zajmował pół drewnianego stołu bez obrusa. Zawczasu zadbał o sto-

sownie gustowną oprawę. Z Agrykoli dobiegał rodzinny gwar. Dzieci i psy w niedzielę od dwunastej do szesnastej mają swój czas.

Poznali się kilka lat wcześniej. On, wówczas doktorant na wydziale muzykologii, udzielił Majce wypowiedzi do tekstu o muzyce klubowej. Jakże dobrze jeszcze dziś pamięta tę rozmowę! Postawił - tak, niebanalna to była myśl, wie to dziś - oryginalną, autorską tezę, wywodząc genezę tego podgatunku z muzycznych rytuałów plemiennych. Ona zadawała wiele dociekliwych pytań. Zasluchana, wpatrywała się w niego w milczeniu. Często, i jakże słusznie, potakiwała westchnieniem „ciekawe”. Błyskotliwa dziewczyna, znakomita dziennikarka! Gdyby nie jego narzeczona, to może już wtedy? Kto wie, kto wie... Subtelność i skomplikowana natura muzycznej materii kazały uznać Marcelemu, że autoryzacja wypowiedzi wymaga nie telefonu, ale kolejnej kawy. Nawet drobne przeinaczenie wszak mogłoby zmienić treść! Spotkali się ponownie więc. Pozwolił sobie również zaproponować spotkanie trzecie, aby podzielić się wrażeniami po lekturze opublikowanego artykułu. Doszło do kolejnej wymiany myśli, a raczej - jego monologu, komentarza skądinąd całkiem błyskotliwego, jak dziś post factum oceniłby. Potem raz czy drugi zagał mailem - no może raz nawet jakimś telefonem, z powodu awarii skrzynki służbowej - czy aby jego głos nie będzie przydatny w pracy nad innym

zagadnieniem. Nie był. Lecz przez wszystkie te lata nie poległa w Marcelim pewna - ho ho! nie bójmy się tego słowa już! - figlarna myśl.

- Wyprowadź się. Albo wyprowadź ją - po sobotniej imprezie Majka nie miała siły na subtelność.

- Tak do razu, po dwunastu latach? - Marceli dolewał wodę i rozsmakowywał się w chwili roztrząsania dylematów.

- Tak od razu, po dwunastu latach, nie ty wskoczyłeś do innego łóżka i to nie ona ciebie nakryła.

- Terapeutyzuje mnie przyjaciel. On też to mówi. Chciałem usłyszeć zdanie kobiety. Wiesz, jako kumpla pocieszyciela - zapewnił po raz enty o swoich szczerych intencjach.

Cztery tygodnie później, Marceli przeglądał się w lustrze o poranku. Zmarszczył oczy, wokół których wykwitły głębokie kurze łapki. Potarł pionowe bruzdy po bokach koniuszków ust. Spojrzał na oszronione pajęczą bielą baki i czubek głowy. Za dwa lata czterdziestka. Widać. Pora od nowa ułożyć sobie życie, czas mija. Nie, nie zabierze szczoteczki do zębów. Przybory zostawi w łazience, jako niezbędny. Pora się zadomowić.

Kumpel pocieszyciel spał jeszcze w łóżku, z którego Marceli właśnie wyszedł. Nim się bowiem kumpel po-

cieszyciel obejrzał, drzewiej opiewana duchowość została wyparta przez inne słowo na tę samą literę.

- Co usłyszałaś? - Marceli przystanął na schodach przed Filharmonią, dopinał tweedową marynarkę.

Z masywnych drzwi okazałego budynku wylewał się pachnący, elegancki tłum o rozrzedzonej, zatomizowanej strukturze. Nikt się nie pchał, nie spieszył, nie wydzierał. Niewarszawski sznyt.

- Usłyszałam piękny koncert - Majka ziewnęła i po prawili chustę, zarzuconą na ramiona. - Ale przyznam ci się, że nawet nie pamiętam nazwy orkiestry, więc tym bardziej mnie nie egzaminuj z repertuaru. Czy to był ja kiś opus szósty, czy piętnasty, nie mam bladego pojęcia - ujęła Marcelego pod ramię. - Może pykniemy fajkę wodną w Shishy? Patrz, jaki przyjemny wieczór.

W porozstawianych już na zewnątrz ogródkach cumowały wesole gromady. Parne powietrze zapowiadało gorące lato. Zaufek Sienkiewicza rozkwitał lampionami, rozbrzmiewał śmiechem i brzękiem kufli. Warszawa budziła się do barwnego, ale krótkiego życia wakacyjnej ómy barowej.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie - Marceli do stojnie kroczył po stopniach i pytał z podenerwowa niem. - Nie pytam o to, czy pamiętasz, że wysłuchali-

śmy właśnie koncertu fortepianowego d-moll Mozarta oraz VI symfonii F-dur opus 68 Beethovena w wykonaniu orkiestry symfonicznej, ale o to, co cię poruszyło w tej muzyce. He?

- A możemy o tym pogadać przy fajce? - Majka posłała mu kokieteryjny uśmiech. Próbowała odwlec jeszcze na moment chwilę męczarni, która nieuchronnie czyhała na nią po koncercie. Delektowanie się przyjemnością estetyczną i słuchanie sercem, bez akademickiej pomocy słów, było najwyraźniej jej błędem.

- A zatem? Nie wywiniesz mi się. - Marceli mości! się już wśród kolorowych, haftowanych złotą nitką poduch na sofie. Siłąc się na luz, próbował nawiązać do porzuconego tematu. Jakże brakowało mu w takich chwilach w Majce partnera do dysputy!

Woda w różowej shishy zabulgotała. Współleżąc, Majka zaciągała się jabłkowym tytoniem i dumiała. Nie nad przeżyciem muzycznym, lecz nad obserwacją, że kokieteria w wykonaniu faceta jest równie nieapetyczna, co nylonowe pończochy na owłosionych, męskich łydkach.

- Nie umiem mówić o muzyce - zawyrokowała, przekazując Marcelemu ustnik.

- Oj, nie wywinie mi się mój kotek - Marceli pociągnął, zakasłał i posiniał.

Majka przewijała w głowie żenujący film pt. „Samiec filutek”. Klatka z pończochami ustąpiła miejsca kolejnej,

w której męska stopa ze zrogowaciałą piętą, halluksami oraz żółtymi paznokciami wbija się w odkryty sandałek na szpilce. Zrobiło jej się mdło. Pora odpowiedzieć. Kolejnej dozy filuterności może już nie wytrzymać.

Opowiedziała więc. Że usłyszała harmonię, która biegła uporządkowanym tematem w pierwszej części, ale potem zaczął ją rwać niepokój i gwałtowność. Z początku mogła się ona jawić jako chaos, ale potem meloman Majka wychwyciła, że w tym pozornym nieporządku jest usystematyzowanie. Pierwszy, oczywisty rytm zyskał przez to drugi, trudniejszy, który nadał pierwszemu dodatkową głębię.

Skończyła. Poczuła, jak po kręgosłupie spływa jej strużka potu. Kolejne pytanie i będzie mokra jak mysz. Jej oratorski wysiłek zapewne można by skwitować krótkim, żołnierskim „nie pierdol”. W oczekiwaniu na taki komentarz sięgnęła po mojito.

- Nieźle, nie najgorzej. Widzę, że się starasz - Marceli ocenił z pewną sympatią tę próbę. Odstawił mikro szklankę z resztką niedopitej, tureckiej herbaty.

- Marceli... a mógłbyś mi opowiedzieć fachowo? Wiesz, tak jak to potrafisz tylko ty? - Majka rozparła się wygodnie.

Nastroszywszy piórka, słonecznie uśmiechnięty Marceli rozpoczął opowieść.

Majka wpatrzona w jego bystre, błękitne oczy oraz zwawo gestykulujące dłonie podryfowała na jabłkowej chmurze w sobie tylko znane rejony.

- Niespodzianka! Mam pomysł! - na wyjściu z knajpy, rozentuzjasmowana sześcioma mojito Majka postanowiła i ze swojej strony ubogacić Marcelego. Wszak na tym polega dojrzały związek. Na wymianie. On ją za prosił na koncert muzyki poważnej, ona odkryje przed nim nieznaną mu dotychczas Warszawę.

- Ale jaki? - zalekziony Marcele wycofywał się z trwogą do swojej chatki ślimaka. Niespodziankę należałoby najpierw oswoić, aby ją móc polubić.

- Zobaczysz! - Majka ciągnęła go już za tweedo-wy rękaw w stronę czerwonego dywanu przed klubem Utopia. Dla gejów oraz ich sympatyków. Miejscem topowym na nocnej mapie.

Pospiesznie rzuciwszy okiem na ich wspólny stajl Majka uznała, że w tweedach i zamszach po Filharmonii wyglądają dzisiaj na nie lada ekscentryków. Bramka będzie do przejścia.

- O co chodzi? - dwóch roślących, łysogłowych osiłków przyprawiło Marcelego o zawrót głowy. Strach do prawdy pomyśleć, co też go czeka na dole! Co za niedorzeczny pomysł!

- Chodzi o to, aby wejść - Majka patrzyła osiłkom prosto w oczy i mówiła pewnym siebie, ale miłym tonem.

- Zaraz - osiłek Cerber uchylił drzwi i zakrzyknął na ostateczną instancję, która wpuszczała w mroki Hadesu.

- Ej, a może nie musimy? - Orfeusz Marceli zaśpiewał cieniutkim sopranem.

- No coś ty! Będzie super! - Majka przestępowała już z nogi na nogę, słysząc z dołu taneczny rytm.

I oto z głębin Hadesu na purpurowy dywan zstąpił On. Apollo Sebastien. Kapłan Delf i pyt.

- Tak? Nie? - wszak cnotą zagadkowej Wyroczeni jest jej mroczny styl.

- Jak nie, jak tak? - Majka posłała mu ciepły uśmiech. - Z Biedroneczką nie było czy tak, czy nie.

Uznała, że przywołana tu w słusznej sprawie, choć nieświadoma tego znajoma nie pogniewa się.

- Z Biedroneczką? A skąd ty słodka Biedroneczkę znasz? - Czyżby mury świątyni rozstępowały się?

- A skąd ty kotku wiesz, że ja słodka, co? - uśmiechnięta Majka świdrowała selekcjonera Sebastiena figlarnym wzrokiem.

Przysłuchujący się tej rozmowie Marceli był bliski łez.

Sebastien zdjął z haka bramki pluszowy sznur i cofnął się o krok.

- Zapraszam. Milej zabawy.

Sezam otworzył się. Na dole przy barze czterdziestu rozbójników hasało w samych stringach, kręcąc zgrab-

nymi pupami w rytm **klubowej melodii**. Omdlały Marce-
celi oparł się o filar.

- Chodź! Napijemy się! - uszczęśliwiona perspektywą swobodnej zabawy Majka wykrzyczała mu do ucha, ciągnąc go w stronę lady.

- Tylko nie zostawiaj mnie! - błagał uczepiony niej.

- Bolek? I Lolek? Chłopaki! - puściła rękę Marcelego i przeciskała się przez splecione tańcem, roznieglizowane ciała spowite jedynie różową poświatą neonów w stronę kolegów z liceum, których zauważyła po drugiej stronie sali.

- Cześć! - wydarła się wniebogłosy, kiedy udało jej się do nich przedostać.

Bolek i Lolek byli w szkole jej i Toli ulubionymi przyjaciółmi. Zawsze znajdowali czas na zakupy, nie marudzili w sklepach, znużeni przymierzaniem kolejnych strojów, a nawet potrafili rzucić jedną i drugą stosowną uwagę. No i godzinami mogli wysłuchiwać zwierzeń sercowych. Nie widywano ich z dziewczętami, co tłumaczono sobie nawałem obowiązków oraz nauki. Bo i uczniami byli na piątkę. Na studiach zamieszkali razem.

- Kochana! - z marszu rzucili się do miękkich uściłków. - Sama? Jest Tola?

- Wyjechała do Londynu! Ale jestem z kolegą. O, tam - Majka odwróciła się i wskazała w miejsce, w którym przed momentem zostawiła Marcelego. **Stał**

tam nadal. Posiniały, rozbitym wzrokiem patrzył niemo na kędzierzawego blond Adonisa o wydepilowanej kłacie, który szczerzył do niego fluorescencyjnie białe zęby i raz po raz poklepywał po pośladku.

- Chodźcie, bo narzeczony zaraz mi zemdleje - zrobiło jej się trochę żal Marcelego, zagubionego w obcym mu świecie mroku.

- Narzeczony? - Bolek wykrzywił się w grymasie niesmaku. - Takie ciacho stracone... Co on w tobie widzi, kobieto!

Ściskając się za brzuchy ze śmiechu, Majka z Bolkiem i Lolkiem podążyli z odsieczą, aby wyratować Marcelego z objęć rozochoconego lowelasa.

- Może zgasimy światło? - Marceli nawet na rauszu troszczył się o seks etykietę.

Majka miała humor zupełnie inny. Podkręcony wciągniętą w toalecie z Bolkiem i Lolkiem kreseczką, o czym Marceli nie wiedział, zatopiony wówczas w zapalczącej dyspucie z jurorem konkursu Chopinowskiego - zachwycony, iż nawet w jądrze ciemności odnalazł bratnią duszę. Nim dusza nie zrzuciła odzienia, ukazując posturę szczapy w skórzanych stringach oraz z tatuażem stosunku analnego na ramieniu. Wtenczas popędził Marceli do wucetu, by Majkę pochwycić i umknąć,

lub samotnie zaryglować się w kabinie. W drzwiach wpadli prosto na siebie - ona czule się przytuliła, aby za jego ramieniem dociągnąć spod nosa drobinę kokainy. Nie o wszystkim musiał wiedzieć. Teraz, gdy on słabo podłany alkoholem nadal się wstydził, ją rozpałała żądza. Miała ochotę.

- A może przeciwnie, zapalimy ich więcej? - siedziała na nim okrakiem, w samej bieliźnie i pończochach, wyprostowana niczym struna, roznamietniona, a może i rozpustna. - I się trochę pobawimy?

- Krakowskim targiem. Nie zgasimy, ale i nie zapalimy - Marceli popadał w ton zalękniony.

- OK. A jak lubisz najbardziej? - Majka pożerała go wzrokiem łapczywie. Była rozpalona. Choć w zasadzie mógł tam teraz leżeć każdy.

- No, od przodu, i od tyłu. - Marceli... zaraz, czyżby się zarumienił?

- Co ty powiesz - kpiąc, wsunęła mu dłoń w bokserki. - Aż takie perwersje? I od przodu, i od tyłu, skaucie? - zaczęła pieścić.

- Przepraszam, nie chciałem cię urazić - on mówił całkiem na poważnie.

- Ależ uraziłeś, i to bardzo - przekreśliła się i unosząc na biodrze, sunęła w dół stopą w pończosze zdejmując z niego spodnie. Czując w dłoni twardą wypukłość, pochyliła się nad nią i wzięła w usta.

Marceli jęknął. Palce wbił w prześcieradło.

Uniosła głowę ponad, patrząc. W dół spłynęła witka śliny, która teraz topniała, do nasady dopływając ledwie widoczna. Koniuszkiem języka przejechała po niej, wkoło zatoczyła obręcz. Naraz gwałtownie niemal całość połknęła, ustami rytmicznie opadała i się unosiła. Poczowała, że wulkan wzbiera. Ledwo zdążyła umknąć z twarzą, kiedy wezbrany strumień wystrzelił.

Zapasy z pół roku? Tak szybko?

- O Boże - Marceli ledwo wystękał. - Było bosko.

Koniec? Halo, a gdzie dogrywka, gdzie rewanż?!

Przeczuwając, że sytuację należy dopowiedzieć jasno, leżąc na jego kłacie Majka odczekała kilkanaście minut, po czym zakomunikowała potrzebę własną.

- Ja też chcę.

Lecz Marceli już dawno zasnął.

Rano, świeży i rumiany niczym rogalik, Marceli pogwizdywał w kuchni i czekał, aż zaparzy się kawa. Czuł się piętnaście lat młodszy. Mówiąc brutalnie: dawno już nikt nie zrobił mu dobrze. W tym akurat zakresie zwykł polegać na sobie samym w zaciszu akademickiej toalety. Marceli splonął pąsem na tę konstatację. Co też on sobie myśli, bezceństwa! Lepiej zobaczy, czy aby nie obudziła się już jego sympatia. Odsunął poły szlafroka, przysiadł na krawędzi łóżka.

- To dla mnie? - Majka otworzyła przekrwione oko. Zza bolesnej i rozedrganej mgły wyłaniał się niewyraźny kontur filizanki.

- Jak najbardziej. - Marceli podał, po czym sam umościł się w pościeli.

Proszę, poranek niczym z reklamy. On i ona piją kawę w łóżku, wpółobjęci. Rysą na katalogowym wizerunku były jedynie białe plamy, zaskorupiałe na jej pończochach oraz kac gigant i twardość w nosie. Kokainowy Pinokio.

- Strasznie byłaś wczoraj rozochociona - Marceli złożył wargi w dziobek, aby upijając łyk nie siorbnąć.

- A jak coś ci powiem, to nie zgorzysz się? Nie skarcisz mnie? - Majkę opanowała dojmująca potrzeba wyznania przewinień. Ma kaca, jest biedna i ktoś powinien ją zrozumieć, utulić. - Pojechalśmy nosami z Bolkiem i Lolkiem.

- Słucham? - Marceli przybrał srogi, acz zagubiony wyraz twarzy. - Całowałaś się z nimi?

- Nie! Głupolu - roześmiana Majka wtarabaniła się pod jego ramię. - Wciągnęliśmy koks.

- Czyli co? - Marceli nadal nie rozumiał.

- Kokainę - kończąc wymawiać to słowo, Majka poczuła, że Marceli napina cały swój system nerwowo mięśniowy.

- Co?! - cofnął ramię, którym ona się otuliła. - Kokainę?!

- Sam widzisz, niczego ci nie można powiedzieć! -
Majka zdawała sobie sprawę, że to argument z przeszłości, ale żaden inny atak nie przychodził jej do swobodnej głowy.

- Jesteś uzależniona? - Marceli był poważnie strapiiony.

- A ty nigdy nie próbowałaś? - Majka nie spotkała od lat osoby, która raz czy drugi nie wciągnęłaby koksu. No może prócz Gosi... Gdzie on się ostał? W jakim on świecie żyje?

- Nie, nigdy. I żaden z moich znajomych też, jak sądzę, nigdy nie. Majka, w jakim ty świecie żyjesz?

Proszę, oto zbieżność refleksji.

- Nie jestem uzależniona, ale czasem zdarza mi się na imprezach. To dla ciebie problem?

- Co znaczy „czasem”? Ile razy próbowałaś?

- Nie wiem. W ciągu iluś lat, może kilkanaście...

- Znajdziemy ci terapeutę i poradnię. Zajmę się tym - przed uspokojonym już Marcelim oto zajaśniał cel wyraźny. Miał misję.

- Oszalałeś? To tylko taki red buli. Poza tym, nie muszę. Jeśli tak bardzo ci to przeszkadza.

- Owszem, przeszkadza.

- OK, OK! - Majka zapewniłaby go teraz o wszystkim, byle tylko się uspokoił. Czaszkę rozsadał jej pulsujący ból.

Marceli jak niepyszny poczłapał do salonu. Wybrał płytę - Blechaczowskiego Chopina, jakże banalne, ale

wszak ukojenie jego steranych tą sytuacją nerwów. Rozbrzmiały czyste dźwięki klawiszy pianina.

Na kaflach kuchennego blatu zawibrowała komórka. Esemes. Marceli sięgnął po aparat i zaniósł Majce do sypialni.

- Twój - podał i wsunął się pod kołdrę, rozcapierza ją wczorajszą gazetę. Demonstracyjnie, a jednak zerkając zza niej w stronę ekranu telefonu.

„Dzień dobry, moja przyjaciółko. Pozdrawiam z Nikaragui. Szkoda, że Cię tu nie ma. D”.

- Patrz, może będzie referendum w Boliwii. Chcą odwołać Moralesa, ciekawe, ciekawe, kto? - Marceli nie podniósł wzroku znad tych arcyważnych wiadomości, które go frapowały mniej jakoś, niż nadawca wiadomości.

- Tola. Pozdrawia, pisze, że jedzie gdzieś pod Londyn na weekend. - Majka trzymała komórkę w dłoni, którą oparła teraz o zrolowaną na udzie pończochę, tuż przy zaschłym białym oku spermy. Wstukała odpowiedź:

„Ja też. M”.

- Nie dadzą rady, Morales ma zbyt silne oparcie w terenie, u związkowców, co odpisałaś? - Marceli z szelestem przewrócił stronę gazety.

- Że też pozdrawiam. O co ci chodzi? - Majka wpadała w poirytowanie. I wcale nie dlatego, że kłamała, jak z nut. Ot, z ogólnej zasady: zaufanie związku filarem.

- Nic, pytam tylko. Co sądzisz o Moralesie? - Marceli zmarszczył krzaczaste brwi. I czekał na odpowiedź.

- Boże... co ja sądzę o Moralesie po całonocnej imprezie... - Majka zsunęła się w dół łóżka i zanurkowała pod lekko przepoconą pościel, obleczoną kremową poszwą, naciągając ją na głowę. - Sądzę - rozsunęła jego szlafrok i nosem wiodła już po brzuchu, mówiąc spod kołdry - a więc sądzę - dojechała do bokserek i zaczęła pocierać policzkiem o nabrzmiewające uwypuklenie -że za siedmioma górami, za siedmioma lasami, żył sobie pewien pan Evo Morales z krasnalami kokainistami

- delikatnie chwyciła zębami wypukłość przez materiał - którzy bardzo lubili Białą Panią - raptownie szarpnęła za bokserki i je zdjęła, twarz ułożyła na udzie Marceliego, ręką rytmicznie go pieściła - żuli, pluli i wciągali - rozchyliła usta, wsunęła wypukłość głęboko do gardła, aż niemal się zakrztusiła - na Białej Pani przyjemnie sobie jechali - wypuściła wypukłość z buzi, aby nie przyspieszyć zakończenia, gwałtownie podciągnęła się do góry na klacie Marceliego i wychyliła na zewnątrz portarganą głowę. - Weź prezerwatywę.

Marceli przystąpił do zadań, jakby chciał zdobyć sprawność zucha w konkurencji: kopanie łopatą. Wsuw i wysuw, ruchy po ściśle wymierzonym odcinku prostym. Pozycja: wólpompka. Nadgarstki wbite po bokach melioracyjnego rowu, naprężone ramiona, tułów zawieszony w powietrzu, bezdotykowo, niezwią-

zany z pracami ziemnymi. Na twarzy wymalowany zaś wszechświat. I wysiłek, i zachwyty, i rozpusta (spółkuje!), i wdzięczność. Jak można się domyślić, nie trwało to długo.

- Zabije mnie tyle seksu - Marcelem ledwo wydyszał, wpity w szyję Majki, niczym bejbi wampir. Majka odszukała w rejonach dolnych zwieńczenie plastiku na wydrenowanej wypukłości i przytrzymując je, delikatnie wyjęła wymęczoną sflaczałość na bezpieczną pozycję zewnętrzną.

- A teraz ja - tym razem nie zamierzała być Matką Teresą. Kiepsko już raz na tym miłosierdziu wyszła.

- Co, ja? - on nawet nie drgnął.

- Chcę orgazm. - O rany, czy trzeba mówić drukowanymi literami? Trochę intelektu, panie mądralo!

- Teraz?

- Nie. Jutro w kinie. - Evo Morales! Referendum w Boliwii! Mądrość to nie teoria, panie doktorzku w trakcie habilitacji. Mądrość to umieć zastosować wiedzę tu i teraz. Do roboty.

Majka starabaniła z siebie pół przytomnego Marcelego, przeturlała go na bok i wygodnie umościła się na wznak, w zasięgu jego dłoni. Nóg nie rozchyliła. Niech останą się resztki ułudy, że to on się na nią rzuca i władczo bierze.

Kwadrans potem, delikatności Marcelemu nie mogła odmówić.

Leżeli obok siebie, czytali gazety. Majka była już pachnąca po gorącej kąpieli, okutana białym szlafrokiem, z turbanem z ręcznika na głowie. Marceli włożył świeże bokserki w niebieską kratę i błękitny t-shirt. Zamierzali spędzić ten dzień w łóżku, na lekturze. Spacyfikowany nuklearną dawką seksu Marceli wyszedł już nawet z Bazyliem, kiedy Majka się szorowała i piękniła. Sielanka rodzinna. Przy sobocie, po robocie.

- Co najbardziej lubisz w łóżku? - odłożyła „Wysokie Obcasy” na bok.

- No, chyba było to widać - Marceli pochłaniał teraz strony gospodarcze. Z równym zapalem, co wcześniej wszystkie pozostałe.

- Ale ja się pytam o twoje fantazje. Nawet perwersje. Chodź pogadamy - zaczęła ją żywo interesować ta sprawa. Po co potem marnować tygodnie albo i miesiące, skoro pewne rzeczy można wyjaśnić na starcie? Po co komplikować? Od czego są słowa?

- Nigdy o tym nie rozmawiałem - teraz i Marceli się zafrasował. - Nie wiem, czy umiem.

- To ci pomogę. Ale jeden warunek, OK?

- No? Jaki? - Marceli splonął. Już się bał tego dicitum.

- Jesteśmy szczerzy i nie ściemniamy. Inaczej to bez sensu rozmowa. I się nie śmiejemy z siebie. Niezależnie od tego, co drugie powie. Dobra? - Majka była go-

towa. Wszak **akurat ten temat miała gruntownie** prze-myślany.

- Dobra. Ale zacznij - Marceli też się już przyszyko-wał, opierał o wezłowie łóżka.

- Czego absolutnie nie lubisz? Co cię brzydzi? - Na-leży zacząć od uspokojenia płochliwego Romea: niech wyzna, że nie jest zboczeńcem, to go ukoi. A potem po-wie, co kręci.

- Nie czuję potrzeby, żeby spróbować seksu analne-go... Ale jeśli chcesz, to oczywiście...

- Czy ja coś powiedziałam? Nie kryguj się tak - Majka mówiła łagodnie, przytuliła się do niego. Kłatkę Marcelego rozsadzał łomot - serce waliło jak dzwon z tych nerwów. - Ja też nie mam takiej potrzeby. Widzisz, już wiemy jedną rzecz o sobie. Fajnie. Czego jeszcze nie lubisz?

- No, tego, jak to się nazywa? Złoty deszcz? - tonem pytającym Marceli chciał sprawić wrażenie, jakoby nie znał fachowej nomenklatury.

- Czyli, jak się siusia na siebie? - Majka postawiła na prostotę nazewnictwa.

- No... - Marceli wyjąkał. Umierał ze wstydu.

- Super. Też mnie to zniesmacza. A co cię podnieca?

- Od tyłu.

- Ale co konkretnie?

- No, może mógłbym cię pociągnąć za włosy? Oczy-wiście tak, żeby cię to nie zabolalo - jał Marceli w po-śpiechu zapewniać.

- Fajnie by nawet było, jakby trochę zabolalo. Też to lubię. Widzisz, dobrze nam idzie! - Majka była zadowolona, że udaje im się rozmawiać o seksie, choć czuła się trochę, jak prowadząca teleturniej.

- Mogę już? - Marceli sięgał z powrotem po gazetę.

- No... pewnie, nic na siłę.

- Witam, witamy! - siwiuteńka, obcięta na pazia kobieta ze śladami dawnej urody, pozostałej w jasnym spojrzeniu, szlachetnych rysach i delikatnym owalu twarzy promieniała uśmiechem. W narzuconej na ramionach chuście łowickiej, stałą w otwartych drzwiach na proggu bielonego domu i zapraszała ich do środka.

- Maja. Bardzo miło panią poznać. Marceli wiele o państwu opowiadał - Majka uścisnęła wyciągniętą w jej stronę dłoń i wyrecytowała podręcznikową formułę, skądinąd całkiem zasadną w tej sytuacji. Marceli faktycznie sporo mówił o rodzicach.

- Bardzo się cieszę pani Maju, bardzo! Marcelek, zawołaj ojca - mama prowadziła ich już przez długi korytarz. Pod stopami skrzypiały wytarte i poluzowane deski parkietu. W domu pachniało zbutwiałym drewnem i migdałową esencją do pieczenia ciasta.

Salon idealnie pasował do wyobrażenia mościska nieprzystosowanych inteligentów, którzy umknęli przed

znerwicowanym miastem na jego obrzeża. Ciężkie, dębowe meble oproszone były ledwie widoczną warstwą kurzu, żadnym tam połyskliwym osadem pronto o zapachu mandarynki, świeżo zerwanej w ogrodzie. Serwantka z porcelaną, fotele wyściełane przetartym aksamitem, zegar z kurantem, ściennie fotografie w sepii, z których spoglądali dostojnie upozowani przodkowie w binoklach i ze sztywnymi kołnierzykami, nie pozwalały czasowi na to, by mijał. Pod upiętymi, pożółkłymi firanami na parapetach pyszniły się egzotyczne, białokwiatowe gardenie, znak zamiłowania gospodyni do ogrodu i pielęgnowania roślin.

- Witam - tubalny głos wyrwał Majkę z zapatrzeania w jedno ze zdjęć, na którym posepny jegomość w surducie oraz kobieta o orlim nosie i surowym spojrzeniu nie upilnowali chłopca w marynarskim ubranku, siedzącego na kolanach matki i puszczającego oko do ukrytego pod czarną płachtą fotografa oraz przy szłych pokoleń.

W drzwiach stał potężny brodaty mężczyzna w płóciennych szarych spodniach i flanelowej koszuli w zielono-niebieską kratę. Beczułkowaty brzuch mieścił się pomiędzy szerokimi czerwonymi szelkami, które trzymały go w ryzach.

- Antoni. Ojciec Marcelego - masywna dłoń niemal zmiądzzyła rękę Majki.

- Kto się napije? - wyraźnie szczęśliwa z wizyty matka zajrzała do salonu w białym fartuchu. Szykowała poczęstunek.

- Ja bardzo chętnie - Majka poczuła się lekko spięta wpatrzonymi w nią oczami rodziców, dziadków i pradziadków.

- Antoni?

- Jak mam pić, to przecież nie herbatę - Ojciec Marcelego jowialnie uśmiechnął się do Majki. Swój pozna swego nawet w warunkach niesprzyjających. Proszę, od razu jakoś sympatyczniej.

- No jak tam sobie chcecie, ale ja i tak zaparzę do ciasta! Antoni dotrzyma pani towarzystwa, a ja porywam Marcelego do kuchni. Nieczęsto się teraz widzujemy, nieczęsto! - mama dobrotliwie pogroziła smukłym palcem. Po czym wyszła, a Marceli za nią. Kroki oddalały się po rozklekotanym, chrypliwym parkiecie.

- Zapraszam do swojej spiżarni - Tata Antoni zaczął się jawić Majce jako człowiek miły oraz rozsądny-

Spiżarnia była imponująca. W chłodnym, wilgotnym półmroku piwnicy jedną ścianę zajmowały piętrowe stojaki z omszałymi butelkami wina. W rogu połyskiwały zmatowiały, opleciony wijącymi się rurkami szklany gąsior z samogonem. Drugą ścianę pomieszczenia szatkowały grube półki z murszejącego drewna, ubarwionego ciemnymi obrożami sęków. W nierów-

nych rzędach stała na nich bateria alkoholi w butelkach o wszelkich możliwych kształtach i wielkościach. Po ptysiu, oranżadzie, półtoralitrowej coca-coli oraz cała masa szklanych nołnejmów.

- Oto moje nalewki - Tata Antoni spoglądał z ojcowską czułością i dumą na pękaty flakony. - Proszę, orzechówka 1994 rok - wziął butelkę, którą teraz trzymał przed sobą w wyprostowanej ręce. Napawał się widokiem. Przybliżył ją do siebie, mankietem koszuli przetaił etykietę z informacją, odręcznie napisaną rozmazanym od wilgoci atramentem. - Pięknie nam orzech obrodził tamtego roku. Albo tutaj - odstawił i wprawnym gestem sięgnął po kolejną. - Z czarnego bzu. Pyszna. Delikatna, ale jak potrzymać, posmakować, ujawnia swoją moc. Ta akurat jest sprzed roku, więc niech jeszcze poczeka, niech się uleży.

- A ta tutaj? - Majka wskazała na samotnie stojącą w rogu pękatą butlę z mlecznego szkła.

- O, doskonale. Niebanalna, odważna, nie każdemu przypasuje, ostrzegam - Tata Antoni już trzymał flaszkę i spozierał na nią fachowym okiem maga. - Wiśniówka z czuszką. Bierzemy.

Hasło „czuszka” nieodzownie przypominało Majce bułgarski sedes w Żółtych Piaskach, nad którym jako dziecko spędziła swego czasu długie godziny po skosztowaniu tego specjału. No, ale od tamtej pory człowiek się jednak otrząsał, obył. Czuszka, czyli chili, niestraszna mu teraz. Teraz człowiek jest już jednak światowy.

Wdrapali się po murowanych schodach i wyszli z piwnicy na parter domu.

- Chętnie umyłabym ręce.

- Wzdłuż korytarza, mija pani kuchnię, pod koniec na lewo - tata Antoni wskazał Majce kierunek.

Stąpając na palcach, aby nie hałasować krokami po skrzypiącej podłodze, Majka szła w stronę łazienki. Minęła przymknięte drzwi do kuchni z karbowaną szybką na górze, zza których wydostawał się apetyczny aromat ciepłego ciasta drożdżowego, szła dalej, lecz wtem przystanąła, usłyszawszy głosy.

- ...mógłbyś oddzielić chociaż kolorowe od białych.

- Mama Marcelego szeptała tonem lekko strofującym.

- Wiem, wiem, znów zapomniałem - Marcelli gdała.

- Nieważne, synku. Białe się zdążą wysuszyć, a po kolorowe wpadnij jutro. To ci jeszcze przepraszuję, bo dziś białych nie zdążę.

- A jakoś po jedzeniu, chociaż koszul byś nie przejechała żelazkiem? Bo będzie mi jedna potrzebna na rano.

- Jedną, dwie zdążę. Ale jakoś zagadaj swoją sympatię, skoro tak się wstydzisz. Bardzo miła. Ale... czy nie za ładna? Wiesz, zawsze się będą wokół niej kręcić absztyfikanci! Możesz mieć jeszcze jakieś kłopoty.

- Mamo, ja lubię ładne kobiety.

Zbaraniała Majka zamarła w bezruchu z ciężarem ciała na jednej nodze, drugą trzymając w podkurczu

nad podłogą. Bała się ją postawić, aby trzask nie zdradził jej obecności.

Chwila moment. On wozi pranie do mamy?! W tajemnicy przed nią, co mu się akurat chwali. Ma poczucie obciachu, tyle dobrze. Ale... pranie do mamy?! „Przeprasuj mi koszulę na rano”?! I kto to mówi? Trzydziestośmioletni facet?!

Majka wzięła głęboki oddech i opuściła stopę. Delikatnie przestąpiła największy krok, jaki mogła zrobić będąc w spódnicy, po czym oddaliła się, tupiąc.

Kilka minut potem, w drodze powrotnej z łazienki, zapukała do wpół domkniętych drzwi kuchni.

- Można? - wsadziła przez nie głowę i zajrzała do środka.

- Zapraszamy, właśnie kroję ciasto - mama Marceliego uwijała się przy okrągłym stole z brzoźowego drewna. Maczała nóż w szklance z zimną wodą i ostrożnie zatapiając go w szczelinie pomiędzy kruchymi brzegami a blaszką, oddzielała przywierające ciasto od formy, by wyjąć je niepokruszone. Marceli opierał się ręką o blat kremowego, spłowiałego kredensu. Drugą bawił się, kręcąc porcelanową gałką szafki. Po torbie z praniem nie było już w kuchni śladu.

- W czymś pomóc? - zapytała Majka przymilnie. - Bo przecież nie będziemy męczyć Marcela. - Nie mogła się powstrzymać od drobnej kpiny. Której nikt nie wychwycił.

- Chętnie! Mężczyźni niech tymczasem otworzą butelkę. Zaraz do was, Marcelek, przyjdziemy. - Mama machnęła nożem w powietrzu, pieszczotliwie przeganiając syna. Wyszedł, kobiety zostały w kuchni.

- Pani Maju, okropnie się ostatnio martwię - naraz mama rzekła poufale. Wykrawała z rumianego placka puszyste ćwiartki i układała w równych odstępach na półmisku, udekorowanym kilkoma płatkami róży. - Okropnie.

- Ale czym? Jeśli oczywiście mogę spytać. - Majka ustawiała zastawę do herbaty na srebrnej tacy.

- Pogodą, pani Maju. Pogodą - znów ton familiarnego lamentu. - Czy Marceli miewa ostatnio zły nastrój?

- No, chyba nie... Ale dlaczego? - Majka powoli traciła rozeznanie.

- Są wahnięcia ciśnienia. Parność i duszność. Fatalne warunki dla humoru. Fatalne. On jest takim klimatopata! Od dziecka! Ten mój wrażliwy Marcelek. Jeśli więc ostatnio miewał dąsy, pani Maju, proszę ich nie brać do siebie, w żadnym wypadku! Proszę, pani Maju, posłuchać...

Lecz Majka już nie słuchała. Majka nie czuła, że imbryk parzy jej opuszki palców. Nie wierzyła, że usłyszała to, co usłyszała. Klimatopata?!

- ... tak więc na pewno Marcelek będzie bardziej we sół, kiedy pogoda przestanie w końcu płatać nam figle

- mama skończyła swój konfidencjonalny wywód, rada z podzielenia się tajemnicą. W trosce o syna, oczywiście.

- No, gotowe - omiotła uspokojonym spojrzeniem precyzyjnie rozmieszczone porcje ciasta drożdżowego z konfiturą malinową. - To będzie taka nasza kobieca tajemnica, dobrze? - puściła oko. - Ale proszę być wyrozumiałą dla mojego Marcelka, bardzo proszę! Pani jest taką sympatyczną, kulturalną kobietą. No a on tyle przeszedł z tą... ech, lepiej nawet nie wspominać tej dziewczuchy.

- Marceli jest wspaniałym mężczyzną. Może być pani dumna z syna - mówiąc te słowa Majka marzyła o jednym: żeby przysnąć się do butelki wiśniówki, choćby i z czuszką. Na trzeźwo zaraz zwymiotuje od tego maminsynkowatego lukru.

- Od razu widać, że pani rozumie i wspiera Marcelego. Takiej kobiety mu trzeba. - W kuchni nad babką drożdżową unosił się teraz aromat cierpko-słodkich migdałów i mdłego patosu. - Ale my tu gadu-gadu, a panowie czekają!

Dwie godziny potem, tata Antoni schodził do piwnicy po butelkę drugą. Wiśniówka z czuszką okazała się być tego dnia bardzo potrzebna.

Kolejne dwie godziny potem, wyściskana przez tatę Antoniego „kobieta koneser”, a przez mamę - „piękna sympatia syna”, w drodze powrotnej do domu zasnęła w samochodzie na tylnym siedzeniu ululana na amen.

Majka jechała do redakcji w śpiewającym humorze. Wywiad z amerykańską milionerką, która zbiła fortunę na bestsellerach pouczających czytelników, że jeśli pracują na etacie są frajerami, poszedł jej nie najgorzej. Na zakończenie milionerka doradziła Majce zainwestować w srebro, najpewniejszy kapitał w tej części globu. Zjadły jeszcze razem obiad w hotelu, w asyście uczynnych piarowców, których głównym obowiązkiem wobec milionerki było donoszenie wody. Na lunch przyswoiła trzy kopytka, przedstawione jako very Polish. Pożegnały się wylewnie, wycalowały, a teraz z ulgą, że na dzisiaj już po robocie, Majka szusowała niezakorkowaną jeszcze ulicą Puławską, mijając szkielet nowego apartamentowca w budowie. Wydzierała się co sił w płucach „bo polityka to w kryształach pomyje”, wtórując chrypliwemu głosowi Gintrowskiego na zdartej od ciągłego słuchania kasecie, zatrzymała się na światłach. Pociągnęła w dół za lusterko, tak by móc się zobaczyć, przejechała błyszczkiem po ustach, odgięła je z powrotem do góry. Przybierając pozycję rajdowca wymiatacza, z kolanami rozwartymi w lekkim rozkroku, lewym łokciem nonszalancko podpartym na framudze okna, prawą dłonią chwytającą za gałkę biegów, sposobila się do rychłego naciśnięcia gazu. Nagle honda zafurkota-

ła, zarzęziła i zgaśła. Majka przekręciła kluczyk. Raz, drugi, trzeci. Na próżno. Jedyną reakcją był głuchy podźwięk niemocy i pustki. Zza samochodu, zaczynała dobiegać histeryczna kakofonia klaksonów. Ludzie, po co te nerwy? Włączyła światła awaryjne i wysiadła z auta. Odtrąbiona od czci i wiary przez furiatów, którzy zza okien wygrażali jej pięściami, pukali się w czoło lub pokazywali wysunięty środkowy palec, mijając jednocześnie rozkraczoną pośrodku niewinną hondę, Majka uśmiechała się do nich i rozkłada dłonie w geście bezbronnym, pacyfistycznym. Zapaliła papierosa. Sytuacja ją przerosła. To pewne. Do kogo by tu zwrócić się o pomoc... Marceci? Dupa, nie kierowca. Inny klucz należy obrać: kto ma takie ciśnienie w jądrach, że przyleci reperować hondę choćby z kosmosu? Odpowiedź jest jedna i prosta.

- Dzień dobry, dzień dobry - bardzo, ale to bardzo rzadko mówiła tak przymilnym głosem. Ton kotki w rui zarezerwowany był dla sytuacji najpilniejszych.

- Jak miło, że w końcu dzwonisz - Dominik wyrażnie się ucieszył, choć jak zwykle nie zdradzał entuzjazmu, lecz niewzruszoną pewnością siebie.

- Prawda? Mnie też miło cię usłyszeć - he, he. Jeszcze zobaczymy, kto lepiej wyjdzie na tej wymianie serdeczności.

- Nie mów, że zgodzisz się w końcu na obiad? - Dominik to był łowczy rasowy.

- Mówię. Ale daję warunek.
- Każdy.
- Musisz dać się wykorzystać.
- Gdzie i kiedy?
- Tu i teraz.
- Czyli?
- Na rogu Puławskiej, przy Morskim Oku.
- Jakaś kawiarnia? Hotel?
- Ulica. Na samym środku. Tchórzysz?
- Poczekaj, niech zgadnę. Zepsuł ci się samochód? -

Dominik zaniósł się sardonycznym śmiechem.

- Ale... skąd wiedziałeś? - Majka dała się zbić z pantaluku. Wdeptała w trawnik niedopalony papieros.

- Masz mnie za idiotę? - Dominik setnie bawił się zwycięstwem. - Będę za kwadrans.

- Dzięki.

Trzyście minut potem, z piskiem opon zatrzymał się granitowy jaguar. Śnieżnobiały trampek wysunął się zza drzwiczek. Dominik był w obcisłych džinsach i czarnej koszuli z podwiniętymi mankietami, rozchelstanej na dekolcie.

- Ale ładny - Majka spojrzała do środka. Mahonio we drewno, obita jasnobezową skórą tapicerka. - Fiu, fiu, niezłą bryką się pan rozbija.

- Testowy. Całkiem przyjemny. Gruchot bentley, którym pogardzasz, został dziś w garażu. No, to jaki mamy problem? - Dominik podszedł i niespiesznie

do czego zmierza ta rozmowa.

- Rozumiem. A kiedy zwykle tankujesz?

- Kiedy mi się przypomni. Kiedy mam kasę albo przejeżdżam akurat obok stacji.

- Czyli nie sugerujesz się pomiarem paliwa?

- Nie, bo jeszcze nigdy go nie zabrakło.

- A co oznacza ta żółta lampka?

- Ostrzeżenie, że benzyny jest niedużo, więc należy się przygotować.

- No właśnie. To na co czekamy, kiedy widzimy żółtą lampkę?

- Na czerwoną.

przybliżając usta, pocałował Majkę w policzek. Nosem przeciągnął od niechcenia po jej czole. Tak, by widziała, że ją wacha.

- Dla ciebie to pewnie żaden problem - Majka zaszczebiotała, nagle skonfundowana.

- Poproszę kluczeki.

- Są w stacyjce.

Wsiadł do hondy. Na ulicy rozległ się głuchy furkot silnika. Dominik wyszedł po dwudziestu sekundach.

- Od kiedy jeździsz samochodem? - podchodził do niej z kpiącym, ale serdecznym uśmiechem.

- No, od iluś tam lat. Już wiesz, co jest nie tak?

- Tak jakby. Bardzo poważna sprawa. Zauważyłaś taką żółtą lampkę po lewej stronie?

- No pewnie, i to dawno. - Majka nie pojmowała,

Dominik zamilkł wtenczas.

- Robisz sobie ze mnie jaja? - **podjął myśl po chwili.**

- Nie, dlaczego?

- Czekałaś na czerwoną lampkę? -

Tak.

- A czy kiedyś widziałaś po **lewej stronie taką** czerwoną lampkę?

- Nie pamiętam.

- To dlaczego czekałaś?

- Bo jako kierowca, jestem przyzwyczajona do trójdzielnego systemu świateł, w którym żółta jest wstępnym ostrzeżeniem, a czerwona - alarmem.

- OK, już rozumiem. Ostatnie pytanie. Czy kiedy benzyny jest dużo, widzisz w tym miejscu zieloną lampkę?

- No... nie.

- Brawo. Wygrała pani obiad - znów się roześmiał. Ciepło i ze zrozumieniem, jak jej wydało się. - Ciapo. Nie masz benzyny. Poczekaj, podjadę na stację.

Kwadrans potem, nalewał do hondy paliwo z litrowej butelki po fance. Następnie, utrudzeni naprawą kierowcy pojechali posilić się sushi.

Redakcja „Fun&Fuck” była już pusta. W piątek wcześniej niż zwykle wszystkich wymiotło na weekend.

- Kawy? - Dominik prowadził Majkę przez biurowy olpenspejs, pogrodzony sięgającymi do szyi przepierzieniami. Ściany zdobiły czarno-białe akty. - I tak właśnie wygląda ten nasz bajzel.

- Nieźle. Myślałam, że będą same pornosy, a tu proszę, taki stajl - Majka knajackim żartem starała się rozładować niedopowiedzianą atmosferę. Przyszła omówić felieton Dominika, który od kolejnego numeru miał cyklicznie pisywać do „Koko”. Ulrich von Burdel stawiał na kooperację wewnętrzną w firmie. Majka z Dominikiem także. Felieton, który będzie zamieszczany na stronach redagowanych przez nią, był sprawą do tego stopnia niezwłoczną, że tuż po uzgodnieniu planów z Sindirellą na przedpołudniowym zebraniu, Dominik z Majką skwapliwie zgodzili się jeszcze tego samego dnia w sprawie felietonu spotkać. Do poniedziałku przeterminowałby się im concept.

- Ale fajnie! - Majka wydała okrzyk zachwytu, wchodząc do gabinetu editora in chief, jak widniało na tabliczce na drzwiach. W pokoju redaktora naczelnego panował barwny rozgardiasz. Na stoliku w rogu pięć trzyły się połyskliwe, zagraniczne edycje „Fun&Fuck”,

rzucone gdzieś także na podłogę. Na skórzanej kanapie leżały rozpostarte makiety stron z wywiadami, sesjami nagich modelek. Nad czerwonym fotelem przy minimalistycznym szklanym biurku wisiało zacnych rozmiarów zdjęcie Dominika ściskającego dłoń Chico Steinmetza, legendarnego magnata rozbieranego biznesu, fundatora tytułu. Na brak ego naczelny nie narzekał, to na pewno.

Zza okien przebijały do środka ostre, zielonkawe reflektory ulicznych latarni, które swoją zimną poświatą odejmowały urok chwili. Dominik spuścił żaluzje, zapalił boczną lampę w rogu pokoju. Jej blade światło wypełniło pokój przytulnym ciepłem.

Przysiadł na rogu biurka, nogi postawił w rozkroku.

Majka upiła łyk kawy, odstawiła dymiącą filiżankę na szeroki parapet. Stała naprzeciwko.

- Felieton - słowo to zabrzmiało dziwacznie, zawiązało się między nimi w pół drogi.

- Chodź - pociągnął ją za rękę do siebie.

Dzieliło ich kilka centymetrów.

Dłonią przesunął wzdłuż jej twarzy. Odgarnął włosy.

Reszta gry wstępnej okazała się niepotrzebna. Rzucili się na siebie, jak dwa wygłodniałe psy na mięso. Całowali się tak, że językami sięgali niemal żołądków. Ręce łapczywie błazdziły po ciele, chwytając je zachłannie. Dominik lewą ręką złapał pod kolanem nogę Majki. Położyła ją na jego udzie. Prawą dłoń wsunął pod

spódnicę. Odgarnął koronkę majtek, mocno ścisnął pośladek. Palce przesunął do przodu po nasadzie samośnych pończoch. I już, jeden był w środku. Gorącą wilgoć załaskotał chłód metalu obrączki, wciskającej się w górę i opadającej w dół wnętrza.

- Nie tutaj, nie teraz - Majka zdjęła nogę, nieporadnie naciągnęła majtki pod zmiętoszoną spódnicą.

- Kiedy i gdzie? - Dominik przysunął palec z obrączką pod nos, powąchał, oblizął.

- Znajdź noc - podeszła z powrotem do parapetu i wzięła filiżankę. - A teraz, felieton!

Uśmiechnął się.

- Sadystka.

Tego roku lato nastąpiło niezauważenie i mijało w taki sam sposób. Pędy soczystej, pachnącej rosą wiosny, nie wiedzieć kiedy, obrodziły dojrzałymi, słonecznymi pękami, od razu spopielonymi przez żar. Opustoszała Warszawa topiła się wraz z asfaltem, rozbrzdżonymi kołami remontujących drogi koparek. Miasto żyło aresztowaniem Kameruńczyka, nagradzanego młodego poety, prześladowanego w swoim kraju opozycjonisty oraz bojownika o wolność. W ramach tej swobody celowo rozsiały na warszawskich salonach wirus HIV. I to nie było jakie, lecz w najgroźniejszej dla białego czło-

wieka postaci. Pierwsze zarażone mlecze dziewczęta - wśród nich studentki antropologii oraz dziennikarki działów miejskich i kultury medialnego giganta, koncernu Euro, w którym wieszcz bojownik posiadał pół etatu, były na granicy śmierci. Żaden tytuł Euro nie podjął na łamach tematu, znanego na korytarzach. Dzięki tej zwłoce poeta mógł chwilę dłużej siać swoje nauki. Zanim nie został zdemaskowany przez konkurencję, jako bieda oszust, na którego lep złapały się poprawne elity. Punkty medyczne, przeprowadzające testy na obecność wirusa, przeżywały oblężenie, jak nigdy wcześniej. Co miesiąc odnotowywano kilkadziesiąt nowych zakażeń. Majka cały czas nie potrafiła dojść do takiej kliniki. Choć myślała o tym coraz częściej, w tajemnicy przed samą sobą przeczesała internetowe fora w poszukiwaniu informacji. Swobodny seks raz i drugi - no może nawet trzeci - nie dawał jej spokoju.

Marceli praktycznie u niej mieszkał. Raz na tydzień wymykał się na noc do domu pod pretekstem zajrzenia w książkę, lecz faktycznym celem eskapad była pralka w kuchni matki. Mijał trzeci miesiąc ich znajomości. Majka zaczynała się dusić.

- Czym różni się połędwica „jak za Gierka” od tej sprzed Gierka, lub po Gierku? - Marceli wpatrywał się

w punkt na rachunku z zakupów ze srogoscia, która mogłaby wypalić dziurę w kartce.

- Wszystkim. - Majka rozpakowywała ekologiczną torbę wielokrotnego użytku, wstawiała rzeczy do lodówki.

- Czyli? - Marceli prawie zasyczał.

- Ale o co pytasz? - zdziwiona Majka przytrzymała wpółotwarte drzwi, zza których wydobywały się mroźne wyziewy.

- O to, dlaczego kupujesz wędlinę za czterdzieści złotych - Marceli wbijał w nią błękitnostonalowe oczy.

- Bo jest smaczna - Majka wzruszyła ramionami *i wróciła do sprawunków.*

- Smaczna, to na pewno. Ale dlaczego nie możesz kupić wędliny normalnej, trzy razy tańszej, co? - Marceli nie zamierzał łatwo ustąpić w tej absurdalnej potyczce.

Aha, no tak. Mają wspólny budżet. Nie przyszło od razu na myśl Majce. Przywykła do samodzielnych zakupów. Od dawna nie tłumaczyła się z tego, dlaczego kupuje oliwę za stówę. Ostatni raz wspólne zakupy robiła z Rumcajsem. A on miał gest jeszcze szerszy od niej: Rumcajs uwielbiał samego siebie, więc tylko rzeczy najdroższe były go godne. Należało podejść Marcelego rzeczowym argumentem.

- Szynka za dwadzieścia złotych nie może być szynką - zawyrokowała bez wahania Majka. Akcja: ofensywa.

- Jak to? - popadał w konfuzję i nieco spuszczał z tonu.

- Nie czytałeś reportaży o ubojniach i masarniach?

- Majka prychnęła z pogardą. Zyskiwała przewagę.

- O świniach, wrzucanych żywcem do oparzarek? O wstrzykiwaniu tłuszczu ze skóry do wędlin? O pompowaniu ich wodą i chemią? Marceli... - Majka westchnęła sceniczenie. Oraz potoczyła dłonią w powietrzu, dramatycznie.

- No., ale co z tego? - Marceli próbował się ratować.

- To z tego, że nie będziemy jeść gówna. Lepiej zapłacić dwa razy drożej, za dwa razy lepszą rzecz, a potem zjeść dwa razy mniej. Nie sądzisz?

- A... a to co? - Marceli obsesyjnie studiował wydruk z kasy. - Mleko za dwanaście złotych?

- Sojowe - tu Majka miała żelazny argument. - Bo jest zdrowsze od krowiego.

- OK, sojowe, rozumiem. Ale dlaczego jajka kosztują dziesięć złotych? Zniosła je złota kura?! - zakipiał przy tej pozycji. Niesłusznie.

- Nie. Zielononóżka kuropatwiana.

- Co takiego?! - Marceli potoczył pianę z ust.

- Kura, ale bardziej szlachetna.

- Majka, chwila moment - wstał od stołu, zaczął nerwowo chodzić po salonie. - Zasadnicze pytanie. Nie chcę wyjść na skąpca...

- ... na którego właśnie wychodzisz - nie potrafiła się powstrzymać.

- A nie pomyślałaś nigdy, że może mam niższą pensję?! - Marceli eksplodował. - Szastasz kasą! Naszą wspólną! - Marceli zapalał już mentolowego vougue'a. Nie do wiary!

- Nie. Kupuję dobre rzeczy.

- A reszta ludzi je gówna i umiera? Bo jedzą jajka za dwa złote, zamiast za dziesięć? I piją mleko za trzy zeta?

- Spójrz na Azjatów! - Majka zakipiała. Ona też zaczęła nerwowo chodzić w te i z powrotem po kuchni, dla podkreślenia dramaturgii. Obcasy stukwały o kafle. - Azjaci jedzą soję i w zdrowiu dożywają późnej starości. A kobiety nie mają potem menopauzy! - wykrzyczała, pewna zwycięstwa w tej bitwie.

- Więc? - pytał zbaraniały.

- Więc i my, jedząc soję i inne zdrowe produkty, będziemy żyli dłużej. Jak Azjaci.

- Maja, a ty nie myślałaś o Noblu? - Marceli usiadł. Wypuścił równiutką smugę dymu i cedził z ironią, delectując się rewanżem, który szykował. - Wiesz, to rewolucyjna teoria. Oczami wyobraźni, widzę taką sytuację. Jeździsz po najbardziej prestiżowych uczelniach świata. A oto konspekt twojego wykładu. Teza główna: alkohol, narkotyki i papierosy nie mają wpływu na zdrowie, drodzy słuchacze. Pijcie, do upadłego. Palcie,

ile siły w płucach starczy. Raz na tydzień nie zaszkodzi kokaina - przeczyszczy wam układ oddechowy. Ale pamiętajcie - tu grzmisz surowo, aby nadać wagę zdaniu, które zaraz wygłosisz - pamiętajcie o dwóch rzeczach! Szklaneczka mleka sojowego dziennie! I jedno złote jajko od szlachetnej kury żółtodziubki pstrokatej, czy innej cholery! Dzięki tym magicznym specyfikom dożyjecie sędziwych lat w zdrowiu! Ocalenie w soi, drodzy państwo! - Marceli gasił papierosa, rozsmakowany w swoim odczycie przed jednoosobowym audytorium. - No, Maja, jestem pewien, że Instytut Karolińska na pewno doceniłby taki przełom w nauce - spojrzał na nią kpiąco.

- Wiesz co, masz rację - Majka wpadła na pomysł genialnie prosty. - Zrezygnujmy ze wspólnej kasy, tak będzie łatwiej - zaszczębiotała radośnie.

- Ale... czy to coś znaczy? Chcesz mi tym coś powiedzieć? - rezolutny Marceli raptownie wpadł w ton lęku.

- Tylko tyle, że nie chcę zmieniać swoich nawyków. Lubię mleko sojowe, nie będę też jadła jajek z chowu klatkowego, o którym ty, najwidoczniej, nie masz pojęcia - Majka perorowała ze swadą. - Szanuję twoje podejście, ale będę kupowała to, co lubię. Miejmy osobne kasy. Na wspólne kolacje będziemy robić zakupy na przemian. Tak będzie rozsądniej. Unikniemy awantur takich, jak ta teraz - Majka była zadowolona.

na z siebie. Proszę, **oto model nowoczesnego** partnerstwa.

- Dlaczego mnie krytykujesz? Nie ufasz mi? Czy mnie już skreślasz? - Marcelli był podenerwowany.

- Krytykuję? O czym ty mówisz? Po prostu chcę jeść takie jajka, które lubię! - Majka przecierała oczy ze zdumienia. Pięknie. Chęć wydania własnej kasy na jedzenie dla samej siebie podkopuje ego samca. Niebywale.

- Czyli nie możesz mi zaufać, że ja wybiorę dla nas to, co najlepsze? Czyli w najkorzystniejszej proporcji ceny do jakości? - Marcelli zapalił kolejnego papierosa. Nerwy miał w strzępach.

- Ufam ci, ale uważam - Majka mówiła wolno, nie wierząc, że ten dialog ma w ogóle miejsce - że skoro zarabiam na siebie, mam prawo jeść to, co lubię. I nie muszę się z tego tłumaczyć. Mamy jakiś problem?

- Jesteś nieodpowiedzialna. Koniec tematu - Marcelli zaciągnął się głęboko, niemal po koniuszki palców u stóp.

Tej nocy kochali się równie monotennie, co zwykle. Majka myślała o Dominiku. Z rozmowy o fantazjach pozostało w ich aktach tyle, że Marcelli czasem delikatnie ciągnął ją za włosy. Lecz natychmiast przeproszał.

Ulica Chmielna rozbrzmiewała śmiechem i gwarem rozmów. W porozstawianych na chodniku kawiarnianych ogródkach, nad kufkami piwa i karafkami wina tłumnie przesiadywali warszawiacy. Zmierzch zasnuwał niebo ciemniejącą szarością. Rześkie powietrze zwiastowało rychłą jesień. Marceli objął Majkę w pasie. Wychodzili z kina Atlantic.

- Wynudziłem się okropnie - wyznał.

- No coś ty? - Majce zrobiło się niemiło. To ona go zaprosiła. W ciągu seansu *Gdzie jest Nemo?* kilkakrotnie powstrzymywała łzy wzruszenia. - Dlaczego nie mówiłeś?

- Nie chciałem ci przeszkadzać, bo ciebie chyba wciągnęło.

- No pewnie. Piękna przypowieść. O miłości, przyjaźni, wolności.

- Przypowieść? Infantylna bajka. Kreskówka! Mogłaś mnie uprzedzić, na co idziemy.

- Myślałam, że ci się spodoba taka nieoczywista forma. Miała być niespodzianka.

- No i była - Marceli prychnął sarkastycznie.

- End nał, lot? Że sparafrazuję ostatnią scenę tej smiry - Majka też zakpiła. Stali już przy samochodzie.

Jakie to było piękne ujęcie: knujące intrygę rybki w akwarium wyswabadzają się nareszcie, a przedo-

stawszy się do oceanu, rozglądają się zagubione, niepewne i zadają pytanie metafizyczne: And now, what? I co teraz? Czy nie o to w sumie chodzi w historii ludzkości?

- Nie rozumiem - Marceli spojrzał na nią poważnie.

- Nieważne - Majka nie miała siły. Absurdalne poczucie humoru ich dzieliło. Pewnie ważniejsze rzeczy tworzą związek. Tak to sobie tłumaczyła.

- Pytam, co robimy.

- Zaczekasz chwilę w aucie? Skoczę po papierosy na wieczór.

- Jasne - Majka otworzyła drzwiczki i wsiadła do fiata punto. Marceli zniknął za rogiem.

Wyjęła z torebki komórkę. Żadnych wiadomości, nieodebranych połączeń. Schowała ją z powrotem. Rozejrzała się po samochodzie. Czysto, sterylne. Nie to, co w jej hondzie, gdzie kubek po kawie jeździ z nią przez pół roku, niczym zadomowiony pasażer, a kwity z parkometrów tworzą chaotyczny masyw górski na desce pod szybą. O, jakiś zeszyt na tylnym siedzeniu. No, niby nie powinno się czytać cudzych rzeczy, ale - nikt nie widzi? Majka rozejrzałam się, po czym sięgnęła. Otworzyła w miejscu, zaznaczonym zakładką. Podsunęła kartki pod samo okno, żeby padało na nie światło latarni. Jakieś wykresy? Przybliżyła notatnik, zmrużyła oczy, żeby lepiej widzieć. Tabelka. Co też ten Marceli tu powypisywał?

4- Premię przeznaczyła na zakup dzieł zebranych Arystotelesa, Platona oraz encyklopedię botaniczną. W sumie, tysiąc złotych.

5. Miała pasje. Poezję, taniec historyczny - średniowieczne bas-se dance, renesansową uoltę. I ciekawą pracę w instytucie biologicznym.

4. Za nagrodę w redakcji kupiła szpanerskie cd radio do sypialni. Choć ma już kino domowe. Niepotrzebne, lekkomyślne.

5. Nie kręci mnie świat babskich redakcji. Niczym się nie interesuje. Wraca do domu i przy-nudza przy kolacji. „Jed-na pani drugiej pani”.

LUDMIŁA

i. Długie blond włosy, o złotym odcieniu. Bardzo kobiece.

2. Nie czepiała się każdego słowa. Spokojna.

3. Słuchała dobrej muzyki. Godzinami dyskutowaliśmy o brzmieniu stradiuariususa, muzycznym wykonaniu sonetów Petrarki.

M.

1. Kasztanowy kucyk. Typ: zbuntowana dziewczyna.

2. Pyskuje. Krnąbrna. Męcząca.

3. Nie rozumiem jej wyborów muzycznych. Jakiś jazz, afrykańskie bębny, azjatyckie piszczałki, tamburyny Eskimosów. Belkot.

Wszechstronna, z wyzwaniami.

6. Idealna proporcja talii do bioder. Rysy twarzy nie idealnie regularne, ale całość sylwetki przyjemna dla oka.

7. Rodzina z małego miasteczka, bez intelektualnych korzeni.

8. Seks... rzadko. Ale czy to takie ważne?

9. Czuję, że mogę jej pomóc. Doradzić. Czerpała z mojego doświadczenia i wiedzy.

10. Fascynowała mnie.

Nużące. Jałowe. Niestymulujące intelektualnie.

6. Ładna twarz. Szczupłe kostki i przeguby rąk. Zbyt wypukłe pośladki. Tendencja do tycia. Jeszcze nie rozwinięta, ale w przyszłości być może nieapetyczna.

7. Warszawska rodzina inteligencka.

8. Częsty seks. Wciągu kilku tygodni przeżyłem z nią więcej, niż z Ludmiłą w ciągu wielu lat. Odważna. Wyuzdana?

9. Czuję się niepotrzebny.

10. Seks to najmocniejsza strona.

Majka zamknęła notes. Prześlizgnęła językiem po koniuszkach warg i zlizwała słone łzy, strumieniem spływające jej po twarzy. Po drodze zgarnęły ze skóry fluid, puder oraz brud z całego dnia. Z trudem łapała oddech. Serce łomotało, oszalałe. Ciało rozszarpywały wewnętrzne spazmy. Rozedrganymi dłońmi, wydarła kartkę z końca zeszytu. Pospiesznie nabazgrolila to, co chciała powiedzieć Marcelemu. Świstek wsadziła na stronie z tabelką. Położyła zeszyt na siedzeniu kierowcy i wybiegła.

Biegła przed siebie. Rozświetlone neonami i latarniami wieczorne miasto traciło kształt w opończy lez, która zasnuwała jej oczy. Migwały kolejne rozmyte, pozabawione konturów ulice i place. Wbiegła do pierwszego z brzegu tramwaju. Skrzyżowanie Marszałkowskiej z Alejami Jerozolimskimi. Koszykowa. Słyszała tylko dudnienie serca, które rozdzierało ją rozpaczą. Plac Konstytucji. Plac Zbawiciela. Zatrzymała się przed kinem Luna. Ledwo oddychała.

- Jest jeszcze jakiś seans? - przy kasie starała się zabrzmieć normalnie, ale zaskrzeczała chrypliwie. Jakżeby inaczej. Pociągnęła nosem, szybko zamrugwała powiekami, aby powstrzymać płacz.

- Zaraz, sprawdzam - blond ondulacja z pretensją podniosła się znad biurka i posiała jej nieufne spojrzenie.
- Jakąś *Głową w mur*, na godzinę dwudziestą drugą. Za pięć minut.

- To jeden poproszę.

Majka zajęła miejsce **pośrodku sali**. **Prócz niej**, siedziały dwie pary. Zawyla bezgłośnie.

Marceli szedł zadowolony. Smakował papierosa. W torbie z Trafficu, do którego wstąpił po drodze niósł psalmy Strawińskiego, *Mass Cantata*, część szóstą. Od dawna chciał ją kupić. To sobie posłuchają wieczorem! I zapomną o tej kretyńskiej bajce, na którą wyciągnęła go Majka, nie wiedzieć po co. On jej opowie o muzycznej genezie psalmów, odmaluje drogę twórczą kompozytora, nakreśli pokrótce jego główne inspiracje. Sporo wiedział o Igorze Strawinskim i wiedzą tą zamierzał się podzielić z sympatią. Doszedł do samochodu. Dziwne. Nie ma Majki? Marceli spochmurniał, nieswój. Chwycił za klamkę, pociągnął do siebie drzwi - otwarte? Czy ona oszalała, zostawiać samochód w centrum miasta?! Marceli się rozeźlił. Wściekły, z impetem usiadł i zatrzasnął drzwiczki. Niefrasobliwa! Lekkomysłna! A nawet - nie, nie będzie już bał się tego słowa - kretyn-ka! Wtem odczuł twardy przedmiot pod pośladkiem. Uniósł się, dobył coś spod spodu. Pamiątnik! Marceli nie dowierzał. Co też on tutaj robi! Spomiędzy kartek sterczał świstek papieru. Wzburzony Marceli poń sięg-

nał. Wyjął. Krople potu zrosiły mu czoło i kręgosłup.
Zacisnął dłoń. Paznokcie wbiły się w śródreżce, niczym
igły-

Na świstku widniało jedno słowo.

SPIERDALAJ.

Marceli zemdlął.

O drugiej w nocy Majka wpatrywała się zapuchniętymi, czerwonymi oczami w monitor maca. Otworzyła drugą butelkę wina. Pierwsza stała obok, pusta. Saperavi. Pyszny szczep. Gruziński. Proszę, warto jednak czerpać z kultury kaukaskiej. Weźmy takich Gruzinów. Piją na umór od zawsze. A ile w nich energii, ducha przemian, chęci odnowy! Gruzińskie wino nie może być niczym złym zatem. *Głowq w mur*, film o dzielnej Turczynce, która wyzwala się spod jarzma patriarchatu, nastroił Majkę wojowniczo. Ona też się nie ugnie. Ona też pokaże im wszystkim! Hołocie mięczaków! Impotentów! Upiła solidny łyk z kieliszka. Weszła w pasek narzędzi. Kliknęła: rysuj tabelkę. Ile okien? Policzmy: bez Rumcajsa i Gucia. Oni to jednak co innego.

	Akcja	Ocena jakości	Pożegnanie	Happy end
ROMEK		Trudno stwierdzić. Działo się zwykle po pijomości, Trudno stwierdzić. Działo się zwykle po pijomości, ale chyba bez rewelacji. Przeciętniak. Rozmiar M.	Koleżeńskiego widzenia" na lotnisku. Jak to po wakacyjnym romansie.	Wisi i powiewa.
BZYK CYTRYNKA	Po tygodniu.	Zero przyjemności, zero orgazmu. Afera o prezerwatywę. Pejczce, wibrator. Onanista. Krypto gej. Błazen. Rozmiar XS.	Kretyńska wymiana esemesów. Strata: dwie cytryny. Dupek, egocentryk.	Totalne cieniactwo.
BZYK SKARPETKA	Po ponad dwóch tygodniach.	Nieźle, ale zbyt długo. Sprawny ustnie. Krypto impotent. Rozmiar M/L.	Jeden telefon i milczenie. Odziedziczony stan odzieży: okulary Armani (wywalone) oraz przetarta na pięcie skarpetka (też wywalona).	Niesmak.
BZYKMAC	Poprawie trzech tygodniach.	Fajnie, że dużo orgazmów. Nie fajnie, że wibrator w prezencie. Rozmiar XL (ale nieXXL,jakmu się wydaje).	Niespodziewana cisza. Ale: można go spotkać co kwadrans na portalu. Choć sobie zabroniłam, sprawdziłam raz (no może kilka).	Szkoda... Bardzo.
MARCELI	Po miesiącu.	Przykładnie. Bardzo się starał. Bez wzlotów. Chyba kręcił go sam fakt, że uprawia seks. Rozmiar L.	Kwas i cisza. Przez odkryte tajne tabelki. Reakcja: „spierdajaj”. Oraz: w tym momencie, tj. o godz. 2.47 w nocy, po rozstaniu - pięć nieodebranych połączeń. Których już nigdy nie odbiorę.	Żal. Ale też ulga.

Majka spojrzała na tabelki. Uśmiechnęła się do samej siebie. Wniosek pierwszy: coraz dłużej zajmowało jej pójście do łóżka. Brawo! W nagrodę dołała sobie kolejny kieliszek. Wypiła. Wniosek drugi: wobec żadnego z nich nie żywiła głębszych uczuć. Ba, żadnych! Więc co z nimi w zasadzie robiła? Z tym pytaniem na ustach, chwiejnie odeszła od biurka. Położyła się w ubraniu na łóżku. Tyle byzków i prawie żadnej frajdy... pomyślała jeszcze mgliście, zanim zasnęła.

Kuracja Mamona dobiegała końca. Pobladła, osłabiona nie straciła jednak włosów, co wcześniej było jej największą obawą.

- Nastawisz radio? - Mamon zdejmowała w przedpokoju czarne botki, wkładała błękitne espadrille. - Bo tak jakoś cicho.

- Pewnie, zaraz - Majka zrzuciła czerwone kozaki, stanęła na wykładzinie w koronkowych, czarnych kabaretkach. Niedawne rozstanie z Marcelim nadal wprawiało ją w markotny nastrój. Nie odbierała jego telefonów, nie odpisywała na uniżone esemesy, z których w jej odczuciu przebijała desperacja i lęk przed samotnością, a nie tęsknota za nią.

- Weź kaptcie - rzuciła Mamon.

- Nienawidzę kaptci. - Kamienne kafle podłogi przebiły chłodem przez siatkę kabaretek na stopach, kie-

dy Majka wmaszerowała do salonu. Poruszyła pokrętle kina domowego. Rozbrzmiało Jazz Radio. Usiadła w skórzanym fotelu. Podkulila kolana pod brodę. U Mamona i Pajona czuła się zawsze bezpiecznie, spokojnie. Przynajmniej przez pierwszy kwadrans.

Mamon dzierżyła w dłoni kieliszek z koniakiem. Złowieszczo. Koniak Mamon przypisywała chwilom doniosłym. Stała niezdecydowana, czy usiąść na kanapie, czy przy stole jednak. Wsunęła palec serdeczny, po chwili cofnęła go energicznie. Szkło z metalicznym łoskotem odbiło metal obrączki.

- Maju, ty nie pijesz? Prowadzisz? - Mamon postawiła kieliszek nad kominkiem. Pytanie było retoryczne i wyzywające.

Czy Majka nie pije? Kieliszek dobrego koniaku? Na poprawę krążenia? Zawsze.

- No, tak odrobinę. Porcja dla kierowcy.

Mamon podeszła do barku.

Esemes. Majka sięgnęła do kieszeni marynarki. „Lubisz tiramisu? Znalazłem noc. W Rzymie. Calu-ję. D.”

Rzym? Potem odpisze.

- Wiele razy się zbierałam... - Mamon zasiadła wśród kwiecistych poduch na kanapie w paski.

- No, coś z ojcem? - Majka upiła łyk. Mniem! Ależ to dobre.

- Tak jakby - Mamon sączyła, wpatrzona w wygaszone palenisko za szybą.

- Chcecie się rozwieść?! - Majka uniosła głos. Przypomniała sobie westchnienia Mamona z ostatnich lat, kiedy zaczynała (w domyśle) poważną rozmowę, a kończyła urywając w pół słowa.

- Myślisz, że miałabym jeszcze szanse? - Mamon się roześmiała.

- Czyli? - Majka usiadła. Sztywna i wyprostowana, założyła nogę na nogę. Przybrała pozycję: srogi mentor.

- Czasem w życiu są bardziej skomplikowane sprawy, niż rozwód - Mamon dopiła do dna. I wstała nalać sobie kieliszek kolejny.

Chwilowa przerwa w rozmowie, wymuszona czasem dojścia do i od butelki, przepełniła Majkę niepokojem.

- Doskonale wiesz, że twoja siostra umarła tuż po porodzie - Mamon usiadła.

Siostra. Nigdy niedopowiedziana historia rodzinna. Kiedy po raz pierwszy ją usłyszała? Była jeszcze dzieckiem. Dwu? Trzyletnim? Któregoś razu na spacerze w obcym parku rodzice powiedzieli, że tym razem odwiedzają siostrę. I położyli kwiaty na ziemi. „Gdzie jest?” spytała Maja. Wytłumaczyli. Siostra lata. Urodziła się i postanowiła, że chce fruwać między gwiazdami. Prosto ze szpitala wzięła i poleciała. Taki był z niej łobuz, taki urwis! Majka pamięta, że się wtedy roześmiała. Rodzice opowiadali dalej. Że mają tajemniczy system znaków. Ona mówi co u niej, a oni w tym

specjalnym miejscu składają kwiaty i mówią, co u nich i u Mai. Majka zaklaskała. Zrozumiała. Siostra w śpiochach i ze smoczkiem lata jak rakieta w bajce. Taka siostra bardzo jej się wtedy spodobała.

- Pochowaliśmy Zużę - Mamon wypła do dna.

- Zużę? - Majka zadygotała.

Zuza? To ona miała imię?

- Tak. Nie chcieliśmy cię tym obciążać. Co roku jeździmy na jej grób.

Majkę przeszły zimne dreszcze. Trwoga mieszała się z zazdrością. Mieli przed nią sekret. Kogoś tak samo kochali. I nie powiedzieli. A może bardziej?

- Dlaczego umarła? - spytała głosem nadwyrężonym od koniaku i nerwów. Konia z rzędem za papieros, ukojenie w niepaleniu.

- No właśnie, w zasadzie o tym chciałam z tobą porozmawiać - Mamon nalewała sobie już trzeci kieliszek.

„W zasadzie o tym”? To będą jeszcze niespodzianki?

- Zuza była bardzo chora. Genetycznie. Jak się okazało.

- Nie wiedzieliście wcześniej, że jest zagrożenie?

- Nie, wtedy nie było powszechnie dostępnych badań prenatalnych - Mamon złagodniała. - Cały czas mówimy o czym innym. Rzecz w tym, że potem, po Zuzi, bałam się mieć drugie dziecko.

- Ale... przecież potem ja się urodziłam? - Majka nie nadążała za tokiem rozumowania.

- Tak, właśnie. Nie domyślasz się?

- Nie... - zbaraniała.

- Maja - Mamon stała już przy barku i nalewała sobie czwarty kieliszek. - Wiesz, że kuzyn ojca też był chory genetycznie?

- No, coś tam słyszałam - przerażona, nie dopuszczała myśli, która już kielkowała.

Mamon z powrotem usiadła.

- Rodzina ojca była obciążona - Mamon mówiła wolno. Prawie deklamowała.

-No i...

- Pamiętasz Jean Jacques'a? Tego profesora, geologa?

Czy pamięta Żążaka, też pytanie! Tak go zawsze nazywała, upraszczając to dziwne imię. Które dziecko zapomniałoby paczki, przysyłane co kilka miesięcy z bajkowymi skarbami? Twardą czekoladą Toblerone. Mleczną milupą. Słodkimi brzoskwiniami i ananasami w puszcze. Pachnącym szamponem Johnson's. No, a potem najprawdziwszymi dżinsami Levis i obłędnie kolorowymi t-shirtami Benetton z bawełny, których zazdrościły jej wszystkie dziewczyny z klasy, spocone wkremplinie. Czy pamięta Żążaka! Dzięki niemu pokój Majki w szaroburym bloku z wielkiej płyty raz na kwartał przeistaczał się w lepszy świat, w pachnący zacho-

dem Pewex. Żążak to był zagraniczny wujek dobrodziej. Wiele rodzin miało ich wtedy. Z Mamonem znali się od lat, z czasów współpracy między instytucjami. Jako eksperci, regularnie spotykali się na zjazdach geologów i serdecznie kolegowali.

- On jest twoim biologicznym ojcem.

„Chere Basia" litery skakały Majce przed oczami. Siedziała po turecku pośrodku pokoju. Parkiet trzeszczał za każdym poruszeniem poślądka. Przytrzymując papieros, tak by popiół nie spadł na deski, dołała sobie wina do stojącego na podłodze kieliszka. W drodze od rodziców z Konstancina przejechała przez sklep całonocny. Kupiła dwie butelki. Oraz paczkę papierosów.

„Je suis content que tout aille bien"* - Majka czytała z trudem. Spojówki zbierały łzami. „Et Maja, comment va-t-elle apres son anniversaire? Est-ce-que la fetę s'est bien passee?"** Spojrzała na datę w prawym, górnym rogu. Piąte urodziny. Paczka z tamtej okazji była fantastyczna. Prócz słodczy, dostała wtedy Barbie z rodziną w willi z basenem.

Wyjęła kolejny list z koperty. Mamon wahała się, czy je jej pokazać. Majka nalegała. Chciała się dowie-

* Cieszę się, że wszystko w porządku.

** Jak się miewa Maja po swoich urodzinach? Czy impreza się udała?

dzieć. Czegokolwiek więcej. Nie co dzień przeżywa się domowe trzęsienie ziemi o sile dziesięciu stopni w skali Richtera. Zuza. Jean Jacques. A gdyby tak teraz kucnąć w kącie? Krzyknąć „zamawiam!” i przerwać czas? Być nigdzie? Zniknąć na trochę? A potem wysłać kruche serce do sanatorium na turnus dla kuracjuszy z przepaloną wrażliwością? Rehabilitanci w białych kitlach zaczęliby od zręcznego omiecienia zalegających popiołów, wygarnięcia skawalonych hałd bólu. Następnie przeszliby do etapu: odbudowa konstrukcji. Śmigając igłami, z przewleczonymi krwawymi nićmi, szyliby splekaną strukturę, łączyli porwane połączenia między naczynkami. W kolejnej fazie rewitalizacji precyzyjnie umieściliby rumiane soczyste krwinki w zwęglonych kraterach, wyrwach po erupcji niechcianych miłości. Etapem ostatnim byłoby oczywiście nawodnienie, a przez to - uszczęśliwienie serca. Tu rehabilitanci rozwinęliby skrzydła. Po pierwsze, zainstalowaliby system nawodnienia wewnętrznego, które w rytm bicia organu wytryskałoby strumieniami hi-tech radości. Po drugie, węzami ogrodowymi zraszaliby pulsującą powierzchnię. Ba, ale czym zraszali! Tylko wodami zdrojowymi, mieszkanką Jana i Żubra! Jest pewne, że po dwóch tygodniach turnusu zregenerowane serce opuszczałoby Ciechocinek impregnowane na życie.

Majka głęboko zaciągnęła się papierosem. Powoli wypuściła dym, który powędrował prosto nad mordę Ba-

zylego, zwiniętego na kanapie. Pies nie drgnął. Patrzyła na rozrzuconą na podłodze korespondencję. Pierwsza koperta datowała się na pół roku przed jej urodzeniem. Ostatnia była sprzed lat pięciu. Oto przewaga nieekologicznego papieru nad Internetem. Za dwadzieścia lat dzisiejsze córki nie swoich ojców nie odtworzą matek romansów, z których zostały poczęte. Nie ma skrzynek o pojemności miliard giga bajtów, która pomieściłaby e-maile z ćwierćwiecza. Pisali do siebie przez tyle lat... Heloiza i Abelard współczesnej geologii.

Gardło ścisnęło, piekło. Wydrążona od środka, niczym próżnia, Majka pluła do wewnątrz rozżarzoną bólem. Pustka i pełnia, paradoks cierpienia.

Położyła się na podłodze, utulona do snu drugą butelką.

Obudziła się w tym samym miejscu, w którym spędziła wieczór. Pośrodku salonu, wśród listów.

Włączyła telewizję BBC World, nastawiła ekspres do kawy. Weszła pod prysznic. Strugi ciepłej wody i korzennosandałowa woń olejku do mycia ciała, który właśnie pieniał się na jej skórze, przywróciły na chwilę poczucie ładu. Minęło ono już dawno, kiedy wycierała się puszystym ręcznikiem z aplikacją Carre Blanc. Czuła się jak puzzel z roztrzaskanej układanki. Nie miała

Rozdział ósmy, w którym Majka dostaje gwiazdkę z nieba

-Tylko hifek? - pielęgniarzka rezolutnie krzątała się przy parapecie, pulchniutką łapką gmerała w stosie opakowań z igłami.

- Wystarczy - Maja siedziała na stalowym białym stołku, podwijała rękaw bawełnianej koszuli i patrzyła na strzeliste sklepienia Łorsoł Sity za oknem.

- A co pani, dziecko, taka blada. Mdleje pani? - pielęgniarzka zacisnęła gumową żyłkę nad łokciem i oklepywała zgłębienie, czekając, aż będzie można się wkuć. Ledwie widoczna fioletowa witka z wolna nabrzmiewała krwią.

- Nie. Tylko mi lekko słabo. Śniadania nie jadłam. Bo chyba nie wolno przed pobieraniem krwi - Maja odwróciła wzrok w stronę drzwi.

- Dziecko! - pielęgniarzka ubawiła się serdecznie. - Trzeba było kawkę wypić, śniadanko zjeść! W tym przypadku wyniku nic nie zmienia!

Tak. Dobrze, że to przypomniała. Aua!

- Już, już idzie, spokojnie dziecinko.

- Odbiór wieczorem? - Maja przyciskała wacik i zginała rękę, drugą sięgając po torebkę. Fajny ten longchamp. Tysiąc na przecenie da się jakoś przeżyć.

- Tak. Po dziewiętnastej w recepcji.

Która godzina? Majka spojrzała na swój rado. Mi-mowolnie, w myślach zamajaczyła twarz Rumcajsa. Siedziała w kawiarni nieopodal Marriottu i łyżeczką na długiej stalowej nóżce wyjadała białą, spienioną czapę kahlua caramocca. Poranne, letnie promienie załamowały się na framudze drzwi i nieśmiało wpadały do ciemnego wnętrza, niknąc w bordowym pluszu ściennych obić i dymie z papierosów. Plus, minus. Plus, minus. W końcu się zebrała. Potem przyjdzie pora na telefon do Paryża. Odkładała obie decyzje w nieskończoność, choć ją zameczały. Pora wziąć się z nimi za bary. Wyjęła kalendarz. Punkt pierwszy, zamaskowany literami B.H., od badań i od HIV - odhaczony. Jaki dziś rozkład jazdy? Zobaczmy. O rany! Pedikiur! Przed redakcją! Zapomniała! Przez to cholerne badanie! Pospiesznie rzuciła dziesięć złotych na stolik i w popłochu wybiegła z knajpki.

- Jest pani za późno, ale proszę. Chociaż panią na moczę - pani Marzena była naburmuszona. Stukając drewniakami poprowadziła Majkę przez sklep do salo nu na zapleczu, usadowiła w jednym z kilku gabinetów i podetknęła pod stopy miskę z elektrobąblami.

- Nic nie ma! I z czym mi tu pani Maja na pedikiur przychodzi? - fuknęła pani Marzena z nosem nad bąblami i energicznie przerzuciła piętę Majki z ręki do ręki.
- Co ja tu zdaniem pani Mai mam zrobić, he?

- Nie wiem, przepraszam - fakt namoczenia unie-możliwił już Majce odwrót.

- Wie pani, ile kosztuje ryba smażona w Sopocie? - po chwili udobruchana już czymś pani Marzena wprawnie śmigła pilniczką, nad którym trzęsła rudym lo-kiem. - Zdzierstwo!

O pani Marzenie Majka wiedziała już wszystko. Wie-działa o mężu, o córce, o koleżankach, dziesięciu ostat-nich wakacjach, o pracy męża, o tym, co pani Marzena sądzi o pracy w sobotę, i o tym, co mąż o tym sądzi, wie-działa, co pani Marzena sądzi o pracy Majki, co sądzi także o pracy Majki byłego męża i o tym, co o niej Maj-ka sądzić powinna.

- Pani Maja dzisiaj nie w sosie - zawyrokowała na powrót nadąsana pani Marzena, bo i faktycznie Majka nie okazała entuzjazmu należnego smażonej rybie.

- Nie, tylko śpiąca.

- Ja też, pogoda. Ciśnienie. Mąż dzwonił, że też. No dobrze, dobrze, widzę, że nam tu pani Maja zasypia. Już daję spokój.

Nareszcie. Cisza. Spokój. Szum elektrobałbi. Żad-nych zapracowanych mężów, zdolnych, ale leniwych dzieci, dawnych romansów, udanych urlopów i fanta-

stycznych sklepów. Tak. Dzisiaj nie mamy ochoty na talk-show. Dzisiaj kumplem jest cisza. Plus, minus. Plus, minus. Ruletka. Ciekawe, jakie to będzie uczucie. Ciekawe.

- Lakier czy odżywka?

- Odżywka. Bezbarwna - Majka wróciła myślami na fotel.

- Kiedy nam pani Maja dorośnie w końcu do lakieru, kiedy, pytam - pani Marzena kwękała i sunęła krwistoczerwonym paznokciem po rzędzie równo ustawionych flakoników. - Kiedy frencza pani Mai zrobimy, kiedy, pytam.

- Osiemdziesiąt pięć złotych - pani Marzena zafurkotała kasą, stały już z powrotem w sklepie.

- Do widzenia! - Majka prześliznęła się przez zasłonę kolorowych szklanych paciorków, nad którymi powiewały pastelowe motyle z bibuły. Zmysł artystyczny pani Marzeny znajdował ujście nie tylko na płycie paznokcia.

Kawa? Koniecznie. Ruszyła niespiesznie w stronę Coffee Heaven. Warszawa krzątała się swoim codziennym rytmem skołatanych nerwów i pościęciem za czasem, który mijał. Plus, minus. Plus, minus. Ten dzień jakoś wolniej płynął.

- Latte na chudym na wynos - Majka wyjęła portfel.

- Latte na chudym na wynos! - poniosło echo, czyli kelner. - Syrop smakowy bez cukru? Ciasteczko z bio uprawy?

- Nie, dziękuję - plus, minus. Plus, minus.

- Jest dramat z opiekunkami. Dramat - Sindirella siedziała na biurku przechylona do tyłu, wpatrzona w czubki swoich skórzanych szpilek. W tygryska za jedyne trzy trzysta. W Metropolitanie trudno utrafić coś taniej. Majka weszła do redakcji, dopijając kawę. Na podłodze rozbebeszały się torby, a z nich niedbale wylewały ciuchy i od niechcenia wystawały metki: Burberry, Lanvin, Chloe. W lajfstajlu luksus wala się po kątach, w lajfstajlu luksus to jest jednak norma. Zaraz, od kiedy Sindirella ma dziecko???

- Poza tym Frantz jest wybredny i nie pójdzie z każdym na spacer - Sindirella sięgnęła po szklanekę wody. Dziennie wypijała ich piętnaście.

Aha, mówi o psie. Ukochanym sznauercze miniaturowe. Faktycznie, ostatnio wszystkich w redakcji wypytywała o psie hotele, panie do spacerów oraz panie psycholożki. Sindirella dostała bowiem nieoczekiwanie Frantza w prezencie - Romans miał gest, ale Romans zapomniał, że Sindirella posiada już kota. Ukochanego Eustachego, za tysięcy siedem. Romans był rokujący, Sindirella pokochała więc Frantza. Od czterech miesięcy Eustachy nie wychodził spod łóżka. Toteż Sindirella miała w domu kłopoty: dwie zwaśnione frakcje.

- Szczęśliwie znalazłam behawiorystkę. Wczoraj mieliśmy pierwszą lekcję - Sindirella od dłuższej chwili przyglądała się metce Laurel. Zaczepne wdzianko

krzyczało do Sindirelli: „bierz mnie, maleńka, bierz!” - Behawiorystka poleciła mi kupić feromony dla Eustachego. Uspokajające. Kapitalna rzecz. Podłączasz je do kontaktu, zamykasz drzwi do sypialni i zostawiasz w niej kota. Z kontaktu wydzielają się eteryczne olejki relaksujące, a kot nimi nasiąka. Czy tego chce, czy nie. To nasza praca domowa przed drugą lekcją: olejkami wyciszyć Eustachego wewnętrznie. - Sindirella odsta- wiła pustą szklankę. - Ken, zapytasz, jakie mają zniżki? Czterdzieści procent. - Sindirella wskazała na żakiet w odcieniu beż.

Ken pomknął do telefonu. Dobry stylistka ma w takich sprawach swój nolhał.

Majka skończyła właśnie czytać maile: zapraszamy na trening asertywności, do Warszawy przyjeżdża mia- steczko Formuły Jeden, przesyłamy materiały o naszym nowym, wspaniałym tosterze.

Mail od Dominika. Sprzed godziny.

„Dzień dobry, czy myślisz o tym, co ja? La Dolce Vita? Szampan, tiramisu i Rzym?” - Majce załopotalo szybciej serce. Wspólny wyjazd to już nie biurowy seks. I nie ma nawet z kim przegadać sprawy! Tola zamilkła na Skype'ie. Gosia orbitowała w miłosnym kosmosie naprawy związku.

„Uwielbiam tiramisu. Ale muszę jeszcze pomyśleć, czy tym razem mam ochotę je zjeść” - proszę, jaki pięk-

ny eufemizm. Zostawiamy uchylone drzwi, nie mówimy „nie”. Wysłała odpowiedź.

Weszła na www.pudelek.pl. Czas na poranne wiadomości. Kto kogo porzucił, kto zdradził, a kto bierze ślub. Plus, minus. Plus, minus. Pora na papierosa. Może nie pora, ale - jest chęć.

Parne powietrze stało w miejscu, niebo chmurzyło się burą szarością. Zanosiło się na deszcz. Majka szła na piechotę i pod prąd - sznur samochodów w Alejach Jerozolimskich włókł się w przeciwną stronę. Kierunek: weekend. Warszawa jedzie taplać się w mazurskich jeziorach.

Spojrzała na zegarek. Dwudziesta dziesięć. Koperta już tam jest.

Wyjechała ruchomymi schodami z podziemi. Jeszcze kilkanaście metrów. Czy od tej pory Marriott zawsze będzie jej się kojarzył z tą chwilą? Komu powie pierwszemu? Bo komuś przecież powiedziec będzie trzeba. Rumcajs? Gucio? A może nikomu? Jaka to będzie emocja? Czy świat się nagle usunie? A może wpadnie w histerię? A może znikną myśli i słowa? Albo inaczej: wcale to do niej nie dotrze i jak gdyby nigdy nic, pójdzie na imprezę?

Pik. Dziewiąte piętro. Chromowe drzwi windy rozwarły się bezszelestnie. Uf. Pusto. Nie ma ludzi.

- Nazwisko? Badania? A, tak, tak, już widzę - dziewczyna w recepcji spuściła wzrok, speszona. - Już daję - kliknęła w klawiaturę komputera, a drukarka obok zaczęła elegancko szumieć.

Jak to? To ona ten wynik tak sobie zwyczajnie drukuje?

- Proszę.

Maja złożyła kartkę, nie spoglądając na litery. Odeszła kilka metrów. Plus źle, minus dobrze, plus źle, minus dobrze, powtarzała niczym mantrę, żeby się nie pomylić. Usiadła w wygodnym, skórzanym fotelu. Komfort pacjenta w prywatnej służbie zdrowia jest jednak spory.

Spojrzała. Imię, nazwisko. Rodzaj badania. Zgadza się.

Tak, świat jednak zamiera.

Wynik.

Maja patrzyła. Patrzyła. Patrzyła. Przysunęła kartkę pod sam nos. Tak - dobrze widzi.

To... jest... gwiazdka. G w i a z d k a .

Zrobiło jej się słabo, nie mogła przełknąć śliny. Oparła policzek o miękkie wezgi fotela. Gwiazdka.

Galop. Próżnia. Pęd. Natłok. Wszystko w jednym ułamku sekundy. Wszystko naraz.

Gwiazdka jest bardziej podobna do plusa. Ewidentnie. Ale plusem nie jest.

Czy można mieć trochę hifa?

Czy oni ocipieli???!!!

- Jak mam rozumieć ten wynik? - Majka podała kartkę dziewczynie przy komputerze.

-No, jak to, jak to, no.... o Jezu, o Jezu! -Klawiatura stukotała. - Jezu. Przepraszam. Bo ja tu chyba pani przeciwciała z żółtaczką wydrukowałam. Bo wczoraj miała pani robioną żółtaczkę?

- Miałam.

- Tamten wynik jest w gabinecie, u lekarza. Pokój numer trzy. Jezu. Przepraszam.

Pani wzięła i pomieszała badania. Wielkie nieba, czemu tu się dziwić? Kto powiedział, że po teście na HIV człowiekowi należy się jasna odpowiedź?

Maja zapukała do trójki.

Pluton egzekucyjny miał kitel, a pod nim czerwoną koszulę i różowy krawat.

- Pani siada - sięgnął po kopertę. - Teraz otworzę i przeczytam wynik badania.

Wyjął. Przeczytał. Ale nie Mai.

- Z jakiego powodu był robiony test?

- Profilaktycznie. - Świat jakoś znów stanął.

- Wynik prawidłowy. Jeśli zachowanie ryzykowne miało miejsce mniej niż trzy miesiące temu, za trzy miesiące proszę powtórzyć badania.

Ulga? Nie. Lekkość anioła!!! Majka się unosiła i pękała. Gwiazdka! Ale jaja!!!

Nie może się nie udać. Przygotowała się perfekcyjnie do odegrania tej sceny. Przemyślała każdy detal. Na biurku przed sobą rozłożyła dwie kartki. Ta z prawej strony służyła podpowiedzią, jeśli to on od razu odbierze. Ta z lewej przewidywała kluczowe słówka scenariusza, gdyby odebrała żona.

Telefon stacjonarny działał już od wczoraj. Założyła go specjalnie na tę okazję, aby wyeliminować ryzyko niknącego zasięgu w rozmowie. A przecież z redakcji w takiej sprawie nie zadzwoni.

Wystarczyło wybrać numer. Przedstawić się i spytać. Kilka zdań, nic wielkiego. Potrafiła zrobić test, a teraz siedzi od godziny przed tym telefonem! Majka rozeźlona na samą siebie spojrzała na zazielenioną koronę topoli. Męska decyzja. Akcja! Chwyciła słuchawkę, pospiesznie wybrała połączenie. Już. Dzieje się. Już nie boli.

- Halo?

Kartka po lewej stronie.

- Halo? Bonjour, ici Nathalie **Dauphain**, je suis etudiante du professeur...*

* Dzień dobry, mówi Nathalie Dauphain. Jestem studentką profesora...

- Un moment, s'il vous plait* - Maja usłyszała, jak kobieta odkłada słuchawkę na stolik. - Jean Jacques! - poniosło echo po paryskim domu. - Cest a toi, une etudiante!**

Jest w domu.

Jean Jacques siedział akurat w swoim gabinecie, zamysłony. Głos żony wyrwał go z zadumy, w którą czasem popadał ku jej irytacji. Zapadnięty w wytartym pluszowym fotelu przerosił wzrok ze ściennej biblioteki, swojej chluby, na fasadę kamienicy za oknem, statecznie pyszniąca się elegancją XVI dzielnicy. Studenci, studenci... Coraz częściej drażnili go tą swoją amerykańską bezpośredniością - telefonami do domu. Ale to dzięki nim wciąż miewał chwile młodzieńczej wręcz radości i zapału. Starał się więc hamować w gniewie. Zresztą, jakie to starcze, zrzędzić i utyskiwać! Przekonawszy w mig samego siebie, że cieszy się na rozmowę z kolejną studentką, Jean Jacques poderwał się z fotela. Rozgarniając stertę papierzysek, teczek i wycinków sięgnął po schowany pod nimi aparat na mahoniowym biurku.

Majka usłyszała trzask odkładanej słuchawki. Chwilę potem odezwał się męski głos.

-Qui?

- Bonjour. Je ne suis pas votre etudiante...***

* Proszę chwilę zaczekać.

** Studentka do ciebie!

*** Dzień dobry, nie jestem pańską studentką...

Poszło. Majka mówiła z drzeniem, ale płynnie. Nie przerywał. Zanim przeszła do celu rozmowy, wyjaśniała wszystkie jego możliwe pytania. Tłumaczyła się niemal. Matka powiedziała jej dopiero teraz. Pokazała listy, adresowane do Instytutu z Sorbony. Na kilku kopertach był też inny adres. Majka ustaliła numer. Matka nie wie o tym telefonie. W końcu, nie zdążyła nawet pomyśleć, że to teraz, kiedy pytanie zadało się samo.

- ... j'aimerais bien vous voir, je peux venir a Paris. Et vous?*

Cisza po drugiej stronie. Przyspieszony oddech. Westchnienie.

-No, Maja.

Trzask słuchawki.

I koniec.

Majka zastygła. Odłożyła słuchawkę. Przeszyło ją zimno. Chwilę potem uderzyło gorąco. Emocje i myśli uciekły. Nic nie myślała. Nic nie czuła. I nagle zapiekło. Mocniej, i mocniej. Gorycz zaczęła palić od środka. Lawa, zamiast wylać z serca, cofała w jego głąb. Ogniem porażała nerwy aż po krańce.

Bezwiednie Majka wstała w końcu. Sprawdziła jeszcze czas połączenia. Dwie minuty piętnaście sekund.

W dwie minuty piętnaście sekund można powiedzieć wszystko, co najważniejsze w życiu oraz zostać odartym ze wszelkich złudzeń.

* ... chciałabym się z panem zobaczyć, mogę przyjechać do Paryża. A pan?

Zapaliła papierosa. Zaciągnęła się wolno. Nie potrafiła rozplakać się, krzyknąć. Drgała. Całym swoim systemem nerwowym. Zanim się spostrzegła, żar z końcówki sparzył jej paznokiec. Opadły na blat popiół tworzył na nim poszarzały kopczyk.

„No, Maja” cięło serce, jak żyłeczka.

Wzięła dokumenty, kluczyki do samochodu.

Jak w malinie, przejechała przez miasto. U jego wylotu, przebijając się przez zakorkowane Janki, sięgnęła do schowka z płytami. Cohen, Manu Chao, jest - Sex Pistols. Wjechała na trasę katowicką. Nastawiła CD, podkręciła głośność do maksimum.

Wcisnęła pedał gazu.

Wrzask wypełnił samochód.

Zmierzchało, kiedy przystanąła na poboczu.

Drzewa nadal rosły. Radio dalej skrzeczało głupekowatymi głosami lektorów. Można jechać z prędkością dwieście czterdzieści kilometrów. Można chcieć się zabić, a nawet patrol drogówki nie zainterweniuje. Nie to, co się napić i napyskować. Wtedy z marszu człowieka zgarną i skują.

Majka oparła rozgorączkowane czoło o kierownicę. Zaczerwienione oczy piekły ją od pocierania i płaczu. Była wycieńczona. Kątem oka dostrzegła dziewczynę w mini, na koturnach podchodzącą do drzwi stojącego obok TIR-a. Chwilę potem dziewczyna wsiadła do kabiny.

Z kieszeni kurtki Majka wyjęła komórkę.

Napisała esemes.

„Kiedy jedziemy do Rzymu?”

Ciepłe podmuchy wiatru smagały prawie bezlistne już drzewa. Październik był katalogowy tego roku. Miecił się zaśnieżonym złotem i rdzawą czerwienią. Przejrzyste niebo nie miało w sobie nic ze stalowej skorupy, zasklepiającej świat smutkiem i melancholią.

Majka spacerowała z Bazyliem po opustoszałych rano Polach Mokotowskich. Szeleszcząc zamasyżycie wśród parkowoleśnej ściółki, wyłożonej teraz dywanem suchych liści z rozbawieniem przywoływała wspomnienia z ostatniej jesieni. Areszt z Guciem, wyjazd na Kubę. W najśmielszym scenariuszu nie przypuszczała wówczas, że czas aż tak pogalopuje. Czuła się dużo starsza niż rok temu. Nie myślała o trzydziestych urodzinach. Nie zaplanowała nawet nic na jutro. Nie miała chęci na spęd okazjonalnie życzliwych znajomych, a przyjaciółki były rozpierchnięte. Tola milczała od kilku tygodni, raz tylko wysyłając zdawkowy mail. Gosia była duchem i ciałem nieobecna. No a poza wszystkim, pojutrze rano wylot do Rzymu. Wyjazd służbowy - brzmiała oficjalna wersja dla rodziców. To będą jej urodziny, jej prezent. Z drugiego końca ścieżki, spośród ogołoconych drzew

wyłoniła się para w podeszłym wieku. Kobieta trzymała w dłoni bukiet z rachitycznych gałązek i rozcapierzonych liści. Majka zaszurała. Butami rozgarnęła żółtkę, stwardniałe liście, które pod naporem ciężaru okazywały się kruche, łamiąc i rozpękując z szelestem.

Braźowa skórzana walizka zlewała się z barwą parokietu. Gdzieniegdzie celowo przetarta i postarzona, aby nie posądzić podróżnego o nowobogackie bezguście. Majka dostała ją godzinę temu, kiedy odwiozła Bazylego do Konstancina. Wyściskana przez Mamona i Pa-pona szczerze ucieszyła się na ten urodzinowy prezent, opatrzony okolicznościowym komentarzem o bagażu na nowy etap życia. Teraz, popijając małymi łykami czerwone wino stojące na stole (wyjątkowo tym razem usprawiedliwione - nie co dzień ma się trzydzieste urodziny), wrzucała do walizki samonośne pończochy z czarnej koronki oraz komplet czarnej, przeźroczystej bielizny La Perła. Najlepszy, jaki miała. Prezerwatywy? Dominik powinien wziąć, ale nadmiar nie zaszkodzi. Majka otworzyła szufladę szafki nocnej, natrafiając w niej na zapomnianego Bystrego Joe. Leżał lekko przykurzony, nieużywany. W pierwszym odruchu miała chęć go wyrzucić, ale chwilę potem pomyślała, że głupio wyrzucać kogoś, kto ma imię. Za nim, luzem po-

niewierało się kilka sztuk prezerwatyw. Zgarnęła je i zamknęła szufladę. Bystry Joe pograżył się w mroku pustki i samotności.

Dopchnęła bagaż, spojrzała na zegarek. Tuż po godzinie dwudziestej. Niby późno na telefon zawodowy, ale - jeśli to ma być początek końca tego małżeństwa, należy już zacząć siał, aby wkrótce plon zebrać.

„Czy sprawy przebiegają pomyślnie, proszę Pana?” - ot, taka neutralna treść. Dla adresata zaczepna i oczywista, dla żony, jeśli wścibsko sięgnie po jego komórkę, niepokojąca swoją ogólnikowością. „Wyślij”.

Odpowiedź przyszła natychmiast. „Jak najbardziej, proszę Pani. Do zobaczenia rano. Całuję”.

Pożegnanie zamykało drogę do dalszej korespondencji. Majka dopiła wino, nastawiła kojącoposcielową płytę Katie Melua i udała się do łazienki, celem dokonania kompletnej pielęgnacji.

Godzinę potem zasypiała wypilingowana, wydepilowana, wysmarowana sześcioma różnymi kremami oraz grubą warstwą kleistej breji na twarzy. Inteligentnej maseczki nawilżającej.

„Jestem” - zaspana, wystukała w klawiaturze telefonu. Już prawie wysłała informację, w ostatniej chwili zdjęła jednak palec z przycisku. Skasowała esemes.

Upiła łyk kawy. Lśniący terminal Fryderyka Chopina o godzinie piątej rano był na rozruchu. Światło raziło oczy. Może odwozi go żona? Esemes o piątej rano raczej by ją zdziwił. Dominik chyba nie potrafiłby wyjaśnić, kto do niego pisze o tej porze. Przyjaciel od serca spać nie może? Najwyższej wagi sprawy służbowe? Nie przejdzie. Majka odłożyła komórkę na walizkę, która stała obok. Poczekaj. Cnota w cierpliwości, wie o tym każdy rolnik. Brakowało tylko, żeby baba zepsuła jej wyjazd jakąś aferą. Niedoczekanie! Pewnie by tu wpadła, z histerią! Coraz bardziej wściekła na ten fikcyjny scenariusz, Majka wyobrażała go sobie scena po scenie, kiedy nagle usłyszała:

- Dzień dobry. Pani do Rzymu?

Wzrok Majki powędrował od czerwonych trampek ku górze. Dominik stał przed nią, rozpromieniony. Ciepłym policzkiem dotknął jej twarzy. Pocałował. Przytulił.

Wtuliła się w czarną, skórzaną kurtkę, spod której wystawał kołnierzyk białej koszuli.

- Idziemy do odprawy? - chwyciła rączkę walizki.

- Tak, idziemy - spojrzał na nią, zachwycony.

Rzym przywitał ich nieokielznanym rozgardiaszem. Od dwóch godzin sterczeli przy taśmie, przez którą

przejechały już walizki z całego świata, tylko akurat nie ich. Próba wyjaśnienia, czy przypadkiem się gdzieś nie zawieruszyły, zakończyła się klapą, nim się jeszcze zaczęła. Na pierwsze niezdarne „scuzi, signora” Majki, signora wzruszyła ramionami, zdruzgotana, rozbitym wzrokiem wskazała na pustą filizankę po kawie, po czym zastukotała obcasami i oddaliła się w nieznaną, aby czym prędzej załatwić potrzebę najpilniejszą - wypić kolejne macchiato. Wycieczka amerykańskich turystów, w adidasach, z nieodłącznymi pasami na pieniądze i dokumenty, a także aparatami zwisającymi z szyj na rozłożyste brzuchy, pomstowała obok, groźnie wykrzykując, że wszystko to jest „not professional!” Lecz nikt ich nie słuchał. Dwie Azjatki w zachwycie chłonęły „so European spirit”. Majka i Dominik byli wściekli na ten karygodny burdel. Mogli być już w łóżku, a nie wystawać przy tej cholernej taśmie. W końcu, kiedy zrezygnowani chcieli podjąć kolejną straceńczą ofensywę w okienku informacyjnym, luk bagażowy wypłuł ich walizki. Chwycili za rączki i staszcyli torby. Przecisnąwszy się przez miękką strukturę Amerykanów, wyszli przez bramki do hali przylotów. Z miejsca zauważyli blad różową tabliczkę, na której elegancką, kawową czcionką witał ich napis: „Fun&Fuck, signore Dominik, signora Maja”. Trzymał ją mężczyzna w idealnie skrojonej granatowej marynarce, ton jaśniejszych dzinsach, wypolerowanych na błysk czarnych trzewi-

kach oraz popielatej koszuli i bordo fularze pod szyją. Hotelowy kierowca. O wyglądzie, którego mógłby mu pozazdrościć niejeden polski minister i ambasador.

- Buon giorno! - wykrzyknął rozradowany, energicznie uściśnął im dłonie, po czym okręcając się na pięcie, przejął bagaże.

Podążyli za jego sprężystym krokiem.

- Zaczekasz chwilę? - Dominik pytał przepraszająco. Stali przy czarnym bmw. Boj wrzucał ich torby do bagażnika z pełną godności nonszalancją.

- Pewnie. Coś się stało?

- Muszę zadzwonić...

- Jasne. - Majka poczuła falę gorąca. To on się będzie żonie meldował z i c h wyjazdu?!

„No cześć, tak, wylądowałem, zaraz jadę do hotelu” usłyszała jeszcze początek rozmowy, która szybko znikła z jej pola zasięgu. Dominik oddalał się szybkimi krokami. Wrócił po dwudziestu minutach.

- Przepraszam, sprawy z dziećmi - wyjaśnił z miną zbitego psa.

- Daj spokój, nie musisz się tłumaczyć - Majka była bliska furii. Dwadzieścia minut?! Rodzinnego ćwierkania?!

Samochód ruszył bezszelestnie. Minęli tablicę Aeroporto Fiumicino i wjechali na autostradę. Dominik wziął ją za rękę.

- Cieszę się, że nam się udało - powiedział już mię-
ko. - Będzie świetnie.

- Ja też. Na pewno.

- A gdzie jest reszta? - stali w lobby i czekali na klu-
cze. Recepcjonista spisywał dane z dowodu osobistego
Dominika. Hotel był kameralny i bardzo luksusowy.
Zajmował ostatnie piętro XIX-wiecznej kamienicy przy
bulwarze Via Veneto. Wchodziło się przez masywne
drewniane drzwi ze złotymi zdobieniami. Na parterze
klatki schodowej urządzono patio. Kremowe róże w
czarnych wazonach, szare skórzane kanapy i szklane
stoliki kontrastowały nowoczesnością z archaicznymi,
wielobarwnymi mozaikami na podłodze, mosiężnymi
uchwytyami do drzwi, szerokimi poręczami z brązu przy
marmurowych stopniach. Oraz powietrzem, przepel-
nionym historią tego budynku. Winda była przeszkloną
kapsułą wznoszącą się na kolejne piętra dzięki osadzeniu
w metalicznej konstrukcji. Na ostatnim piętrze portier w
smolistym garniturze naciskał guzik w ścianie. Srebrna
tafla rozstępowała się, niczym Sezam.

- Reszta jest w innych hotelach. Podobnych. Nigdy
nie kwaterują wszystkich w tym samym. Dla wygody.
Dla zapewnienia intymności. Poznasz ich na kolacji -
Dominik chował już dokumenty.

Przejechał kartą przez czytnik. Drzwi się rozwarły. Pokój był obłędny. W olbrzymim wnętrzu poczesne miejsce zajmowało łóżko trzy na trzy metry. Jakże adekwatnie do celu podróży. Przed nim, wisiała plazma na pół ściany. Na półce poniżej - sprzęt Bang&Olufsen. Całość utrzymana w minimalistycznym wzornictwie i kolorystyce jaśminu. Przełamywało ją ciemne drewno afrykańskie na podłodze.

Majka wyszła na taras. Rozpościerał się z niego widok na okopcone spadziste dachy, zaśniedziałe kopuły kościołów, zielone ogrody, które przycupnęły tu i tam na przemienionych w patia płaskich zwieńczeniach kamienic. Wciągnęła ciepłe powietrze popołudniowej jesieni.

Dominik podszedł, objął ją od tyłu.

- Podoba ci się? - brodę podparł na jej głowie.
- Jest niesamowicie.
- Rzymskie wakacje.
- W końcu.

Gwarną ulicą przemknął na sygnale wóz strażacki.

Majka pochyliła się, oparła o poręcz. Wypięta pośladki.

- Za godzinę powinniśmy być na lunchu. Gdzieś przy Panteonie, więc stąd kawałek - Dominik mówił nieprzekonany.

- A nie można go olać? - nie podnosząc się znad bariery, Majka zakotyssała rozłożystą jedwabną spódnicą.

- Wszystko można.

Za sobą, usłyszała metaliczny podzwęk rozpinanej klamry.

Nie zdjęli ubrań. Zimny metal klamry od paska uciśkał Majkę w udo. Dominik wtargnął gwałtownie, jednym mocnym pchnięciem. Kochali się przywarci, zasklepieni, dociśnięci od zewnątrz i wewnątrz. W jednej pozycji, oddalając się o siebie na minimalną odległość, a pomimo to - dogłębnie. Zakleszczeni w szczypcach zaciśniętych ramion i napiętych ud. Pot skraplał się na skórze. Wilgotne kosmyki włosów przywierały Majce do policzków.

- Zaraz wybuchnę - po kilkunastu minutach wyszeptał.

- W porządku - odpowiedziała Majka.

I... zamarła.

Prezerwatywa!!! Znowu!!!! Kobieto, czy ty masz piętnaście lat?!!!

A może to nie byłoby takie znów straszne? Wpaść?

- Nie wytrzymam długo - wydyszał ponownie, ponad jej głowę. - Mogę czy wyskoczyć?

- W zasadzie mógłbyś - Majka nie brała pigułek -ale dla pewności wyskocz.

Drobne kłamstwo nie jest przestępstwem. Majka szykowała grunt, aby mieć to zapewnienie na podo-

rędziu. Polityka prorodzinna. Facet nie musi wiedzieć o wszystkim.

Ciepła fala zalała jej podbrzusze.

- Od pierwszego spotkania wiedziałem, że fajnie będzie się z tobą kochać. - Oparty o wezglowie łóżka zrelaksowany Dominik sięgnął po paczkę papierosów i zapalniczkę. Drugą ręką gładził Majkę po ramieniu.

- Od pierwszego spotkania wiedziałeś, że pójdziemy do łóżka? - równie zrelaksowana Majka pytała bez złości, ze śmiechem. Proszę, jaki pan Macho Latino!

- No, nie, ale... - Dominik precyzyjnie dobierał słowa, próbując obejść te, które już padły - ... pomyślałem wtedy, że jeśli kiedyś tak by się zdarzyło, to na pewno będzie bardzo fajnie.

- No pięknie, samiec alfa - Majka przywalila mu poduszką i posłała czułego kuksańca. - Z ekwilibrysty-ki werbalnej miałbyś piątkę!

- Ale może inny rodzaj działalności ustnej też mi wyjdzie nie najgorzej? - strzelił okiem i się przytulił.

Komórka. Dominik wyskoczył z łóżka, niczym porażony prądem.

Majka nienawidziła tej melodii.

House gestapo. Święta Małżeńska Inkwizycja.

Dominik zeszytniał, spiął mięśnie twarzy. W ułamku sekundy przybyło mu lat kilka. Przytrzymując spod-

nie, drobnymi krokami doszedł do stołu. Odchrząknął, odebrał.

Nie spojrzął na Majkę.

„No hej, tak, tak, już dojechałem, w porządku hotel” relacjonował rzeczowo. Zamaszyście naciągnął spodnie i wyszedł na taras. Drzwi za sobą zamknął.

„Dojechałem, kochanie, a nawet już zdążyłem się bzyknąć. W porządku łóżko, w sam raz na fajny seks” Majka podniosła się, wściekła. Podreptała do łazienki. Wziąć tu kiedyś jeszcze wyjść za mąż! Żeby być tą idiotką, która dzwoni, jak mąż jest z kochanką! Rzuciła zaplamioną spódnice na posadzkę, weszła do kabiny wielkości swojej sypialni w mieszkaniu.

Sięgnęła po żel w hotelowym zestawie. Pięknie, Armanii... Odkręciła wodę. Obmyła twarz z łez, które od kilku minut po niej ściekały. A potem łono z ich źródła.

- Very nice to meet you! I'm sure we will have a great fun together!* - kordialny Francesco, tęgi i ły-sogłowy wydawca włoskiego „Fun&Fuck”, gospodarz wieczoru, witał ich wylewnie u progu restauracji. Energicznie potrząsnął dłonią Dominika, sztubacko klepnął go w plecy, ucałował dopiero co poznaną Majkę w oba policzki, uściskał. Stojący na stoliku obok kie-

* Bardzo miło was poznać! Jestem pewien, że będziemy świetnie się bawić!

liszek i prawie pusta butelka szampana Veuve Cliquot mogły tłumaczyć tę serdeczność.

- Please, take your seats - smagła, długonoga hostessa w złotym bikini była bardziej powściągliwa w okazywaniu uczuć. Zaprowadziła ich do stolika na tarasie, wychodzącego wprost na płonące lampionami Koloseum, które rozświetlało gwiazdzistą noc.

Usiedli przy pustym jeszcze stoliku na sześć osób. Przy pozostałych, goście schodzili się z wolna. Majka była pełna obaw. Spotka czterdziestoletnie żony redaktorów naczelnych? Kochanki? Dziewczyny do towarzystwa na wyjazdach? Aby ukoić skolatane nerwy, sięgnęła po szampana z pływającą wśród bąbelków samotną truskawką.

- How do you do? - przywitanie wypowiedziane z dziwnym akcentem wytrąciło ich z ciszy.

W niewysokiej posturze skośnookiego Mi, oto dośiadała się do nich edycja japońska.

- So you are from Poland? Oh, interesting - rozmowa weszła w utarte koleiny. Jakże fascynujące.

Dominik aż podskoczył na krzesło.

Melodia. Ta melodia.

Domowe gestapo! Meldunek! Małżonka tropi! Śledzi! Węszy!

- Przepraszam, zaraz wracam - rzucił strapiiony i karny.

„No hej, tak, na kolacji jestem” - Majka usłyszała jeszcze początek rozmowy, która nikła wraz z szybkimi krokami Dominika. Jak zwykle.

- Zo Pę! - wykrzyknął współbiednik, naraz czymś uradowany.

- Zo Pę? - Majka odstawiała kieliszek i intensywnie próbowała przypomnieć sobie wiadomości, które czytała ostatnio o Japonii. Li Peng... Ale to chyba Chiny? O rany, w globalnym świecie, jak ten tu przy stole, człowiek bywa jednak młotkiem.

Lecz wszak kto pyta - nie błdzi.

Majka przybrała ton rzeczowy, ekspercki.

- Weil, so is Zo Pę the new prime minister of your country?*

- No! - edycja japońska aż klepnęła się pod udach z uciechy. - He was the famous Polish composer!**

- Szopen! - Majka też wrzasnęła tym razem, rozśmiana.

- Yes! Zo Pę!

Porozumienie zostało osiągnięte. Ku obopólnej uldze.

Majka spojrzała ukradkiem na zegarek. Dwanaście minut.

- But in Poland, we also have some other great... ***
- patriotyczny zapal, całkowicie nieobecny w kraju, budził się w Majce z każdym przekroczeniem granicy. Jego ostrze bywało stępiane tylko przez nagły i dojmujący

* Więc czy on jest nowym premierem w pańskim kraju?

** Był sławnym, polskim kompozytorem! *** Ale w Polsce mamy też inne wspaniałe...

jacy brak słówek. Jak ten teraz. .Atrakcje, atrybuty...
Atributies? Nie, chyba nie ma czegoś takiego".

- ...things - Majka poradziła sobie pięknie. W końcu im rozwiązanie prostsze, tym lepsze. - Like Łeba moving dunes. Hel Peninsula, surrounded by both gulf, from one side, and the Baltic sea, from the other* - trajkotała z zapalem. Mi słuchał z niezmienną miną, która nie zdradzała jego stosunku do zalet przyrodniczych Europy Środkowej.

Majka zerknęła na zegarek. Dwadzieścia pięć minut.

- Great, thats really interesting** - Mi był nieco zaskoczony tą odbiegającą od bankietowego smali talku erupcją szczerego patriotyzmu. Trzymał fason i przysłuchiwał się w skupieniu. Zo Pe, Walesa i Jean Paul II. Tyle Mi wiedział wcześniej o tym odległym kraju. Teraz przekonywał się, że Polacy bardzo kochają swoją ojczyznę. Należy uszanować ich miłość do ziemi przodków. Tak Mi tłumaczył sobie tę sytuację, wybiegającą poza standardy koktajlu.

- And, if you like the historie monuments, we have several amazing castels, charming old towns, like the one in Kraków, which once used to be the capital of Po-

* ... rzeczy. Jak ruchome wydmy w Łebie. Półwysep Helski, otoczony z jednej strony przez zatokę, a z drugiej przez Morze Bałtyckie.

** Wspaniale. To naprawdę ciekawe.

land* - Majka płynnie i ze swadą przeszła w swoim wywodzie z geografii do historii. Mi kolejny raz przytaknął, gwizdnął z uznaniem. Nie zadawał pytań, nie wydawał się też chętny do snucia opowieści o swoim kraju. Majce zaczynało brakować pomysłów na dalszą rozmowę. Szlakiem Krzyżaków? Rozbiory? Okrągły Stół? Rzut oka na zegarek: trzydzieści siedem minut.

- Przepraszam, przeciągnęło się - Dominik wyrósł nagle nad nią, usiadł na swoim miejscu.

- Rozumiem. Przecież o godzinie - Majka scenicznie spjrzała na zegarek - dwudziestej pierwszej piętnaście twoje małe dzieci mają mnóstwo ważnych spraw, nieprawdaż?

Od razu pożałowała, że się zdradziła ze swoją irytacją, zamiast utrzymać nerwy na postronku. Dominik nie odpowiedział na ten przytyk.

- How do you do? - znów ten sam akcent.

Mi poderwał się od stołu.

- Let me introduce my wife...** - zaczął. Majka uśmiechnęła się szeroko. Żonę! Fajnie. Chwilę potem, dosiadła się edycja fińska z dwa razy od siebie młodszą koleżanką. Przy powitaniu uniknęli formy, która miałaby dookreślić charakter ich rela-

* I, jeśli lubi pan historyczne zabytki, mamy też mnóstwo niesamowitych zamków, uroczych starówek, np. w Krakowie, który kiedyś był stolicą Polski.

* Pozwólcie państwo, że wam przedstawię moją żonę.

cji. Podobnie jak Dominik z Majką. Kosmopolityczne towarzystwo przemilczało tę drugorzędną kwestię. Ho-mar, szampan, kandyzowane trufle oraz rosnące wyniki sprzedaży „Fun&Fuck” na świecie okazały się tematem rzeką przy tej rzymskiej uczcie.

- Wyłączysz telefon? - do pokoju dotarli dobrze po północy, na solidnym rauszu. Tarmosili się już na łóżku.

- Nigdy nie wyłączam - Dominik nie pozostawił od-powiedzią pola do negocjacji.

Majka posmutniała.

- Dlaczego? To nie moja sprawa, ale... mogę spytać?
- Zgramoliła się z jego klatki piersiowej i położyła obok na wznak, wpatrzona w sufit. Szampan dodał jej animuszu.

- No, słucham - Dominik był nawet ciekaw. Choć domyślał się zagadnienia, które miało zostać poruszone w tych wyznaniach pijackich.

- Twoja żona dzwoniła dzisiaj chyba z sześć razy, o każdej porze - Majka uniosła się na łokciu. Pilnowała, by mówić z troską, a bez wścibstwa. - Czy dajesz jej powody do takiej skrajnej kontroli? - pytanie o to, czy jest kolejną panienką, starała się obejść eleganckim eu-femizmem.

- W sensie, czyją zdradzam? - doprecyzował Dominik. Faceci wolą jednak proste formy.

- No tak. O to mi chodziło.

- Nie. Raz, kiedyś. Wiele lat temu. I nigdy więcej. Do teraz.

- A czy gdyby tak cię nie sprawdzała, dokazywałbyś więcej?

Klimat sprzyjał sprawie, która od dawna trapiła Majkę. Kuła więc żelazo, póki promile się nie zmetabolizują.

- Nie. Jedno z drugim nie ma nic wspólnego - Dominik wierzchem dłoni przesunął po jej ramieniu.

- To po co ona to robi? Te ciągle telefony, wypytywanie?

- Nie mam pojęcia. Kobiety chyba tak mają. Przyzwyczałem się przez te wszystkie lata.

- A czy to trochę nie z... - Majka zaczynała mieć przejrzystą sytuację, ale brakowało jej ostatecznego potwierdzenia domysłów. Należało je uzyskać poprzez kontrolę. - Nie z nadmiaru czasu? Jest zajęta zawodowo, tak jak ty?

- Ani trochę. Nie pracuje.

Sprawa jasna. Model: mężczyzna moje hobby. Pani Dalloway. Serialowa madonna cierpiąca na nadmiar godzin w dobie i na zbyt tani abonament komórki.

- No tak, ale prowadzenie domu, wychowywanie dwójki dzieci to ciężka praca - Majka sama nie dowie-

rzała, że potrafi wykrzesać z siebie taki fałsz i obłudę. Tyle wiemy o sobie, ile sprawdzi nas sytuacja.

- Owszem, tak. Ale mamy na stałe opiekunkę oraz sprzątaczkę - skwitował Dominik. W jego głosie było słycać irytację.

- To pewnie po prostu trochę się nudzi - wypaliła z grubej rury i wsunęła się pod jego ramię.

- Pewnie tak. Ale czy możemy zmienić temat na bardziej przyjemny? - Dominik wsunął dłoń pod jej spódnice. Zaczął wodzić palcem w dół i w górę po karbowanej fakturze koronki. - Uwielbiam twoje pończochy. To mówiłaś, że jaka działalność dobrze mi wychodzi? Ustna? - zsunął się na dół i zanurkował między udami.

- Kobieta może mieć orgazm wielokrotny - zapewniał godzinę potem, nagi. Teraz z kolei próbował zdożyć sprawność zucha w konkurencji manualnej.

Leżeli przytuleni na łóżku. Majka miała piersi lepkie od spermy.

- Nie dam rady - roześmiała mu się do ucha i przekreśliła na bok. - Trzeci?!

- Nawet sto orgazmów w ciągu jednej nocy! - Dominik rozkwitał w nastroju paradnym. Próbował odkręcić ją z powrotem.

- A skąd ty to wiesz, chłopczyku? - Majka drwiła, opatulając się szczerzej prześcieradłem. - Przeczytałeś w podręczniku?

- Tak jest, tak właśnie! To co? Sprawdzimy, czy pisali prawdę?

- Nie! Jest chyba druga w nocy! Zасыpiam.... Litości! A ty skąd masz tyle werwy? Viagrę łyknąłeś?

- Nie! Choć jeśli chcesz - twoje życzenie to dla mnie rozkaz. Póki co odkrywam w sobie naturalne, choć nadprzyrodzone moce. Dzięki tobie, moja principesso - Pocałował ją w koniuszek ucha. - Nie wiedziałem, że moje stetryczące ciało tak się jeszcze będzie garnać do seksu. To rewolucyjne odkrycie, moja kochana - Dominik wtarabanił się na Majkę i tarosił za głowę, czochrając jej i tak już zmierzwiłone seksem włosy.

„Moja kochana”. Figura retoryczna. Kobieta wychwyci ją zawsze. I pustą formę tęsknotą wypełni. W myślach doda swoje imię do jego nazwiska. Przewinie stop klatkę z ceremonii ślubnej. Zastanowi się, do kogo dzieci będą bardziej podobne. No i jak wysoki wezmą ten kredyt na dom pod miastem? A może jednak mieszkanie w centrum? Stop. Nie wolno! Cofnij! To nie miłość! To oksytocyna! Po orgazmie z mózgu kobiety wydziela się hormon przywiązania, odpowiedzialny za cały późniejszy bałagan.

- Halo, tu ziemia do pani! - Dominik perorował, pyszny.

- No dobra, ale może tak... od tyłu? - Majka strzeliła okiem. Seks spala kalorie. Jest pożyteczny dla zdrowia. I zwyczajnie przyjemny. Nie ma co się bronić. Należy zachęcić, urozmaicić. Serialowa madonna na pewno ma wieczne migreny od tempa swojego fascynującego życia.

- Baaardzo chętnie - Dominik zaślinił się wzrokiem.

Majka wysupłała się z prześcieradła.

Tej nocy zasnęli nad ranem.

- Dzień dobry. Spałem, jak dziecko - Dominik przeturlał się ze swojej połowy łóżka i wtulił w plecy leżącej na boku Majki. Pocałował we wklęsnięcie między łopatkami, rozgrzane snem jeszcze.

- Dzień dobry - odwróciła się w jego stronę. Twarz schowała pomiędzy ramionami, nos wcisnęła w mostek. Wciągnęła zapach jego ciepłego, porannego ciała, w którym pobrzmiwała nuta seksu.

Promienie porannego słońca wpadały do pokoju i załamywały się na wygniecionej pościeli. Miejscami zabrudzonej plamkami krwi. Nie zauważyli ich w nocy.

- O rany, patrz! - rozbudzona Majka przytrzymała krawędź satynowej poszewki. - Chyba dostałam okres. Albo zbyt mocno się kochaliśmy.

- A można zbyt mocno? - w Dominiku widok krwi nie wywołał typowo męskiego przerażenia faktem, że człowiek ma w sobie krew i czasem krwawi.

- Nie można. Fajnie, że ci to nie przeszkadza.

- To nadal jesteś ty. Nawet w tych plamkach - wtulał Majkę w siebie.

Nie!!! Nie teraz!!!

Znieruchomieli w uścisku.

Melodia.

- Nie odbierasz? - Majka chciała spytać kpiąco, lecz wbrew zamiarom wyszło prosząco.

- Mogę przecież brać prysznic. Jest dziewiąta.

Leżeli w sobie zastygli.

Melodia ucichła.

Dominik wsunął się delikatnie. Tym razem kochali się wolno.

Walizki stały pośrodku pokoju, niedomknięte. Byli prawie spakowani.

Dominik inspektorował rozłożone na łóżku koszule. Brał każdą z nich po kolei, rozpościerał przy oknie. Naciągał materiał, uważnym okiem wypatrywał ewentualnych zabrudzeń, urwanych guzików, wyszarpanych nici.

Majka wszystkie swoje rzeczy wrzuciła do torby nieposkładanej.

- Po co tak oglądasz koszulę? - usiadła na walizce, żeby domknąć ją podskokami. Luz sprzed wylotu zamienił się w zakupowe wybrzuszenie na drogę powrotną. Należało użyć siły.

- Sprawdzam, czy czyste.

- Po co?

- Żeby nie zostawić śladów - Dominik wyjaśniał, badając materiał. - O rany, coś jakby plama...

- Pokaż - Majka poczuła się dziwnie na te słowa, ale mimo wszystko wstała i sięgnęła po koszulę. Od kremowej tkaniny odcinała się krwista plamka. Z okresu. - Zaschła krew. Da się wywabić.

- Myślisz? Jak? - Dominik pytał, niepewny.

- Zapierz zimną wodą najpierw, a potem zimną z mydłem, a na koniec ciepłą z mydłem.

Dominik pospieszył do łazienki.

„Żeby nie zostawić śladów”? No, to zobaczymy jeszcze. Wszak losowi trzeba czasem wyjść naprzeciw. Upewniła się, że drzwi do łazienki są zamknięte. Wyjęła z torebki szminek i paczkę tamponów OB. Podeszła do jego walizki. Ostrożnie odchylając kostki ułożonych ubrań, wydobyła z dna plastikową torbę z bielizną do prania. Odwiązała supeł. Wyciągnęła przepocone bokserki. Serduszko? Kóleczek? Nie, chaotyczne małżeństwo. Takie, które można zostawić, całując kogoś

w to miejsce. Które to były spodnie? Są! Majka wyciągała kieszeń w džinsach, w których Dominik dwa dni wcześniej poproszony przez nią przed wyjściem z hotelu, schował tampon. A potem oddał. Jeden. Ale kto powiedział, że nie mogło być dwóch? „Zapomniałeś o drugim, kochanie? Gapciu!” Majka wcisnęła biały, opakowany plastikiem zwitek na dno kieszeni. Zawiązała reklamówkę, przymknęła wieko torby.

Czy którakolwiek kobieta zniesie takie upokorzenie? Żadna. Przez moment Majce zrobiło się nawet przykro na myśl o piekle, które czekało Dominika tej nocy w domu. Ale też żaden facet, porzucony przez zdradzoną żonę, nie zaszyje się w samotni. Będzie szukał ukojenia, pocieszenia. W ramionach Majki. Przyszłość rysowała się w świetlistych barwach.

Weszła do łazienki. Dominik gimnastykował dłonie w umywalce, trąc koszulę intensywnie.

- Pomóc ci? - zapytała z troską.
- Już prawie zeszło.
- Wyszusz suszarką - Majka objęła go w pasie i wtuliła się w jego szerokie plecy. - A ja ci potem przepraszam.
- Moja słodka - Dominik odwrócił się znad kranu i pocałował ją w czoło. - Dzięki.

„Samolot zbliża się do lądowania. Prosimy zapiąć pasy oraz postawić siedzenia w pozycji pionowej”, kojący głos stewardesy wypełnił kadłub.

Milczeli od kwadransa.

Majka opierała rozgorączkowane czoło o zimny plastik ścianki.

Zgasły światła. W dole zamigotały czerwone i żółte punkty, oświetlające czarne pasy. Koła wysunęły się ze świstem.

Dominik chwycił Majkę za dłoń, przybliżył usta. Ślina pocałunków zmieszała się ze łzami, spływającymi jej z policzków.

- Ciężko wracać - powiedział niewyraźnie.
- Mnie też.
- Uwierzysz, jak powiem, że dziś w nocy będę tęsknił?
- Za czym?
- Za tobą. I za spokojem.

Majka spojrzała z ukosa w okienko. Z mroku wyłonił się kształt lotniczego rękawa. Obok, cumował przy nim samolot. Uśmiechnęła się złowróźnie.

- Uwierzę. I to bardzo.

KONIEC

Spis treści

Rozdział pierwszy
w którym Maję i Gucia ratuje z opresji nieustraszony Rumcajs / 5

Rozdział drugi,
w którym Tytus, Romek i Atomek uczą Majkę, Tolę i Gosię
plastusiowej zręczności / 21

Rozdział trzeci,
w którym Mefisto psoci i płoną łódki / 49

Rozdział czwarty,
w którym Bzyk Pierwszy wprowadza dwie cytrynki / 67

Rozdział piąty,
w którym Bzyk Drugi ponosi uszczerbek na skarpetce / 101

Rozdział szósty,
w którym Bzyk Trzeci zarzuca sieć z zamku Gargamela / 156

Rozdział siódmy,
w którym szpakowaty Marceli ordynuje porządek / 214

Rozdział ósmy,
w którym Majka dostaje gwiazdkę z nieba / 278